

WILLIAM WHARTON

W KSIĘŻYCOWĄ JASNĄ NOC



Dedykuję tym ASTPR - owcom,
którzy nie dosłużyli się stopnia majora

...Potrzebujemy was dzisiaj.

Strach

Krztuszę się jednym wstrzymanym oddechem

Kępką ptasiego puchu tli się; swąd,

Kwiat zalatuje śmiercią.

patrzę na siebie.

patrzę na siebie i widzę, że

Patrzę na siebie i widzę, że

Perli się szarość pustego spojrzenia.

Spojrzeć się boję, a odwrotu nie ma,

Nic do widzenia, nic do powiedzenia.

Nazwiska osób występujących
w tej mroźnej opowieści wigilijnej
zostały zmienione ku ochronie winnych...

- W.W.

1. ODPRAWA

- Rany boskie, Matka! Co ci jest?

Odpycha mnie brutalnie na pałatkę. Gramoli się, podciąga na łokciach, wreszcie staje; jego buty grzęzną po kostki w bloku i topniejącym śniegu na dnie okopu. Stoi, góruje nade mną, traci równowagę, ślizga się, nie mówi nic; gapi się w niebo.

Potem spuszcza z ramienia swój M1, łapie go w prawą rękę, wygina chude ciało w skok sprężyny i ciska karabinem jak oszczepem, daleko od dziury, w której siedzimy, co najmniej o sto stóp w dół stoku, długim, falującym łukiem. Ciska z taką siłą, że regulaminowe okulary w metalowej oprawie zlatują mu z nosa, odbijają się od mojej piersi i wolno wsiąkają w breję na dnie okopu. Zaraz je rozdepcze w drobny mak, założę się.

Nie patrzy na mnie. Twarz Matki bez okularów jest jakaś pusta; pewnie i tak by mnie nie widział, nawet gdyby patrzył.

Kucamy w czymś, co w czasie pierwszej wojny światowej mogłoby ująć za jednoosobowy okop, chociaż jest to pewnie tylko jama po korzeniach zbutwiałego drzewa, które powalił wiatr.

Przez ostatnie dwie i pół godziny nie gadaliśmy wiele. Mamy tu wysiedzieć cztery. Od czasu do czasu odnoszę wrażenie, że Matka płacze, ale nie sprawdzam; sam nie jestem daleki od płaczu, nie chcę tu niczego zaczynać. Teraz Matka gramoli się, bez karabinu, na krawędź wykopu. Szarpie siatkę maskującą, chce ją zerwać.

Normalnie gdzieś tutaj stałaby warta, ale nie dzisiaj, skoro wszyscy oficerowie są w mieście i zabawiają kobitki z Czerwonego Krzyża. Czerwony Krzyż przedarł się wczoraj do naszego pułku i sprzedawał nam pączki, po dziesięć centów sztuka, po dwa na ryło, żołnierze i oficerowie po równo. Nie spojrzałem, czy oficerowie też płacili. Kupiłem jednego pączka i wysrałem go w pół godziny później.

Kucając z Matką w okopie, oglądam od jakiegoś czasu mały buczący samolocik obserwacji artyleryjskiej typu L5, który krąży nad naszymi głowami. Motor buczy kojąco, całkiem jak w tych awionetkach, które w letni dzień latają nad plażą, ciągnąc szarfy reklamowe z napisem PEPSI - COLA.

Tylko że teraz jest zima, a do spokoju daleko.

Pochylam się, ostrożnie podnoszę okulary Matki, po czym gramolę się na górę, napierając brzuchem na ubłoconą pałatkę. Nawet się nie stłukły, tylko oprawka się pocięła; szkła są grube jak denka od butelek po mleku, niełatwo byłoby je stłuc. Ale zrobiły się oślizłe, mokre, zapaćkane błotem i oblepione zwirem.

Matka stoi na krawędzi okopu. Teraz już ryczy na całego, chociaż mało słychać. Pakuję

się za nim na górę: chcę go ściągnąć, zanim nas ktoś przyuważy.

Znajdujemy się na stoku wzgórza, tuż pod lasem. Właściwie ze wszystkich stron otaczają nas lesiste pagórki. Już parę razy padał śnieg, ale dzisiaj prześwituje sporo zieleni i cała okolica pokryta jest albo cienkim, zeskorupiałym śniegiem, albo błockiem. Wiem, że mamy mniej więcej połowę grudnia, ale nic dokładniej. Niby siedzimy tu jako rezerwa, ale z niewiadomych powodów nie dociera do nas ani poczta, ani pismo „Stars and Stripes”.

Nagle Matka puszcza się biegiem. Wyplątał się z siatki maskującej, odrzuca pas z amunicją, plecak, saperkę, bagnet, manierkę, wszystkie żołnierskie lary i penaty - i wielkimi susami, kreśląc w powietrzu pętle i śruby, pędzi w dół po stoku. Za chwilę zniknie między drzewami, ale przedtem ciska hełmem jak dyskiem w tę samą stronę, w którą odrzucił karabin. Jakby naprawdę żegnał się z wojną!

Nie wiem, co robić: czy lecieć za nim, czy pilnować posterunku. Bądź co bądź, jestem sierżantem służby wartowniczej - nie do wiary, co? Dla mnie nie do wiary.

Przede wszystkim skaczę na dół po karabin, hełm i siatkę maskującą. Potem rzucam się w pogoń za Matką, zbierając w biegu jego rzeczy. Kiedy się schylam po kurtkę połową, zerkam za siebie: nikt nie patrzy. Ktokolwiek ma odrobinę oleju w głowie, buchnął się spać, korzystając z nieobecności oficerów. Wiem na pewno, że i Ware, nasz plutonowy, i major Love strugają teraz bohaterów przed damami. Nowego sierżanta plutonowego jeszcze nam nie dali.

Opieram karabin o pierwsze z brzegu drzewo, razem z rzeczami Matki, i lecę za Matką. Matka pędzi jak wichur, nie ogląda się za siebie. Bez cyngli gotów się roztrzaskać o drzewo. Drzeć się nie ma sensu, więc zbieram się w sobie i gazu. Kto wie, może on nas obu wyprowadzi biegiem z tej całej wojny, przez dywizje, korpusy, bataliony, przez całe zaplecze? Może trafimy na jakąś francuską rodzinę z piękną córką, może nas będą ukrywać? Jakby nas dorwali, zawsze mogę powiedzieć, że ja tylko goniłem Matkę i w trosce ó ekwipunek stanowiący własność rządu zbierałem Matki ciuchy.

Szkopuł w tym jednak, że biegniemy w złą stronę. Matka kieruje się na południe, czyli jedyne, co możemy osiągnąć, to wpakować się na wartę obwodową jakiegoś innego zmordowanego, popieprzonego pułku. Wszyscy jesteśmy tacy zastraszeni, że strzelalibyśmy do byle czego, a już na pewno do ślepego kościotrupa w butach, z gołą dupą.

Z mojej rachuby wynika, że Matka zredukował mundur do butów i skarpet. Już go prawie miałem, kiedy ściągał gacie, ale jak się zatrzymałem, żeby je podnieść - znowu mi zwiął. Odstawiamy unikalną wersję Jasia i Małgosi z elementami rozbieranego pokera, a może raczej coś w rodzaju gonitwy Atalanty.

Bieg sprawia, że zaczynają się moje stałe kłopoty: rewolucja w żołądku i bezgłośnie

strzykanie piekącymi porcjami gówna. Kiedy dopadnę Matki, będę śmierdział jak przenośna latryna. Już widzę wielkie nagłówki gazetach: UŻYCIE GAZU TRUJĄCEGO W ARDENACH!

Matka przegania mnie jak chce. Postanawiam jeszcze dwieście jardów popędzić ile sił w nogach, a potem poddać się i koniec. Rany boskie, co ja powiem Ware'owi?

Kiedy się znów rozglądam - Matki nie widać. Ciągle jesteśmy w lesie, ale już na samym dole stromego stoku. Nagle dostrzegam go. Wpadł w łożysko potoku i grzebie w nim gorączkowo, rzucając kamienie w prawo i w lewo, jak pies w poszukiwaniu kości. Zwalniam, oniemiały, i zatrzymuję się. Patrzę na Matkę, powoli odzyskując oddech.

Ruszam powolutku w dół, w jego stronę, ciekaw, co będzie dalej. Następny punkt regulaminu? Co robi sierżant w takiej sytuacji? Zjeżdżam, co chwila tracąc równowagę, na mieszance zlodowaciałego śniegu i sosnowych igieł. Trzęsę się na całym ciele. Ostatnio stale mnie tak trzęsie: muszę odczekać dobrą chwilę, zanim się wezmę do rysowania, a nawet do pisania listu. Zacząłem pisać dużymi, drukowanymi literami - przy szybkich, krótkich pociągnięciach niewielkie jest ryzyko ujawnienia tego dzikiego, nieprzewidywalnego, niekontrolowanego tik.

Kucam na brzegu strumienia, koło Matki. Woda musi być zimna jak lód, a on w niej kłęczy, goły, na tych białych kulasach. Sam jestem chudy - z ciąglą sraczką trudno, żebym nie był - ale Matka to już istny szkielet, trudno uwierzyć, że toto w ogóle żyje.

Nic nie mówię, patrzę, jak wali na wszystkie strony kamieniami, które wybiera spomiędzy kolan. Ale w końcu coś muszę zrobić.

- Trzymaj, Matka, przyniosłem ci okulary. Zostawiłeś w okopie.

Odwraca się i patrzy na mnie błędnym wzrokiem, już nie grzebie, tylko kłęczy w rwącym, zimnym, przejrzystym potoku. Wyciągam do niego okulary. Zbliża się powoli, na czworakach, bierze ode mnie okulary i wkłada je na nos, starannie poprawiając oprawkę za uszami. Przed chwilą nie płakał, ale teraz znowu zaczyna. Pomagam mu wygramolić się z potoku; nie mówimy nic. Nie przychodzi mi na myśl ani jedno sensowne słowo, a Matka nie byłby zdolny nic powiedzieć, nawet gdyby chciał.

Sztuka po sztuce podaję mu ubranie, a on je na siebie wkłada. Ubiera się pomału, oddychając głęboko, jakby się stroił w koszarach w niedzielny poranek. Buty i skarpety przemokły mu na wylot, ale po zapięciu kurtki wygląda prawie normalnie - żeby nie ta białosina gęba i te łzy.

- Matka, twój karabin, hełm i maskowanie zostawiłem na skraju lasu. Jak się czujesz?

Matka patrzy mi prosto w oczy, po raz pierwszy odkąd zaczął uciekać. Na całej twarzy na porozmazywane smarki i łzy. To niesamowite, widzieć naszego Matkę Wilkinsa w takim stanie.

Przezywamy go Mateczka Wilkins, bo wiecznie zrzedzi, że jesteście flejtuchy, że zostawiamy naokoło siebie bałagan, że nie myjemy menażek i manierek. Fred Brandt prawie z płaczem opowiadał, jak to Wilkins miał zwyczaj ukradkiem zachodzić każdego po śniadaniu i sprawdzać na nosa, czy facet mył zęby.

Matka jest jednym z najstarszych w naszym oddziale, a do tego jeszcze ma żonę. W dwa dni po dwudziestych szóstych urodzinach Matki przyszło na świat jego dziecko - martwe. Mundy mi mówił. Niezły prezent urodzinowy!

Matka cały czas gapi się na mnie przez zapaćkane okulary. Stoi lekko wychylony do przodu, ręce dyndają mu po bokach - wygląda jak marionetka, która czeka, żeby ktoś ją poruszył. Zaczyna mówić, po swojemu, powoli, starannie dobierając słowa, frazy, zdania, jakby wszystko, co powie, miało zostać wygrawerowane na platynowej płytce.

- Nie wiem, Wont, czy to przemęczenie bojowe, czy może coś innego. Jedna połowa mnie pamięta dokładnie wszystko, co robiłem, od wyrzucenia M1 po darcie pazurami w tym zamierzonym potoku. Jedna połowa mnie widziała to wszystko i chciała przestać, ale druga połowa dalej robiła swoje, dalej chciała biec, rozrzucić rzeczy, robić wszystkie szaleństwa, jakie jej przyszły do głowy. Ta połowa wyraźnie pracowała na kategorię E. Ta połowa, ta najgłębsza część mnie, gotowa jest zrobić wszystko, żeby się wyrwać i wrócić do domu, do Lindy.

- Chcesz, żebym złożył na ciebie raport, Vance? Mogę napisać takie piękne zaświadczenie na kategorię czubów, jakiego jeszcze świat nie widział. Z tym, co tu pokazałeś, plus to, co sam zmyślę, wylądowałbyś co najmniej w rękach psychiatry w szpitalu.

Matka siada powoli ze skrzyżowanymi nogami. Chowa głowę w przemarzniętych dłoniach, Opierając łokcie na kolanach. Widzę, że na serio rozważa moją propozycję.

- Nie, nie dam rady. Jeszcze za mało się boję. Za bardzo boję się ich, ale za mało siebie samego. Nikt by się na mnie nie nabrał. Ten cały zasrany cyrk odwalilem między innymi dlatego, że wiedziałem, że tylko ty mnie widzisz, a to się tak naprawdę nie liczy.

- Ja tam dałem się nabrać, Matka, jeszcze jak. Poza tym, złamałeś regulamin oddziału.

Podnosi głowę, prostuje się.

- Jaki regulamin? Co złamałem?

- Użyłeś słowa „zasrany”. Nie wiem, co by na to powiedział Ojciec. Pilnuj się, Matka, żeby cię nie przyuważyli. Rób, co chcesz, tylko się nie daj przyuważyć.

Nasza drużyna wyróżnia się pod wieloma względami. Na początek wymienię tylko kilka. Po pierwsze, prawie nigdy nie mówimy na Niemców „szkopy” ani „szwaby”, ani „kapuśniaki”, ani nawet „naziści” - w ogóle nie używamy popularnych w wojsku przezwisk. Przeważnie mówimy „wróg”. Tylko Stan Shutzer, nasz Żyd dyżurny, może na nich mówić jak chce. Ojciec

Paul Mundy udzielił mu specjalnej dyspensy. Bo mamy i drużynowego ojca: Matka Wilkins i Ojciec Mundy. Chociaż to nie jest druga osobliwość drugiej drużyny - to przypadek.

Ojciec Mundy jest autorem drużynowej zasady: „żadnych nieprzyzwoitości”. Chcemy, żeby dla wszystkich było jasne, że my w gruncie rzeczy nie należymy do tej armii. Jesteśmy książęcymi sierotami porzuconymi pod złym progiem - bękartami błękitnej krwi. To pomaga. Kto wie, czy nie jest to jedno z największych osiągnięć Ojca. Jak na faceta, który chwilami zachowuje się jak debil, bywa całkiem bystry. Mundy ma dwadzieścia sześć lat, jest niedorobionym - ale nie upadłym - księdzem. On i Matka są teraz najstarsi w drużynie, reszta poniżej dwudziestki.

Zabieramy sprzęt spod lasu i zdążamy do okopu przed zmianą warty. Matka całkiem nieźle wziął się w garść. Teraz kolej na Buda Millera, naszego geniusza od mechaniki, autora krzyżówek i wierszyków dla dzieci, i na Staną Shutzera, który jest Żydem - mścicielem z ambicją dorobienia się milionów w charakterze szefa od reklamy. Bud i Stan są obaj synami jubilerów, ale zdaje się, że to ich jedyna wspólna cecha, poza tym, że obaj są niesamowicie bystrzy, a zarazem dość głupi, żeby trafić do piechoty zwiadowczej. Posiedzą tu przez kolejne cztery godziny, od drugiej do szóstej. Nocną trzyma drużyna Edwardsa, z tym że ich jest dwunastu, więc mogą się zmieniać co dwie godziny, a to już całkiem nieźle. Zaraz po balu muzykanci podejmą normalną służbę wartowniczą.

Włączmy się z Matką do obozu. Mamy teraz wspólny namiot. Przed Saara Matka dzielił namiot z Jimem Freize. Trudno stwierdzić, który z nich bardziej kwalifikował się na pierwsze miejsce w konkursie czystości. Obaj stale sprzatali wokół siebie, układali wszystko w kosteczkę, a jak już skończyli własne porządki - meandrowali do bazy maszynowej i pucowali swojego jeepa. Ani jeden, ani drugi nie miał zielonego pojęcia o uruchamianiu takiego pojazdu, ale za to ich wóz świecił się zawsze jak lustro, nawet w przeklętych bagnach Metz. Miller, szalony mechanik, nikomu z bazy nie dawał się nawet dotknąć do jeepów naszej drużyny, ale z krzątanimy Jima i Matki tylko się śmiał i nie odpędzał ich.

Wczołguję się na swoją, niechlujną, połowę naszego wspólnego namiotu i wyciągam książkę, którą teraz czytamy. Książka nazywa się *Pożegnanie z bronią*. Mam strony od 215 do 310. Przede mną czyta Wilkins, a po mnie Shutzer. Shutzer przez cały dzień trąbił mi w ucho, żebym się pospieszył; Wilkins skończył wczoraj wieczorem. Jak zawsze mam pecha: trafiłem między dwóch najszybszych czytaczy po tej stronie Linii Zygfyryda. Łamiemy książki na kawałki, żebyśmy mogli czytać wszyscy naraz.

Przedtem czytaliśmy Na Zachodzie bez zmian. Po omówieniu tej książki drużyna jednogłośnie podjęła rezolucję, że wiejemy z tej wojny przy pierwszej nadarzającej się okazji.

Wtedy jeszcze byliśmy wszyscy razem, pod Saarbrücken. Ojciec Mundy w ogóle się nie połapał, że bohaterami książki są Niemcy; musieliśmy mu to dopiero powiedzieć. Możliwe, że ominęło go parę stron. Ojca zwykle wyznaczamy na koniec kolejki czytania: czyta słowo po słowie, jakby je wylizywał z książki.

Kończę swój przydział stron i zostawiam w wejściu do namiotu dla Shutzera.

Rozdział ten ma tytuł *Odprawa*. Niedługo nastąpi typowa ogólnowojskowa odprawa, ale najpierw powinienem chyba zrobić naszą, prawdziwą, i to najlepiej właśnie teraz, tuż przed zaśnieciem.

Odprawa w wojsku znaczy objaśnienie. Wojskowe myślenie domaga się, żeby wszystko odbywało się zwięźle i klarownie - wszystko oprócz wojen. Tylko że czasem bardzo trudno o zwięźłość i klarowność. Możliwe, że nie tylko ten jeden rozdział, ale w ogóle cała książka jest odprawą; nie jestem jedynie pewien, na jaki temat i po co.

Nasza drużyna stanowi połowę plutonu zwiadowczo - rozpoznawczego; drugą połowę. Pluton zwiadowczo - rozpoznawczy stanowi część pułkowej kompanii dowodzenia - Nastego Pułku - Siątej Dywizji Piechoty. Pułkowa kompania dowodzenia jest to, mówiąc najzwięźlej, jedno wielkie nic.

Zobrazujmy to. Dowodzi nami pułkownik, który ma adiutanta i pomocnika, a wszyscy oni mają swoich ordynansów. Dalej idą dowódcy - S1, S2, S3, S4, Sn itd., każdy w stopniu majora, każdy ma swojego adiutanta, wszyscy mają ordynansów. Ordynans w wojsku jest to nisko płatny służący w mundurze.

Dalej mamy kucharzy, asystentów kucharzy, stałe służby pomocy kuchennej, szefów zaopatrzenia, szefów poczty, szefów kartoteki, pisarzy i gońców, zatrudnienie kadrowców i silną grupę z obsługi bazy maszynowej. Baza maszynowa jest to parking, na którym stoją niemal wyłącznie jeepy, samochody oficerskie oraz dwuipółtonowe ciężarówki - niezbyt wojowniczy zestaw pojazdów. Pojazdy te służą głównie do przewożenia ludzi i gratów z miejsca na miejsce. Kierowcami tej flotyli transportowej są tak zwani T4 i Tr, - czyli sierżanci i kaprale zaplecza, od których nie wymaga się, żeby w razie potrzeby do kogokolwiek strzelali.

Mamy też pułkową orkiestrę: trzydziestu najbardziej niewydarzonych żołnierzy, jakich znaleźć można w naszej, czyli gorszej, części dywizji. Jak już wspomniałem, zazwyczaj trzymają oni skrajne warty dla całej kompanii. Nigdy nie słyszałem, jak grają, ale też trzeba uczciwie przyznać, że defilad mieliśmy niewiele. W Rouen udało nam się wyzwolić skrzypce i Mel Gordon postulował, żeby je wypróbować, ale mu powiedziano, że w orkiestrze wojskowej nie ma miejsca dla skrzypiec. A czy to nie byłoby wspaniałe - słuchać capstrzyku, pobudki albo, jeszcze lepiej: do odwrotu - wygrywanego na skrzypcach?

Na szarym końcu listy figuruje pluton zwiadowczo - rozpoznawczy. W drużynie jest dwunastu, drużyną dowodzi zwyczajny sierżant, zastępcą jest kapral, bez ordynansów. Nasza drużyna została zredukowana do sześciu. Kapralem został Mel Gordon, a ja równocześnie - sierżantem. Wsławiliśmy się jedynie tym, że udało nam się wytrwać przy życiu. Mel też jeszcze nie ponaszywał sobie belek.

Zwiad i rozpoznanie to oczy i uszy S2. S2 to pułkowy szef wywiadu. Naszym S2 jest major Love - i nazwisko, i funkcja całkiem nie na miejscu. Love pracował w cywilu jako przedsiębiorca pogrzebowy. On z kolei stanowi „oczy i uszy” pułkownika Douglasa Suggera, dowódcy pułku, zwanego powszechnie Długa Laska. Długa Laska jest gasnącą gwiazdą wojskowego szyku i specjalistą od bohaterskiego wysuwania dolnej szczęki. Major Love również wykazuje niejaki talent w wysuwaniu dolnej szczęki.

Główną pasją Love'a jest dostarczanie roboty kolegom po fachu, czyli grabarzom. Najłatwiej poszło mu z plutonem zwiadowczo - rozpoznawczym, z którym miewał do czynienia sporadycznie, acz efektownie. Whistle Tompkins zwykł był mawiać, że żywe, ruchome ludzkie ciało to obraza dla poczucia przyzwoitości majora Love.

Dzięki majorowi Love właśnie i jego militarno - grabarskim talentom udało mi się ostatnio wykonać efektowny skok w górę o trzy belki. Wskutek - jak zwykle u Love'a - zainspirowanego lekturą mapy, źle zaplanowanego tak zwanego patrolu rozpoznania terenu, straciliśmy nad Saara połowę drużyny. Było to posunięcie tak bezcelowe i głupie, że w głowie się nie mieści. I tak obrzydliwe, że nie będę o nim opowiadał; mam nadzieję, że nie.

Kiedy mówię „straciliśmy”, mam na myśli trupy. W wojsku nigdy nie mówi się głośno, że ktoś z naszych został zabity. Albo zginął, jak Krzyś w *Kubusiu Puchatku*, albo oberwał, jak w baseballu - i powrót na bazę, albo go trafili, albo „dał”, jak w dwuznacznym dowcipie.

Dowódcą naszej drużyny był Max Lewis, lat dwadzieścia. Jego zastępca, Louis Corrollo, miał dziewiętnaście. Mówiliśmy na nich „bliźniaki Louie” (jak w tej piosence - *Louie, Louie, You Gotta Go*). Jeszcze czterech z nas „dało” w tym samym dniu: Morrie Margolis, Whistle Tompkins, Fred Brandt i Jim Freize.

Morrie mieszkał ze mną w jednym namiocie. Robiliśmy wspólne szałas z dwóch spiętych razem pałatek i w ogóle dzieliliśmy się wszystkim. Z tych sześciu ani jeden nie miał w AGCT (AGCT to jeszcze jeden wojskowy paradoks: wojskowy test na inteligencję) wyniku poniżej 150. Pod względem intelektualnym każdy z nich był jeden na dziesięć tysięcy. Ale to całkiem oddzielna historia, jeszcze głupsza niż patrol Love'a. Tę może nawet opowiem.

Mam talent do opowiadania prawdziwych historii, w które nikt nie wierzy.

Jak zostałem dowódcą drużyny - to jest jeszcze inna historia. Tak inna, jak *Kubuś*

Puchatek inny jest od *Zbrodni i kary*.

Nasza dywizja wzięła straszne wały pod Saarbrücken. Zdobyliśmy parę mil majątku ziemskiego Europy, tracąc w zamian zadatki na nieodżałowane (i niezbyt żałowane) pokolenie świetnie się zapowiadających młodych ludzi. Mimo to armia amerykańska uznała chyba rzecz całą za dobry interes.

Teraz przemieścili nas na północ, w Las Ardeński, gdzie mamy wypoczywać i czekać na posiłki. Jest to rzekomo odcinek, na którym jeszcze nigdy nic się nie stało i nie stanie: rodzaj schroniska wysokiej kategorii, pierwszoliniowa meta, na której można poprawić makijaż, podreperować nerwy i ogólnie doprowadzić się do porządku.

Osobiście wątpię, czy jestem jeszcze zdatny do remontu. Boję się bez przerwy i w ogóle nie mogę spać, nawet na długiej warcie. Już dwa razy miałem atak hysterii, ale nikt mnie nie widział, chociaż dawałem szanse wszystkim razem i każdemu z osobna. Kręciłem się, pochlipując, koło Mela Gordona, naszego nieoficjalnego lekarza i psychiatry drużynowego, ale on nawet na mnie nie spojrział. Pies z kulawą nogą się tu człowiekiem nie zainteresuje.

Największym moim bieżącym problemem jest pokazowy wręcz przypadek sraczki ogólnowojskowej. Dzięki ci, Boże, za gacie w kolorze khaki.

Tutejsi medycy uznali mnie za lekomana i nie chcą mi już wydawać lekarstwa na biegunkę, które jest wyciągiem z opium. Wczoraj wybrałem się do swojej dawnej kompanii, Kompanii L, i wyżebrałem dwie dawki od Brennera, medyka z trzeciego plutonu.

W tamtą stronę srałem pięć razy, a z powrotem tylko trzy - od razu pomogło. Odżywiam się już prawie wyłącznie sucharami i serem z racji rezerwowych: moje kichy boją się wszystkiego, co wymaga trawienia. Kto wie, czy mianowanie mnie zasranym (dosłownie) dowódcą oddziału nie jest najlepszym dowcipem w całej tej wojnie.

I tym wesołym akcentem kończę naszą odprawę, wycofując się w tak zwany umownie sen. Matka chrapie u mojego boku.

Rankiem porucznik Ware odchyła klapę naszego namiotu. Fragment książki ulotnił się; mam nadzieję, że trafił do Shutzera.

- Sierzancie Knott, major Love wzywa was do namiotu S___. Idźcie jeść, a ja tam przyjdę punkt dziewiąta.

Czeka, żebym się na pewno obudził, po czym odchodzi. Kładę się z powrotem i usiłuję wymyślić stosowne przyzwoite słowo na wyrażenie swoich uczuć. Jeszcze się jednak do końca nie obudziłem. Przychodzi mi do głowy tylko „kurwa”. Ojciec mówi, że myśląc ich kategoriami, poddajemy się wewnętrznemu. Może właśnie dlatego mnie mianowali dowódcą drużyny. Może także dlatego mam sraczkę: jestem zbrukany wewnątrz.

Chociaż dzisiaj rano jest jakby lepiej. Udaje mi się nawet schylić i zasznurować buty bez uczucia, że ściskam w brzuchu balon wypełniony pomyjami.

Ubierając się, co jest niezłą gimnastyką w małym namiocie, i starając się przy tym nie obudzić Wilkinsa, mogę przy okazji wyjaśnić, jak to jest z moim nazwiskiem. Moje nazwisko rodowe brzmi Knott. Rodzice chcieli mnie ochrzcić Bill albo Billy, ale ponieważ nie ma świętego Billa ani Billy'ego, dali mi na imię William. Przysięgają, że nie dla kawału.

Już w trzeciej klasie koledzy przezywali mnie Will Knott, co wymawia się „Will Not” - czyli Niechciał. Przywykłem do tego, do mojej małej martyrologii. I byłem wewnętrznie przygotowany na powtórne przeżycie tego w wojsku (Willingly or Knott - czyli Chcąc Nie Chcąc - ha, ha!). Nie nastawiałem się jednak na spotkanie z banią mądrali i dowcipnisiów, ukrywających się pod kryptonimem plutonu zwiadowczo - rozpoznawczego. Z miejsca postanowili oni przyznać mi przydomek Wont (Chciał) albo Won't (Niechciał) - dyskusja toczyła się tylko wokół pisowni.

I trwała przez cały okres służby zasadniczej. Przywódcą grupy broniącej apostrofu był Max Lewis, który twierdził, że jestem urodzonym radykałem, rozrabiaką i dzierzymordą, który nigdy nie robi tego, co mu każą - a więc Won't. Mel Gordon przewodził frakcji antyapostrofowej, twierdząc, że jestem wyjątkowo uczynny i chętny (Wont) do wszystkiego, o co się mnie poprosi.

Nazwali się „apostatami” i „antyapostatami”. Ojciec Mundy mawia, że prawda jest w oczach patrzącego.

I tak wszyscy wołają mnie Won't albo Wont, do mnie zaś należy, co wolę słyszeć. Wszyscy oprócz Maxa, który zwracał się do mnie per WuOeN - apostrof - Te, aż do chwili, kiedy DOSTAŁ.

Już się ubrałem i wyslizguję się z namiotu, z przyborami do golenia i kubkiem w garści. Widzę, że Matka Wilkins znowu wyszorował mi kubek. Ciekawe, co zostawia żonie do roboty w domu. Opisuję tę bzdurną historię z imieniem dla unaocznienia, do jakich absurdów dojść może umysł ludzki, kiedy nadmierna potęga rozumu skoncentrowana zostanie na zbyt małej przestrzeni. Nasz oddział ma inteligencji od cholery i trochę, za to znacznie mniej zwiadu i rozpoznania. Jesteśmy bandą zawszonych sofistów talmudyczno - jezuickich, maglujących w kółko jedną i tę samą nie kończącą się grę różańcową.

Postanawiam zaryzykować i zjeść normalną gorącą jajecznicę z jedną parówką. Taki głupi, żeby pić kawę, to już nie jestem.

Kawa działa na mnie jak olej rycynowy. Nie wiem, czy to kawa w ogóle, czy tylko ta kawa, którą piłem w strachu, ale zapach, smak, sama bliskość kawy sprawia, że staję się

nerwowo, roztrzęsiony - krótko mówiąc: robię w portki. Tak jest po dziś dzień.

Biorę menażkę, włączę do jednej z ciężarówek komunikacji pozafrontowej i staram się jeść jak najostrożniej, w ciszy, w skupieniu, każdy kęs przeżuwać po dwadzieścia razy i wolno przełykając.

Właśnie kończę, kiedy bystry porucznik Ware odnajduje mnie w mojej kryjówce. Stoi i patrzy ponad klapą zabezpieczającą, hełm ma zsunięty na kark. Istny Van Heflin w roli Van Johnsona w filmie wojennym z Marleną Dietrich grającą nazistowskiego szpiega.

Słówko na temat Ware'a, korzystając z tego, że usiłuję wepchnąć w siebie dwa ostatnie kęsy i medytacją zmusić żołądek do jakiejś takiej sprawności działania.

Ware brał udział w Kampanii Aleuckiej. Potem przeniesiono go do - Siątej Dywizji Piechoty i na dobrą sprawę wycofał się z wojska. Jak mawia Mel Gordon, Ware „wszystko ci obieca, a potem będzie bardzo uważał, żeby broń Boże nie dotrzymać słowa”. Stan odgraża się, że kiedy po wojnie uruchomi Agencję Reklamową Shutzera „Strzał w Dziesiątkę”, natychmiast zatrudni w niej Ware'a - to grzech, mówi, żeby taki talent się zmarnował.

Pułkownik Suggester ściągnął Ware'a do kompanii dowodzenia właśnie dla sformowania plutonu zwiadowczo - rozpoznawczego. Do Ware'a dotarł tylko pierwszy człon nazwy - Intelligence. Przewertował kartotekę całego pułku i zgłosił dwudziestu czterech ludzi z najwyższym współczynnikiem inteligencji. Pomysł był sam w sobie niesamowity, ale żeby w pełni docenić jego niesamowitość, trzeba przede wszystkim wiedzieć, jak powstała sama nieoceniona dywizja.

Dwa lata temu dywizję Gwardii Narodowej, w której działał nasz major Love między jednym a drugim pogrzebem, otrzępano z kurzu i postawiono w stan gotowości bojowej. Zanim ją jednak przerzucano za ocean, odbyły się manewry łączone, z dwiema podobnymi dywizjami. Odbyły się one na terenie stanów Missisipi, Tennessee i Luizjana. Manewry okazały się jedną wielką kompromitacją. Jak to możliwe, żeby wszystkie trzy dywizje przegrały w grze wojennej? A jednak.

Już po fakcie ktoś stwierdził, że dziwnym trafem średni współczynnik inteligencji w tychże dywizjach oscylował w okolicach osiemdziesięciu pięciu. W kategorii mózgowców, członkowie tych dywizji plasowali się na dole drugiej standardowej dewiacji w lewo. Wszystkich jako tako myślących rozdrapały już wcześniej wojska powietrzne, łącznościowe, pancerne, artyleria, i tak dalej. Zostało samo dno.

Na mocy decyzji wojskowej wszystkich szeregowców z owych trzech dywizji przewieziono okrętami na Południowy Pacyfik w charakterze rezerwy. Pozostała więc kadra szczególnie bystrych oficerów i podoficerów.

Tymczasem w cywilizowanym świecie rozgrywał się całkiem inny scenariusz. W roku 1943 większość amerykańskich męskich absolwentów szkół średnich przetestowano na okoliczność tak zwanych programów A12 i V12. Wybrani mieli być delegowani na uniwersytety i tam studiować inżynierię albo medycynę. A12 znaczyło Armia. Ideą było wyszkolić nas do odbudowy świata po tej paskudnej wojnie.

Kilka tysięcy wybrańców, wcieliwszy ich uprzednio do rejestrów wojskowych, posłano na uniwersytety. Ponieważ wielu z nas podczas szkolnej kariery robiło po dwie klasy w jeden rok, i to nie raz, byliśmy za młodzi do poboru. Uznawano bowiem wówczas, że stosowną granicą wieku, w którym wolno zabrać i być zabranym, jest wiek lat osiemnastu. Umieszczono nas zatem w ASTPR - czyli Wojskowym Programie Szkolenia Specjalistycznego dla Rezerwistów. Powędrowaliśmy prosto na uniwersytety, a służbę zasadniczą mieliśmy odbyć po osiągnięciu stosownego wieku - po czym znów obiecywano nam powrót na studia. Było to coś w rodzaju wczesnej edukacji przedszkolnej.

Tak się jednak złożyło, że kiedy odbywaliśmy szkolenie zasadnicze dla żołnierzy piechoty w Fort Benning, stan Georgia, kursy ASTPR i, po większej części, ASTP, rozwiązano - jakaś siła wyższa skreśliła je po prostu z harmonogramu. Rozesłano nas wobec tego po dywizjach piechoty, żebyśmy się pobawili w prawdziwych żołnierzy. To z kolei było czymś w rodzaju superpromocji z przedszkola prosto do gimnazjum.

My, ASTPR - owcy, mamy cały szereg śmiałych teorii na temat tego, co się naprawdę stało. Mamy swoje podejrzenia. Teorie wahają się od selektywnego ludobójstwa (żeby średni poczuli się lepsi) po hipotezę, że cała intryga była od początku chytrą i podstępłą formą rekrutacji.

Wielu z nas powtykano na miejsca tych szeregowców z dywizji Gwardii Narodowej, których wysłano na pewną śmierć na Południowym Pacyfiku. Dzięki temu średni iloraz inteligencji w tych dywizjach poszedł w górę, co rozwiązało drażliwą kwestię jakościową.

Spora grupa młodocianych, absolutnie zielonych w swoim fachu niby - żołnierzy chcąc nie chcąc dołączyła do - Siątej Dywizji w Camp Shelby, stan Missisipi, żeby przyczynić się do powstania postawionej na głowie formacji, w której grupa kretynów, legitymujących się stopniami oficerów i podoficerów, usiłowała dowodzić grupą zmanierowanych, przemądrzałych szeregowców. Z perspektywy czasu widzę, że sytuacja ta nie była aż tak niecodzienna, jak mi się zdawało.

Kiedy więc porucznik Ware wyciągał nas z pułkowej kartoteki, z rozmysłem czy bez (jeżeli w ogóle posiadał coś takiego jak rozmysł czy też rozum), kroczył właściwą drogą, bo zbierał już powołanych - wybrańców. Z wyjątkiem Ojca Mundy'ego i Matki Wilkinsa, cała

nasza drużyna składa się, a raczej składała, z byłych ASTPR - owców, z których każdy legitymował się imponującym ilorazem inteligencji.

ASTP jest to akronim nie do wymówienia. Whistle Tompkins dowodził jednak, że to nieprawda: że TP jest dyftongiem z języka babilońskiego, wymawianym jak „s”, co daje słowo „ASS” - czyli „DUPA”. Shutzer polemizował z nim, twierdząc, że TP ma przy AS swoje istotne znaczenie, jako „TOILET PAPER” - czyli papier toaletowy, żeby było czym podetrzeć.

Nieźle się rozgadałem jak na dwa kęsy i uspokojenie żołądka, w asyście Ware'a, który stoi i gapi się na mnie w zsuniętym na kark hełmie. Albo wyjątkowo wolno przeżuwać, albo wyjątkowo szybko myśle.

- Ruszajcie się, Knott, idziemy. Love czeka.

W wojsku wszystko jest wyznaczone na określoną godzinę, piąta zero zero, i tak dalej, ale nie wydają nam zegarków. W naszej drużynie są teraz trzy zegarki; kiedyś było pięć. Ja nie mam. W świecie, z którego przybyłem, posiadanie zegarka i telefonu jest przywilejem wyższych sfer.

Maszerujemy do namiotu S2. Odwiecznym zwyczajem, jak staromodna żona Japończyka albo pies wytresowany do chodzenia przy nodze, idę nieco z boku i o krok z tyłu za Ware'em - efekt wojskowej tresury. Ware ni stąd, ni zowąd przystaje i ogląda się na mnie.

- Jezus Maria, Knott! Jeszczeście sobie nie ponaszywali tych belek?

- Sierżant magazynier mówi, że chwilowo zabrakło belek sierżanta. Czekają na dostawę.

- To weźcie, do cholery, oficerskie i zetnijcie rogi.

- To by było niszczenie rządowej własności, panie poruczniku. Sugerowałem to już sierżantowi Lucasowi.

Mam nadzieję, że tłumaczę się wystarczająco mętnie. Faktem jest, że to Lucas wciskał mi dystynkcje oficerskie z sugestią ich poobcinania, a ja odmówiłem, argumentując, że byłaby to dewastacja własności rządowej, kwalifikująca się do Raportu o Stratach. Na to Lucas się wystraszył; on jest z oryginalnej dywizji Gwardii Narodowej i trochę wolno myśli.

- No to miejmy tylko nadzieję, że Love, kurwa jego mać, nie zauważy.

Zdumiewające, ile się w wojsku bluźni, jak dobrze posłuchać. Z początku aż człowieka zatyka. Ojciec Mundy prowadził przez jakiś czas Klinikę Terapii Anonimowych Profanów.

Ware pierwszy wchodzi do namiotu S2. Zaraz za klapą prężymy się na baczność. Wnętrze jest typowe. Na samym środku, przy maszcie polowym, stoi stół polowy z mapą powleczoną celuloidem. Pod tylną ścianą widnieje nadstandardowych rozmiarów prycza z puchowym śpiworem, już idealnie zasłana przez któregoś z ordynansów Love'a.

Pod lewą ścianą namiotu stoi major Love we własnej osobie i goli się w przenośnym

lustrze nad przenośną umywalką. Ma na sobie spodnie szyte na miarę (innych nie nosi nawet w pole) i obcisły podkoszulek w kolorze zgniłej oliwki.

Stoimy na baczność. Ja wiem, że on wie, że już jesteśmy. Starszy szeregowiec Tucker, pierwszy ordynans majora Love'a, stoi obok w roli ministranta, dzierżąc ręcznik i miseczkę do namydlania. Tucker też szyje sobie mundury na miarę: robi to własnoręcznie i jakoś nikt się go nie czepia, dzięki Love'owi.

Wreszcie, kiedy już staliśmy się świadkami serii kategoriycznych prób usunięcia paru ostatnich włosków spod nosa, Love łaskawie raczy nas dostrzec - najpierw w lustrze, następnie zaś bezpośrednio, przez odwrócenie głowy.

- Spocznij.

Ware i ja spuszczaemy powietrze, demonstrując przy tym stosowne oznaki podporządkowania. Tucker podaje Love'owi z miski parujący ręcznik. Love zanurza w nim twarz i trze siarczyście. Masuje się aż po czubek głowy, najpierw słabiej, potem mocniej, w końcu oddaje ręcznik Tuckerowi i bierze świeży, suchy. Wszystkie nasze ręczniki mają ogólnowojskowy kolor khaki, więc nie można poznać, czy są czyste, czy brudne, chyba że po zapachu. Te jednak wyglądają, jakby wyszły prosto z magazynu.

Teraz spotyka nas zaszczyt oglądania majora Love'a w trakcie fryzowania włosów. Najpierw wciera w nie parę kropel wazelinowego toniku. Ma ten gatunek włosów, na którym zostają wszystkie ślady zębów grzebienia, jak ślady pługa w gliniastej ziemi.

Przypomina mi się nasz ostatni konkurs na słówka. Wygrał Gordon. Pytanie: Co to jest Biblia? Odpowiedź: Tom Boży. I jak ja mam robić karierę sierżanta przy takim mózgowcu? Nie bujać w obłokach!

Love naciąga na obwisłe ramiona świeżutką, wyprasowaną przez ordynansa koszulę na miarę i odwraca się do nas, przybierając pozę bojową: wyglansowane oficerki w rozkroku około dwóch stóp, powolne kołysanie się z palców na pięty, połączone z dopinaniem koszuli. Upychanie koszuli w spodniach to cały oddzielny dłuższy ceremoniał.

Widzę po jego minie, co się święci: patrol zwiadowczy. To już koniec. Hej, do broni, wroga goń! Już mi łatwiej stać na baczność. W tym miejscu, gdzie powinno być serce, czuję parówkę.

Love zachodzi mapę od tyłu i pochyla się nad nią. Błat stołu jest lekko nachylony w jego stronę. Love podnosi wzrok na nas i uśmiecha się. Zaraz nam zasunie. Trzech zrobi wypad na Linie Zygryda; cel wypadu: ująć języka, najlepiej oficera wyższej rangi, mówiącego po angielsku.

Love bierze do ręki ołówek kopiowy i pokazuje coś na mapie.

Zaczyna się Odprawa Majora Love'a. Jak zwykle będzie to na pewno odgrzewana wersja tego, co przekablowano do dywizji z oryginalnych pomysłów niewyżytego twórcy ze sztabu generalnego albo z wywiadu, bazowanych na zdjęciach lotniczych Love zakończył potoaletową przedśniadaniową operację wojskową. Odbywamy teraz cały wielki ceremoniał oddawania honorów przy wychodzeniu, po czym, jak mogę najszybciej, uwalniam się od Ware'a. Chcę zasięgnąć rady drużyny. Może właśnie takiej szansy nam potrzeba, żeby się zerwać z wojny. Cały tydzień bez świadków.

Gównno. Jasne, że zrobimy, co nam każą. Oczywiście, że przypilnujemy Love'owi pałacu w samym środku zmarzniętego na kość lasu, w którym roi się od tych, co czyhają na nasze życie.

Ciekawe, co nas upoważnia do myślenia, że jesteśmy tacy cholernie mądrzy. Jesteśmy dobrzy w rozwiązywaniu testów, krzyżówek, gramy w brydża, w szachy, w inne gry, czytamy bez opamiętania - i już nam się wydaje, że jesteśmy Bóg wie czym. Jak na to spojrzeć obiektywnie, to mądre są takie głupki jak Love albo Ware. Oni pozostają przy życiu. To się nazywa inteligencja!

2. NAJDŁUŻSZA NOC

W nocy spadł śnieg, ale nieduży; temperatura spadła co najmniej o dziesięć stopni. Pierwszy śnieg nad Saara spadł w moje dziewiętnaste urodziny.

Miałem całodzienną wartę na posterunku obserwacji artyleryjskiej, przy lornecie. Cały ranek zszedł mi na oglądaniu świata przez zasłonę białych punkcików i staraniach, żeby nie zachuchać soczewek. Było pięknie, nawet czarne kwiaty mózdzierzy były piękne - bo daleko. Wybierałem sobie jakieś miejsce i czekałem, aż się zmaterializuje - to można zrobić, kiedy się dobrze zna obraz. Teraz, ilekroć patrzę na obrazy Breughlów w Wiedniu, przypominają mi się moje dziewiętnaste urodziny.

A tutaj rano, kiedy wyjeżdżamy i minąwszy kompanię K zagłębiając się w las, na drodze leżą poprzymarzone liście i szyszki sosnowe. Cała droga to po prostu dwie twarde koleiny, lekko przyprószone świeżym śniegiem. Ani śladu innych pojazdów; jazda trudna, ślisko, zimno. Naszego jeepa prowadzi Miller; ja z Wilkinsem na zmianę pilnujemy z tyłu pięćdziesiątki. W tej chwili siedzę na górze, przy karabinie; nielitościwie zimno jest na tym lodowatym wietrze.

Wjeżdżamy coraz głębiej w las; po obu stronach górują nad nami ciemne, olbrzymie sosny. Niebo pomału się przeciera. Jedziemy prawie bez słowa. Stanowimy wymarzone tarcze strzelnicze.

Kierowcą drugiego jeepa jest Gordon, pasażerami Ojciec Mundy i Shutzer. Oglądam się, czy jeszcze jadą za nami.

Wilkins puka mnie w ramię; mogę wracać na dół do wozu. Wilkins gramoli się, przytrzymując uchwytu i siada okrakiem za celownikiem. Wygląda, jakby się bał, ale przecież wszyscy stale wyglądamy, jakbyśmy się bali. Nikomu nie mówiliśmy o tamtym biegu przełajowym z przeszkodami. Może dlatego, że trudno powiedzieć, kto go wygrał. Wilkins zachowuje się jakby nigdy nic. Mnie to odpowiada: na samą myśl o tym dalej skręca mnie ze strachu.

Matka ma na głowie długi szal z obciętego koca: upchał go pod hełmem jak burnus, niżej zawinął dokoła szyi, a końce wpakował pod kurtkę polową. Wygląda przez to jak smętny Lawrence z Arabii. Dzięki Bogu, że sierżant Hunt tego nie widzi.

Okulary zsunęły się Matce na sam czubek nosa. Nie jestem pewien, czy on w ogóle coś widzi przez te cyngle. Nos ma długi, jaskrawoczerwony przez kontrast z twarzą, ale poza tym wygląda całkiem normalnie - może wtedy miał tylko moment słabości, coś, o czym najlepiej zapomnieć?

- Coś ci powiem, Wont. Czuję się jak tarcza na kółkach, którą ciągną po linii ognia na strzelnicy.

- Nie gorączkuj się, Matka; wyobraź sobie, że jedziemy na święta Bożego Narodzenia do rodowego pałacu, a ty jesteś potomkiem starej europejskiej elity.

Patrzę ponad ramieniem Millera. Droga jest trudna, kręta, wąska. Prowadzi nas zakosami w głąb lasu.

Właśnie po raz kolejny sprawdzam na mapie, czy nie pomyliliśmy drogi, kiedy nagle cały świat wylatuje w powietrze! Jeep tak podskoczył, że tylko Miller potrafił go uchronić przed dachowaniem. W pierwszej chwili myślę, że najechaliśmy na minę, ale zaraz widzę, że to tylko Matka pruje ogniem ciągłym. Celuje tuż za lewym uchem Millera w coś, co zobaczył po tamtej stronie drogi; jeep przechylił się na prawe koła. Zanim opada na cztery - ja już jestem na zewnątrz. Miller gasi silnik, łapie swój M1 i daje nura pod podwozie jeepa. Połowa gratów, które wieźliśmy na kupie z tyłu, za karabinem, leży porozrzucana na drodze. Kulę się wśród nich.

Wyskakując, huknąłem kolanem w pierdolony uchwyt i w tej chwili znacznie bardziej obchodzi mnie ból w nodze, niż pytanie, czy w ogóle przeżyję.

Wilkins dalej siedzi za karabinem. Już nie strzela', ale w dalszym ciągu patrzy ponad lufą. Z trudem mobilizuję głos do szeptu. Podkradłem się chyłkiem za prawe tylne koło, jak najdalej od kierunku, w którym strzela Matka.

- Co jest, Wilkins? Co tam widzisz?

Mija dobra chwila, zanim mi odpowiada. Wstaje zza karabinu, poprawia okulary na nosie i nachyla się do mnie.

- Tam, za tym drzewem, stał niemiecki żołnierz. Zdaje się, że go trafiłem, leży na ziemi. Innych nie widzę.

- Jesteś pewien, Matka? Teraz też go widzisz?

Matka zdejmuje okulary, przeciera szkła skórzanym wierzchem wełnianej rękawicy i patrzy jeszcze raz.

- Tak, widzę go. Ty też zobaczysz, jak staniesz.

Kto lubi żyć, ten nigdy czegoś podobnego nie robi. A z drugiej strony - jeżeli to pułapka, to dlaczego nie zestrzelą Matki z jeepa?

Zachęcony tym błyskawicznym kawałkiem logiki, przeskakuję za drzewa przy drodze. Oglądam się i widzę, że z drugiego jeepa wszyscy się rozpięchli; silnik nadal pracuje.

Boże święty, jak ja się boję, tylko czekam na TATATATATA z rozpylacza. Zarzucam karabin na plecy i odpinam granat od bluzy. Jakby tak, nie daj Boże, coś blisko, lepiej mieć w

pogotowiu granat niż karabin. Wkładam palec w kółko zawleczeni i posuwam się naprzód - najpierw o dwa drzewa, potem o trzy. Rzeczywiście, jest Niemiec. I bez wątpienia trup.

Po jakiejś minucie, zaszedłszy „szwabskiego trupa” w myśl najlepszych zasad regulaminu piechoty, widzę coś, co od tamtego czasu przez trzydzieści siedem lat najmniej z tysiąc razy widywałem w snach.

On nie żyje już od dłuższego czasu: zamarzył, z jednym ramieniem nad głową, a drugim przyciśniętym do brzucha. Teraz leży na plecach, ale umierał na brzuchu, z odwróconą głową. Jedna część twarzy jest zlodowaciała i obiera się, płaty zmrożonego mięsa odchodzą od kości, mięso jest sinozielone, ani śladu krwi. Widzę miejsce, w którym jeden z pocisków Matki, kaliber pięćdziesiąt, przebił szyję tuż pod brodą - idealna, bezkrwawa, pięćdziesięciokalibrowa dziura.

Widziałem już martwych i umierających, ale nigdy jeszcze nie widziałem zastrzelonego trupa. Mówi się - „trup - nieboszczyk”: to właśnie on, zastrzelili go, kiedy już był trupem. Trudno o większe zbezczeszczenie.

Nagle materializuje się przy mnie Miller.

- O psiajucha! Co się stało?

- Ktoś go musiał oprzeć o drzewo, Bud. Przywlekli go skądś i tutaj ustawili.

Podnoszę typowego niemieckiego jednostrzałowego mauzera, który stał obok żołnierza. Jest jeszcze kartka białego papieru, podziurkowana, ale bez żadnego napisu, żadnego druku.

- Może nawet ułożyli mu na rękach ten karabin, żeby wystawał lufą zza drzewa. Dlatego Matka go zauważył.

Cała drużyna już się zleciała, oprócz Wilkinsa. Ładny ze mnie dowódca, nie ma co.

- Chodźcie, chłopaki, chodźcie do kupy, to nas łatwiej skoszą!

Jasny gwint!

Ojciec Mundy klęka koło Niemca. Kciukiem próbuje mu zamknąć jedyne oko, jak prawdziwy ksiądz, ale oko zamarzło otwarte. Z drugiego została krwawa jama, zamarznęta krwawa jama. Ojciec ściąga rękawicę, pakuje kciuk w otwór lufy swojego M1 i chwilę wierci. Potem znaczy krzyżyki na tym, co pozostało z twarzy Niemca: na czole, na oku, na uchu i na ustach; także na wierzchach sztywnych, rozkładających się dłoni. Mamrocze sam do siebie modlitwy po łacinie. Przyklękam na jedno kolano, między innymi po to, żeby się nie chwiać na nogach.

- Mundy, czy ty mu robisz ostatnie namaszczenie? Zdawało mi się, że aby człowiek mógł otrzymać ostatnie namaszczenie, a ksiądz go udzielić, ten człowiek musi być jeszcze żywy?

Mundy podnosi się powoli, nie przerywając modlitwy. Funkcjonuje prawidłowo, ale jest

w nie mniejszym szoku niż ja sam.

- Masz rację, Wont. Ale pomodliłem się najlepiej jak umiałem. Prosiłem aniołów, żeby dopomogli, i diabły, żeby odstąpiły. Co więcej można zrobić?

Ściąga hełm: głowę ma mokrą od potu. Wracamy do jeepów. Matka Wilkins, jak jedyny przyzwoity żołnierz w całej cywilbandzie, siedzi twardo przy pięćdziesiątce i osłania nas. Mundy sięga pod wyściółkę hełmu i wyciąga zwitek papieru toaletowego.

- Wont, mogę na chwilę iść w krzaki? Od takich rzeczy dostaję rewolucji żołądka.

Daję wszystkim umowny znak „odlać się” i Ojciec Mundy oddala się głębiej w las. Idę do jeepa. Miller siedzi okrakiem na miejscu kierowcy, dynda nogami. Zdjął hełm, klepie się dłońmi po uszach.

- Słuchaj, Matka, mógłbyś mi na drugi raz dać znak na sekundę przed tym, jak znowu zaczniesz? Mam teraz pod czaszką koncert chmary drozdów z towarzyszeniem zardzewiałego szybu naftowego.

Odwraca się do mnie.

- Won't, mogę zapalić, zanim Mundy wróci?

- Jasne, ale ja nic o tym nie wiem. Z Gordonem też muszę żyć w zgodzie.

Spoglądam do tyłu, gdzie stoi drugi jeep; Shutzer i Gordon opierają się z boku o maskę.

Melvin Gordon jest naszym drużynowym maniakiem od dbałości o zdrowie. Zamierza zostać lekarzem, jeżeli przeżyje wojnę (co mu się zresztą udało: i jedno, i drugie). Przyjął na siebie, nieproszony, osobistą odpowiedzialność za stan naszych organizmów. Mundy opiekuje się duszami. Mówiąc językiem współczesnej propagandy, Matka jest naszym ekologiem, Miller mechanikiem i poetą, ja artystą, a Shutzer menażerem.

Gordon wszystkim palaczom w drużynie kazał rzucić palenie, przynajmniej w jego obecności. Bywa to czasami bardzo uciążliwe. Najbardziej opiera się Gordonowi Miller, tak samo jak Shutzer Mundy'emu.

Nagle z lasu wypada Ojciec Mundy, w półnegliżu. W jednej ręce dalej dzierży papier toaletowy, który powiewa za nim jak proporzec, a drugą ręką podtrzymuje spodnie. Karabin osunął mu się w zgięcie łokcia i majta się z przodu, przy każdym kroku waląc Mundy'ego po kolanach.

- Matko Boska, ratuj!

Ogląda się przez ramię. Ręką z papierem toaletowym sięga do hełmu i uświadamia sobie, że go nie ma. Staje w biegu jak wryty.

- O Boże, nie! Nie każ mi wracać!

Próbuje się pozapinać i opanować. Płacze się w papierze toaletowym. Znowu wszyscy

rozpłaszczyliśmy się na śniegu, oprócz Wilkinsa, który przekręcił lufę pięćdziesiątki i celuje teraz dokładnie ponad głową Ojca.

- Co jest, Mundy, gadaj, na litość boską!

Mundy daje jeszcze parę chwiejnych kroków i zwała się na ziemię tuż przy mnie. Ma dobrze ponad sześć stóp wzrostu i waży najmniej dwieście funtów - słonisko. Jego normalnie jasna cera jest teraz jeszcze bledsza, a nad wywiniętą po irlandzku górną wargą zgromadziły się krople potu. Mundy trzęsie się na całym ciele.

- Nie uwierzysz, Wont.

Reszta drużyny już przyturlała się, przybiegła i przyczołgała w pobliże nas. Pocieszam się, że nikt inny też nie byłby w stanie dowodzić tym stadem geniuszy. Zawsze muszą wszystko wiedzieć. Wilkins wychyla się w dół spoza karabinu.

- Co to było, Mundy? Co tam jest? Niemiecki patrol?

- Nie, Vance, nic z tych rzeczy. Tylko że ja się nie spodziewałem. Nie wiem, co tam się naprawdę dzieje, ale musicie wszyscy iść i zobaczyć. Sam nie jestem pewien, co widziałem. Tak się zląkłem, że zwałem nie przyglądając się zanadto.

Shutzer podpira się i wstaje, ścierając szron i błoto z kolan i łokci.

- Ale powiedz dokładnie, Ojciec, co widziałeś: grootę, z której sączyło się tajemnicze światło, i paniusię w lśniących błękitach, która do ciebie przemówiła? No, mów!

Mundy częstuje Shutzera spojrzeniem „Panie, wybacz im...”

- Dobrze, mądrało, co powiesz na żołnierza niemieckiego, który tańczy z żołnierzem amerykańskim, w samym środku lasu, i to bez muzyki?

Shutzer gramoli się na jeepa, żeby zastąpić Wilkinsa za pięćdziesiątką. To on powinien być dowódcą drużyny. O takich rzeczach właśnie trzeba myśleć. Wślizguje się na stanowisko, a Matka Wilkins zjeżdża na dół z drugiej strony jeepa. Pewnie przemarzył na kość. Gordon wytrząsa śnieg z rękawiczki.

- Co to ma znaczyć? Ojciec Mundy wybiera się do czubków? Niech ja skonam. Wystarczy kilka wizyt, Ojciec, i wszystko będzie w najlepszym porządku. Przyjmuję pacjentów od drugiej do piątej. Jakoś cię wcisnę. Następny.

Pora odegrać sierżanta.

- Spokój. Dobrze, Mundy, sprawdzimy, co to jest. Shutzer, ty zostań tutaj i osłaniaj. Miller, ty nam będziesz dawał ogień krzyżowy zza drugiego jeepa.

Myślę między innymi o tym, żeby Miller mógł sobie spokojnie zapalić, zanim wrócimy.

Ruszamy w las, broń w pogotowiu. Docieramy na miejsce. Mundy podnosi swój hełm i wskazuje palcem w lewo.

Zwykle jestem gotów uwierzyć we wszystko, ale tym razem to naprawdę nie jest łatwe. Wyglądają jak pomnik. Muszą tu już sterczeć od pewnego czasu, bo ostatni śnieg przyprószył im hełmy i ramiona jak cukrem pudrem. Podchodzimy powoli, Gordon pierwszy.

Ktoś ustawił żołnierzy amerykańskiego i niemieckiego wspartych o siebie w ostatnim uścisku. Splecione ramiona i nogi nadają im wygląd tańczących walca, albo łyżwiarzy, szykujących się do wykonania skomplikowanej figury. Nie idę dalej, nie chcę na to patrzeć. Mundy i Gordon podchodzą do makabrycznej pary, Matka za nimi. Po chwili Matka robi w tył zwrot i wraca do mnie.

- Nic nie rozumiem, Wont. Co tu się dzieje? Kto ustawia te trupy? To jakieś wariactwo! Ta cała wojna gdzieś się wykoleiła!

Kręcę tylko głową. Boję się, że jak zacznę mówić, będę bełkotał. To nie to, że się boję: raczej czuję się skołowany, zde gustowany, zniechęcony. Stoję, karabin w pogotowiu, udając, że pełnię tu jakąś żołnierską rolę. Mundy z Gordonem rozczepiają ciała i kładą je na ziemi. Mundy udziela im namiastki ostatniego namaszczenia. Gordon stoi i patrzy z góry na trupy.

Mam czas, żeby się wziąć w garść. Gordon z Mundy wracają i bez słowa odchodzimy do jeepów. W tej sytuacji nawet ekipa samozwańczych mędrków i filozofów, którzy prawie wszystko potrafią obrócić w dowcip, nie ma wiele do powiedzenia.

Shutzer i Miller nie chcą wierzyć, kiedy im opowiadamy, co widzieliśmy. Muszą osobiście pójść, żeby się przekonać.

Uprzedzamy ich, że żołnierze już nie „tańczą”, że Mundy i Gordon położyli ich na ziemi, ale i tak chcą sprawdzić na własne oczy. Wiara wychodzi z mody, nawet w naszej drużynie, pomimo desperackich wysiłków Mundy'ego.

Zbieramy z ziemi racje żywnościowe, granaty, kombinezony maskujące i inne drobiazgi, w tym między innymi tuzin mini - zestawów szachowych, i sztaujemy wszystko porządnie we wnętrzu jeepa. Matka siada ze mną przy pięćdziesiątce. Gordon uruchamia drugi wóz i ustawia się tuż za nami.

Shutzer z Millerem wracają z lasu. Shutzer posuwa się jak lunatyk.

- To świnię, naziści, kapustą pędzeni, superaryjskie matkojebce, skurwysyny jedne. Tylko świnię mogą coś takiego wymyślić. Cały ich przeklęty naród nie zasługuje na to, żeby żyć wśród ludzi. Powinno się ich wszystkich powsadzać do pieców gazowych i raz na zawsze puścić z dymem. Chętnie zgłoszę się na ochotnika do pilnowania tej operacji. A ty mi, Mundy, kitu więcej nie wciskaj! Najpierw mi wytłumacz, jak to jest możliwe, żeby jeden człowiek zrobił coś takiego drugiemu człowiekowi! Co to za Bóg pozwala na takie numery!

Mundy siedzi w drugim jeepie. Siedzi cicho. Nagle patrzy prosto w oczy Shutzerowi,

który gramoli się na miejsce obok niego, i mówi:

- Tak, Stan, to okropne, to straszne, tak traktować świątynię Ducha Świętego, nawet jeżeli dusza nieśmiertelna już ją opuściła. Ale nie mamy pewności, że to zrobili Niemcy.

Miller uruchamia naszego jeepa i tak daje gazu z kopyta, że ledwo słyszę odpowiedź Shutzera:

- Na litość boską, Mundy, a kto, jak nie oni? Krasnoludki?

Jedziemy powoli. Droga wiję się, zakręca, wspina pod górkę, schodzi w dół, okrąża skalne głązy, ucieka pod ośnieżone drzewa. Siedzę przy pięćdziesiątce z głową wciągniętą w ramiona i usiłuję śledzić na mapie, gdzie jedziemy. Jest to mała wycinkowa mapka z mapy Love'a, konturówka, na której jeden cal odpowiada tysiącowi stóp - czyli powinna być w miarę dokładna. A jednak robimy więcej zakrętów, niż to z niej wynika.

- Ile ujechaliśmy, Bud?

Patrzy w dół na licznik przebiegu.

- Jakieś sześć i dwie dziesiąte, licząc od kompanii K. Przeciskamy się przez wąski przesmyk i nagle widzę most nad rzeczką, ten, którego szukałem, ten, którego mamy pilnować.

Na końcu stromej drogi prowadzącej od mostu wznosi się pałac. Prawdziwy pałac, nie jakiś fantastyczny dworek. Nawet nieduży, ale jakby żywcem wyjęty z francuskiej baśni.

Miller zwalnia powoli i zatrzymuje się; daję znak do tyłu Gordonowi. Gasimy oba silniki i nadstawiamy ucha. Cisza, słyhać tylko zimowe ptaki, szum płynącej wody i świst wiatru pośród sosen. Z tyłu las schodzi stokami aż pod sam pałac. Oglądam się na most, ale nie widzę na nim śladów opon ani stóp. Wygląda na to, że okolica jest naprawdę opuszczona.

Wysiadamy z jeepów. Gordon bierze lornetę i przesuwa się z nią ostrożnie do najbliższego pałacu drzewa, gdzie ma dobrą widoczność i jaką taką osłonę. Opiera lornetę o pień i przez dobre pięć minut lustruje okolicę.

Nikt nic nie mówi. Wszyscy gapimy się na pałac. Zbudowany jest z różowawoszarego kamienia, dachówki ma niebieskoszare, a okiennice białe. Wszystkie okiennice są pozamykane. Trzy piętra, mansardowy dach. Wygląda nierealnie.

Wraca Gordon.

- Nic nie widać, Wont: dym z komina nie leci, nic się nie rusza, żadnych śladów. Okna i drzwi pozamykane, żadnych pojazdów, żadnych zapachów.

- Co proponujesz, Mel? Wysłać dwuosobowy patrol, czy szarżować do góry na chama w dwa jeepy?

- Myślałem, że ja z Shutzerem moglibyśmy pójść kawałek w dół rzeki i podejść od tamtej strony. Zajrzelibyśmy na tyły, a potem zeszlibyśmy drogą od mostu i sprawdzili, czy nie ma

min. Jak uważasz?

- My się rozproszymy i będziemy was osłaniać. Gdyby Mel nie dostał reumatyzmu w blockach Metz, na pewno to on zostałby dowódcą drużyny, i bardzo słusznie. Albo już by nie żył.

Oddalają się we dwóch z Shutterem między drzewa. Metodą „głuchy telefon” przekazują reszcie, żeby się rozproszyli i byli w razie potrzeby gotowi pruć ogniem osłonowym.

Przemykam się pod drzewo Gordona, skąd jest dobre pole ostrzału.

Widzę, jak forsują wąską rzeczku po kamieniach. Shutter traci równowagę i jedną nogą wpada do wody po pół łydki. Gramolą się na wzgórzu od lewej ściany pałacu, tam gdzie szczyt wzgórza osłania ich od okien.

Całkiem jak na filmie wojennym albo kowbojskim - raczej na kowbojskim: dwóch pozytywnych podkrada się do szopy, w której horda zdziczałych bandytów, którzy bez przerwy klną, noszą czarne kapelusze i dwudniowe zarosty, trzyma piękną blond - córkę pułkownika, w pełnym negliżu.

Nagle znikają nam z oczu. Domyślam się, że weszli za pałac. Czekam. Czekanie to dziewięćdziesiąt dziewięć procent służby wojskowej. Czasami czeka się tylko na żarcie, czasami tak jak teraz; tak czy owak, stanowczo za dużo jest tego czekania.

Shutter ukazuje się po drugiej stronie pałacu. Nachyla się i zagląda do środka przez szparę w okiennicach. Gordon podkrada się, staje za nim i chwije głową na wyciągniętej szyi, jak pies myśliwski, kiedy chce złapać wiatr.

Gordon i Fred Brandt zawsze się przechwalali, że mają najlepsze niuchawy na świecie. Obaj twierdzili, że czują zapachy, o których innym ludziom nawet się nie śniło. Kiedyś w Shelby, w czasie zajęć strzeleckich, urządziliśmy zawody węchowe z użyciem pary skarpet Jima Freize jako przynęty. Freize potrafił w dwa dni tak przepocić skarpety, że same stały na podłodze. Nogi mu się pocily jak psi ozór i była to jedyna część ciała, gdzie Freize się pocił. Ale za to jak!

Wygrywał ten, który na nosa znalazłby skarb. Najpierw ja udałem się w głąb lasu i ukryłem tam skarpety Jima, a potem Gordon z Brandtem mieli ich szukać na węch. Obaj spisali się nadzwyczajnie. Znalezienie skarpet zabrało im mniej czasu, niż mnie ich schowanie. W dziesięciu seriach wygrał ostatecznie Fred, ale o włos. Zdaje się, że różnica polegała tylko na tym, który z nich miał większe szczęście do wiatru.

Teraz Mel został sam na placu boju. Przez jakiś czas przeżywaliśmy go Mel Cotuśmierdzi, ale się obrażał. Bo Mel należy do czyściochów; nie jest to klasa Wilkinsa, ale grubo wyżej niż ja i reszta oddziału, nawet Morrie.

Gordon i Shutzer zaczynają schodzić w dół. Schodzą bokiem, wpatrując się uważnie w spadzistą drogę. Raz Shutzer nachyla się i ostrożnie skrobie powierzchnię czubkiem bagnetu. Przechodzą przez most i drogą po naszej stronie wracają do samochodów. Wychodzę zza drzewa.

- Jak poszło?

Shutzer siada na ziemi koło mnie.

- Nikogo tam nie ma. I to, zdaje się, że od dość dawna. Gordon oddaje mi lornetę. Powinienem był się o nią upomnieć, zanim poszli. Kolejne dwa punkty karne.

- Nie widać, co jest w środku. Za okiennicami wiszą zasłony albo firanki. Posprawdziłem drzwi i nie znalazłem śladów pułapek. Wszystko wskazuje na to, że trafił nam się pałac na własność.

Wszyscy, rzecz jasna, poślazili z posterunków, które im wyznaczyłem, i stoją wokół nas. Shutzer ściągnął but i wyżyma skarpetę.

- Nie jest to co prawda nasz ukochany Uniwersytet Floryda z piętnastoma tysiącami akrów drzew pomarańczowych pod koronami omszałych dębów wokół olimpijskiego basenu pływackiego, ale trzeba przyznać, że i tak jest to krok w pożądanym kierunku.

Kiedy już Shutzer włożył z powrotem but na nogę, pakujemy się do jeepów i jedziemy pod górkę do pałacu: żadnych min, żadnego ostrzału z broni maszynowej, żadnych snajperów - nic, cisza.

Bagnetem podważamy okiennicę i okno od frontu. Jest to tak zwane okno weneckie, do ziemi. Gordon miał rację: nie ma pułapek. Wślizgujemy się do środka i stajemy tuż przy ścianie, czekając, aż oczy przywykną do ciemności po zalewie światła na zewnątrz.

Święty Boże! To ci dopiero pokoik! Wygląda na salę balową albo frymuśną salę gimnastyczną. Na podłodze parkiet, a w jednym końcu kominek, taki wielki, że dorosły mężczyzna mógłby w nim stanąć bez pochylania głowy.

Złociste adamszkowe stopy spływają od sufitu do samej podłogi. Te okna muszą mieć po piętnaście stóp wysokości.

Wszyscy się już zesli. Stoimy jak wryci. Żaden z nas nigdy czegoś podobnego nie widział. A najbardziej niesamowite jest to, że w całej komnacie nie ma ani jednego mebla.

Wiem, że nadszedł czas ponownego odegrania sierżanta - ktoś musi. Trzeba wyładować z jeepów żarcie i sprzęt i jakoś się tu urządzać. Na razie jednak stoimy jak kołki, kompletnie oszołomieni.

Czuję się jak Kopciuszek, którego nikt nie prosił na książęcy bal. Czuję się wyjątkowo nieproszonym gościem. Pierwszy ruch robi Shutzer: tanecznym krokiem wysuwa się na środek

parkietu. Shutzer ma z pięć stóp i sześć cali wzrostu, jest nabity, ale nie gruby. Sunie objuczony wojskowym oporządzeniem: wybrzuszona na wszystkie strony kurtka polowa, na szyi dwa bandolety, pas z nabojami do M1, bagnet, apteczka i manierka. On jeden z całej drużyny nosi na hełmie siatkę maskującą. Gordon mówi, że wygląda przez to jak dezertor z Południowego Pacyfiku. Sam Shutzer jest zdania, że tylko dzięki temu poznaje swój hełm, bo wszystkie są jednakowe.

Oliwkowe portki Shutzera zeszywniały całkiem od tłustego brudu; wszyscy tak samo wyglądamy, nawet Wilkins. Spodni nie ma jak prać, a drugiej pary na zmianę też nie dają. Tłusty brud wsiąka w wełnę i materiał na przodzie ciemnieje, aż robi się sztywny i prawie czarny.

Shutzer wychodzi na parkiet i toczy wzrokiem po sali. Po chwili zaczyna śpiewać, pochrząkiwać i nucić melodię *The Jersey Bounce*, i puszcza się solo w jazzowe podskoki na samym środku sali.

Taniec Jersey, to jest styl.

Tu się liczy tylko rytm.

Coraz szybciej, nigdy zbyt,

Kiedy grają to...

- Chodź no tu, Mel, pokażemy im, jak to się robi u nas.

Gordon wychodzi na środek z bronią na ramieniu. Puszcza się w tan z Shutzerem. We dwóch, szcękając bagnietami, stukając się manierkami, majtając pasami na naboje, usiłują wykonać klasyczny jitterbug, z obrotami pod ręką partnera, ale karabiny wchodzą im w paradę. Patrząc na tych dwóch szajbusów w samym sercu Ardenów i przypomina mi się Shelby.

W tych ostatnich dniach, kiedy nareszcie uwierzyliśmy, że istotnie zamierzają przerzucić - Siatą Dywizję na drugi brzeg oceanu, ogarnął nas wszystkich stan lekkiej paniki. Shutzer twierdził, że jest to dowód na to, iż przegrywamy wojnę, pomimo oświadczeń propagandy. Skoro wysyłają naszą jednostkę do walki z kimkolwiek, to znaczy, że sytuacja jest katastrofalna.

Najbardziej jednak trapiło nas to, że w naszej drużynie wszyscy, z wyjątkiem Wilkinsa, byli dziewicami - jedenastu nieskorych, nie gotowych do umierania prawiczków. Nie wiem, czy tak długie dziewictwo było w owych czasach rzeczą normalną, czy też zachodzi negatywna korelacja między pobudliwością seksualną, a tym, co nazywamy inteligencją. Możliwe, że była to przypadkowa zbieżność w czasie i przestrzeni. Kto to wie?

Całymi wieczorami staraliśmy się wyciągać Wilkinsa na zwierzenia. Żona Wilkinsa mieszkała w mieście, a on robił dosłownie wszystko, żeby sobie zapewnić przepustkę na każdy

weekend. Jeżeli przypadkiem służba w kuchni albo warta wypadła mu na sobotę czy niedzielę, każdy z nas rwał się, żeby go zastąpić i chociaż tym sposobem uczestniczyć w randce. Nigdy nie widzieliśmy Lindy, ale znaliśmy ją wszyscy. W jakimś chorobliwym, nienasyconym, biblijnym sensie znaliśmy ją bardzo dobrze.

Matka był, naturalnie, bardzo wstrzemięźliwy w swoich wyznaniach. Ani myślał zaspokajać naszą szczeniacką erotomanię. Na wszystkie nasze podchody i pytania, jak często i jak bardzo, miał w odpowiedzi tylko chytry uśmieszek i pełne wyższości: „To w ogóle nie o to chodzi” albo: „Erotomani z was”.

Nagle okazało się, że do odpłynięcia zostały nam głupie trzy tygodnie, i to niecałe. Zdaje się, że to Morrie wpadł na ten pomysł, a może Shutzer. We czterech skombinowaliśmy przepustki na weekend i udaliśmy się do miasta w poszukiwaniu miłej, uczynnej kurewki, która by nas wybawiła z nieszczęścia, wprowadziła w tajniki męskości i uwolniła od pustelniczej pocięchy pięciopalczastych wdów.

Do spółki mieliśmy pięćdziesiąt dolarów. Dziesięć przeznaczaliśmy na pokój w Jefferson Hotel. Pokój był dwuosobowy, ale odkryliśmy w hotelu tajne przejście, którym łatwo udało się przemycić dwóch pozostałych. Był Gordon, Shutzer, Morrie i ja. Uznaliśmy, że większa ekipa oznaczałaby już zbiorową orgię, a my mieliśmy przecież bardziej romantyczne aspiracje. Reszta forsy miała pójść na „inwestycję” i butelkę bourbona. Czterdzieści dolarów to była wtedy kupa forsy.

Odbyła się dosyć długa i zazarta dyskusja na temat tego, jaka ma być nasza kobieta. Zdaje się, że wszyscy mieliśmy pietra, że trafimy na kobietę z prawdziwego zdarzenia i nie damy rady. Zgodziliśmy się, że o „kolejności dziobania” zadecyduje ślepy los, a nie żadne sztuczki, więc zagraliśmy w pieniądze. Wygrał Morrie, drugi Shutzer, ja na trzecim miejscu medalowym, a Gordon w ogonie.

Zainstalowaliśmy się w hotelu. Gordon i Shutzer zostali wyznaczeni do polowania - nareszcie jakiś zwiad. Na wszelki wypadek nigdy nie rwaliśmy dziewczyn ze służb pomocniczych. Każdy miał za sobą z jedno czy dwa podejścia, ale potęga moralności przerastała nasze zdolności taktyczne, a barmanki w kantynach to już były dla nas trochę za wysokie progi. Żaden z nas nie przemógł się też, żeby pójść z autentyczną żołnierską kurwą z miasta, żadnemu nie spieszyło się do trypra albo syfa. Wojskowe filmy o chorobach wenerycznych zrobiły swoje. Te filmy o francowatych wargach i laskach wyświetlano nam zwykle tuż przed jedzeniem. Bogu dzięki, że były chociaż czarno - białe. Morrie twierdził, że wyświetlają je wtedy, kiedy kwatermistrzowi kończą się zapasy żarcia. Jim Freize miał inną teorię: że jest to regulacja przyrostu naturalnego a priori. Cała wojna, za powszechnym

przyzwoleniem, uregulowała przyrost naturalny ex post facto.

Wydaje mi się, że każdy z nas myślał o takiej dziewczynie, która by przypominała tę, z którą byliśmy - albo tylko chcieliśmy być - na balu abiturientów. Morrie i ja pod żadnym warunkiem nie poszlibyśmy na podryw. Ja osobiście byłem nawet gotów w najgorszym razie machnąć ręką na swój wkład w przedsięwzięcie. Już nie pamiętam, jak sobie wyobrażałem pogodzenie absurdalnych romantycznych wyobrażeń z nagłą - jak mi się wówczas zdawało - potrzebą fizyczną.

Gordon i Shutzer wyszli z hotelu odpicowani jak laleczki. Poubierali się w czystą bieliznę, nawcierali pod pachy dezodorantu, aż im się włoski pozlepiały, złali się obficie płynem po goleniu. Był początek lata, Missisipi, panował lekki upał.

Morrie i ja postanowiliśmy się nacieszyć tym, że mamy pokój dla siebie. Obaj zabraliśmy po książce z posterunkowej biblioteki. Porozbieraliśmy się do majtek i wskoczyliśmy do łóżek. Chłoniliśmy luksus ciszy, którą podkreślało buczenie wielkiego długoramiennego wentylatora, kręcącego się wolno pod sufitem. Kąpaliśmy się po parę razy, na zmianę, mierząc sobie nawzajem czas, z przerwami na ponowne zagrzanie wody w termie. To był wspaniały wieczór, zwłaszcza przez kontrast z ulicami rojącymi się od żołnierzy, patroli i wybałuszających gały mieszczuchów. Stosunek ludności cywilnej miasta Shelby do nas można by ująć w jednym zdaniu: „Czego wy się tu jeszcze szwendacie, zamiast prac szkopów i Japońców?”

Kiedy Shutzer z Gordonem wracają, jest już po północy. Zasnąłem, Morrie na pewno też. Po kilku kąpielach i cichej lekturze nie czuję już nawet zdenerwowania. A poza tym, gotów jestem pójść o zakład, że Gordon i Shutzer i tak nikogo nie przyprowadzą.

A jednak. Wślizgują się do pokoju, a za nimi młoda dziewczyna. Nie wierzę własnym oczom. Siadam na łóżku i zezuję w bok, żeby zobaczyć, co robi Morrie. Też usiadł, oliwkowy podkoszulek wyraźnie odcina się barwą od pościeli.

Dziewczyna jest spełnieniem moich najśmielszych marzeń. Nie może mieć wiele więcej niż dwadzieścia lat i jest piękna. Shutzer i Gordon chichoczą nerwowo. To musiała być niezła zabawa, szmuglować dziewczynę o tej porze przez całe miasto, a potem tylnymi schodami hotelu na górę. Po zjeździe ostatniego autobusu do zajezdni okolica roi się od patrolujących żołnierzy.

Dziewczyna zatrzymała się przy drzwiach i uśmiecha się do nas. Teraz już jestem pewien, że nic mi z tego nie wyjdzie. Dobrze, że jestem trzeci w kolejce.

Trudno w to wszystko uwierzyć - a jednak. W tej samej mniej więcej chwili orientuję się, że Shutzer i Gordon popili, pewnie dla dodania sobie animuszu. Gordon trzyma butelkę

owiniętą w papierową torbę: okazuje się, że z naszego bourbona ubyła już mniej więcej jedna trzecia. Żaden z nas nie ma specjalnie mocnej głowy; prawdę mówiąc, picie zaliczamy do tej samej kategorii co przekleństwa: objawy zupackiej bohaterstwa, której należy się wystrzegać.

Bez słowa wymykamy się z łóżek. Wstyd mi, że mam na sobie tylko ogólnowojskowe gatki, z rozcięciem z przodu bez guzików, jak plecy szpitalnej koszuli. Uciekam do łazienki. Gordon i Shutzer idą za mną. Shutzer zgarnął po drodze poduszki z jednego łóżka; zamyka drzwi na zasuwkę.

- Lepiej się wygodnie urządzić, diabli wiedzą, ile to zajmie takiemu facetowi jak Morrie.

Shutzer zgrywa chojraka, ale ręce mu się trzęsą, a pod pachami i na karku spocił się jak ruda mysz.

Gordon siada na zamkniętym sedesie, bierze poduszkę pod tyłek. Ja włączę do wanny i podkładam poduszkę pod kark. Wanna jest lodowato zimna i twarda. Wyłączę i napełniam do niej wody. Bóg raczy wiedzieć, kiedy znów będę miał okazję wykąpać się w prawdziwej wannie; poza tym, jeżeli mam być przytomny o pierwszej w nocy, muszę się czymś zająć, a książkę już skończyłem.

Shutzer zerka na zegarek, wyciąga cygare i zabiera się do palenia. Gordon patrzy na niego z obrzydzeniem. Shutzer zaczyna rozpinać koszulę.

- Wiecie, ona mówi, że to robi za frajer: „wszystko dla chłopców za oceanem”, albo prawie za oceanem.

Ściąga przepoconą koszulę.

- Nie uwierzysz, Won't. Właziliśmy do wszystkich barów i knajp po kolei, we wszystkie ciemne uliczki, klócąc się przez cały czas. Kiedy już się zdecydowaliśmy na jedną czy drugą, okazywało się, że cena jest astronomiczna - na przykład dwadzieścia dolców za jeden sztos, bez zniżki dla grup.

Upuszcza koszulę na ziemię i przegląda się w lustrze nad umywalką. Wyciska pryszcz pod uchem. Ponownie próbuje zapalić cygare. Nawet nie wie, że należało je najpierw obciąć.

- Gordon, czy byłbyś łaskaw na moment zwolnić kibel; muszę się odlać.

Mel wstaje, tuląc poduszkę do piersi. Shutzer unosi klapę sedesu, wyciąga interes, ale nic nie może zrobić. Stoi, patrzy w miskę klozetową i ciągnie nie obcięte cygare, żeby nie zgasło. Nic nie mówimy; słyszymy, że za drzwiami Morrie rozmawia z dziewczyną, ale nie wiemy o czym. Shutzer zapina spodnie i znów patrzy na zegarek. Ponownie rozpina spodnie i ściąga je.

- Lepiej się przygotować: nigdy nie wiadomo, jak długo Morrie się pomargoli, może mu

strzelić od razu, zanim się obejrzy. Po co marnować czas.

Obwąchuje się pod pachami, wyjmuje z przybornika toaletowego płyn po goleniu i wciera po obu stronach. Sprawdzam wodę w wannie: gorąca. Dolewam trochę zimnej.

- Kupiliśmy tego bourbona i już chcieliśmy zrezygnować, a tu nagle trafiła nam się ta dziewczyna. Kawał drogi stąd, aż koło Greyhound Depot. Siedziała na ławce. Kolega Gordon natychmiast wali do niej i zagaduje elegancko. Ni stąd, ni zowąd, bezwiednie, zaczynamy jej się obaj spowiadać z całej nocy: opowiadamy, jak to od paru godzin chodzimy i szukamy kurwy, która dokonałaby inicjacji czterech przejrzałych prawiczków. Zaśmiewamy się na całe gardło, a wtedy - właśnie wtedy, ni z gruszki, ni z pietruszki! - ona się zgłasza na ochotnika! Jak to, bracie, nigdy nic nie wiadomo. Z początku myślałem, że się zgrywa, ale nie, mówi serio, a cała impreza nie ma nas kosztować ani centa.

Gordon zajmuje swoje miejsce na sedesie. Woda w wannie prawie się przelewa, więc zakręcam kurek i zanurzam się z wielką ostrożnością.

- Stan, jak chcesz, mogę ci dać gumę i pro - kit.

- Mam swoje. Odwal się, Won't, robisz się gorszy od Wilkinsa.

Wydobywa pakiecik ze spodni, które rzucił na podłogę.

Cieszę się, że to powiedziałem. Shutzer zaczyna chodzić nerwowo tam i z powrotem - o ile oczywiście możliwe jest nerwowe chodzenie tam i z powrotem po hotelowej łazience w obecności jeszcze dwóch osób. Ma na sobie buty, skarpety i gatki, w zębach zaciska cygaro, a w garści trzy nie rozpakowane kondomy. Pro - kit umieścił pieczołowicie na krawędzi umywalki. Popatruje na zegarek.

- Należało się tego spodziewać, że Margolis będzie się margolił przez pół nocy.

- Używałeś już tego pro - kitu, Stan? Ja raz spróbowałem, żeby zobaczyć, jak to jest. Nie boli, ale uczucie jest dziwne: jakby gumowy wąż zacisnął się na samym końcu laski. Tylko bez paniki.

- Nie martw się, jakoś sobie poradzę. Ja pierdolę, co oni tam robią tak długo?

- Tylko beż wyrazów, Stan, mamy tu w sraczu dżentelmena. Co by powiedział Ojciec Mundy?

- Pierdolę Ojca Mundy.

Gordon kręci głową, kładzie sobie na kolanach poduszkę, i drugą, moją, po czym chowa w nich twarz. Shutzer jeszcze raz patrzy na zegarek i opiera się o drzwi, wołając do sypialni:

- Morrie? Jak tam?

Cisza. Shutzer przytyka ucho do drzwi.

- Może go załatwiła i dała nogę? Kropelki usypiające, ołowiana pończocha, wszystko jest

możliwe.

Shutzer puka do drzwi, najpierw cicho, potem z całej siły.

- Hej tam, Margolis! Daj szansę kolegom! Odezwy się przynajmniej.

Dalej nic. Shutzer pomału, cicho, otwiera zasuwkę, uchyla drzwi, zapuszcza żurawia do pokoju - i wchodzi tam, zamykając drzwi za sobą.

Staję w wannie i wycieram się. Shutzer nie wraca. Gordon i ja wymieniamy spojrzenia i obaj idziemy za Shutzerem.

Cała trójka siedzi po turecku na łóżku. Shutzer i Morrie dalej są w ubraniach - jeżeli ogólnowojskową bieliznę można zaliczyć do kategorii ubrań. Dziewczyna ma na sobie tylko halkę. Płacze. Stajemy z Gordonem koło łóżka i słuchamy. Opowiem skróconą wersję tego, co wysłuchaliśmy. W końcu, nie o tym jest książka - a może właśnie o tym?

Dziewczyna ma na imię Janice. Była zaręczona z chłopakiem imieniem Matt. Matt zginął w inwazji sycylijskiej. Janice dowiedziała się o tym dopiero tydzień temu. Przyjechała, żeby odwiedzić ostatnie miejsca, w których przebywał Matt podczas swojej krótkiej kariery wojskowej. Studiuje na drugim roku Penn State, ale nie ma zamiaru wracać na uczelnię. Ma dwadzieścia lat. Przyjechała tu, żeby popełnić samobójstwo, ale nie starczyło jej odwagi, a teraz został jej tylko „bilet powrotny na autobus.

Nie do wiary, co?

Zaczęli z Morrie'em gadać, bo oboje się wstydzieli. Najpierw próbowali się całować, ona się rozplakała i tak właśnie doszło, do czego doszło.

Kończy się tym, że zsuwamy łóżka w jedno wielkie łóże i dopijamy resztę bourbona - z papierowej torby.

Dwie trzecie dwustu gram na pięć osób. Może i jest w tym jakiś sens matematyczny - byłoby to jedyne logiczne zjawisko tej nocy. Cała sytuacja była jak nie nakręcony klasyczny film wojenny z Shirley Tempie i Audie Murphym w rolach głównych, wersja tylko dla dorosłych.

Janice kochała się dotychczas tylko z jednym mężczyzną, właśnie z Maltem, tuż przed jego odejściem do wojska. Teraz chce się oddać nam wszystkim. Uparcie powtarza, że naprawdę tego chce.

Na to, oczywiście, w każdym z nas budzi się przemądrzały, przekorny, skory do kłótni ASTPR - owiec. Czujemy się poza tym winni, strach nas obleciał. Propozycja Janice, ta prosta, piękna propozycja, musi zostać poddana wszelkiego rodzaju podejrzliwym analizom. Dopiero nad ranem przestajemy gadać i zasypiamy, zmęczeni, lekko pijani, intymnie złączeni w piątkę w podwójnym, małżeńskim łóżu. Kiedy pokój szarzeje we wczesnym brzasku nowego dnia, Janice przychodzi do każdego z nas po kolei - cicho, prywatnie, w półśnie - jak Święty Mikołaj,

jak zajacek wielkanocny. Płacząc i śmiejąc się jednocześnie, przekraczamy mityczną barierę między chłopięctwem a wiekiem męskim, między męskością a śmiercią.

Janice zabiera nas z sobą.

O dziesiątej, po sutym, luksusowym śniadaniu w łóżku, Mel eskortuje Janice na dworzec autobusowy. Nie rozmawiamy o tym, co się stało. Chyba każdy z nas” czuje, że nie ma to żadnego związku z jakimkolwiek innym przeżyciem.

Zawsze z mieszanymi uczuciami wspominam to swoje pierwsze doświadczenie seksualne, w którym grałem rolę nieżyjącego chłopaka imieniem Matt. Po dziś dzień tkwi we mnie uparte wrażenie, że każda kobieta, z którą się kocham, myśli wtedy o innym - idealnym - kochanku i kocha innego.

I znów odzywa się moja słabość do rzeczy prawdziwych, choć niewiarygodnych. Mel i Janice korespondują z sobą przez całą wojnę. Po powrocie Mela do domu biorą ślub. Mają troje dzieci i rozwodzą się po piętnastu latach małżeństwa. Może to od początku był mezalians, a może po prostu zwyczajne małżeństwo, poddane presji naszych czasów? A może zawsze był między nimi Matt?

Shutzer i Gordon kończą taniec. Przenosimy do środka resztę sprzętu. Millera wysyłam, żeby zaparkował naszego jeepa z pięćdziesiątką pod ścianą boczną pałacu, tak żeby zasięg lufy obejmował całą drogę razem z mostem. Drugiego jeepa ustawiamy na tyłach pałacu. Taszcę kombinezony śnieżne, białą farbę, skrzynkę granatów i radiostację 506. Matka transportuje rzeczy do spania. Dogrzebuję się także do telefonów polowych. Miller zaczyna rozplątywać kable. Z trudem rozpakowuję dwie spore szpule kabla telefonicznego. Nadal są oblepione błotem, z którego je wyciągnęliśmy nad Saara.

Uporawszy się z kablami, robię sobie mały odpoczynek, a przy okazji przeprowadzam ocenę sytuacji. Stojąc przed frontonem pałacu, patrzymy w dół na ciąg tarasowych wodotrysków, które schodzą prawie do samej rzeczki. Nad tą właśnie rzeczka przejechaliśmy przez most do pałacu. Fontanny ozdobione są posązkami delfinów i ryb, z pyszczków których wyrastają spatynowane miedziane rurki do rozpylania wody. Posązki wyglądają na odlewy z cementu: mają czarne plamy i upstrzone są zielonymi i żółtymi pacynami twardego mchu. Dna zbiorników zasłane są przymarzniętymi liśćmi.

Postanawiam obstawić dwa stanowiska wartownicze: jedno u stóp wzgórza, pod fontannami, za ścianą zbiornika na prawo od mostu, a drugie na stoku nad pałacem, nieco powyżej linii dachu. Gramolę się na górę, żeby zlokalizować punkt, z którego byłby dobry widok na drogę w obie strony, a jednocześnie i możliwość osłaniania dolnego posterunku.

Nie przychodzi mi do głowy żaden sposób na zabezpieczenie górnego posterunku przed

atakiem z tyłu. Można się pocieszać tylko tym, że ktokolwiek wspinałby się po tym stromym zboczu po zamarzniętych liściach i suchych gałęziach, nie miałby większych szans na udaną zasadzkę. Chyba że byłaby to szarża sporego patrolu, a w takim przypadku tak czy owak byłoby po nas.

Znajduję idealne miejsce i oczyszczam nogą poletko. Odłamuję gałąź i wtykam ją w środek oczyszczonego pola. Moje bebechy sprawują się jak przystoi, nawet po wspinaczce. Może już samo oderwanie się od Ware'a, Love'a i całego zasaństwa działa na mnie leczniczo.

Spuszczam się po stoku do pałacu i biorę jedną szpulę z kablem. Odkręcam jeden rand i przy okazji wytrząsam kolejną porcję gliny.

Warty zapowiadają się dokuczliwie. Za dnia będziemy siedzieć w okopach pojedynczo, co oznacza - dwóch na warcie, czterech wolnych. Gorsze będą noce. Na każdy posterunek trzeba będzie dać dwóch - w sumie czterech - czyli tylko dwóch zostaje na luzie. Trudno, będziemy odsypiać za dnia. Innej możliwości nie widzę. Mógłbym spróbować trzymać tylko jedno stanowisko wartownicze, to na górze - obejmuje ono właściwie wszystko. Może po kilku dniach, jeżeli nic się nie zdarzy, tak właśnie zrobimy. A może zostawić tylko dolny posterunek? Coś zawsze wykombinujemy, chłopaki też mają swoje koncepcje.

Mel wychodzi ze mną i pomaga mi znieść szpulę kabla na dół, pod most. Wykładam Melowi swoją koncepcję stanowisk wartowniczych; podpisuje się pod nią. Znajdujemy świetne miejsce, około dwudziestu jardów na prawo od mostu. Ściana zbiornika zasłania nas na wysokość ramienia i stanowi idealną podpórkę strzelecką. Przy osłonie z drugiego posterunku powinno tu być całkiem bezpiecznie. Zakładając, rzecz jasna, że w ogóle można mówić o bezpieczeństwie w samym środku lasu, w samym środku wojny, wśród ludzi dybiących na nasze życie.

Przymocowuję kabel do pierścienia osadzonego w ścianie fontanny i zaczynam się wycofywać w stronę pałacu. Gordon zgłasza się na ochotnika do pełnienia pierwszej warty i zostaje pod mostem.

Pnę się pod górę, kładąc kabel wzdłuż drogi i popatrując na okoliczne pagórki. Całkiem możliwe, że ktoś mnie stamtąd obserwuje. Całkiem możliwe, że gdzieś tam siedzi facet w polowym mundurze, ze spluwą i lornetką - i gapi się na mnie w najlepsze.

Odwracam głowę, żeby sprawdzić, ile mi jeszcze zostało do przejścia, ale już zaczynam rzucać kabel jak popadło, pętlami. Już się trzęsę. Układanie kabla nie jest wielką filozofią, to tylko nerwy mnie zawodzą. Dotarłszy wreszcie do pałacu, przerzucam kabel przez okno i mocuję do kominka.

Matka porządkuje racje żywnościowe i sprzęt. Już wpadł w rolę kury domowej;

nareszcie będzie mógł pójść na całość. Na pewno zmusi nas do wysłuchiwania wykładów o rzeźbie, architekturze, boazeriach, kominku, i tak dalej. Wilkins wszędzie natychmiast wije gniazdo - taki już jest - a tutaj ma do dyspozycji autentyczny pałac. Chyba trzyma się nieźle; może jest tylko trochę zanadto spięty, za bardzo skrupulatny.

Kiedyś, podczas sześćdziesięciogodzinnego konwoju z Rouen do Metz, Matka urządził sobie hamak do spania w pudle jeepa. Tego jeepa, który dzielił z Jimem Freize. Jeep nazywał się, rzecz oczywista, Linda. Wymalowałem na nim to imię, a obok króliczka. Bo Matka czasami mówi też o Lindzie - Króliczek. Ten Matka chyba niczego się nie wstydi - jest jak impregnowany na wstyd.

Z przodu wozu Matka miał jeszcze coś w rodzaju ołtarzyka wzdłuż deski rozdzielczej. W centrum widniało zdjęcie Lindy, a dookoła poprzyklepiane były wycinki z jej listów. Czasami odnosiłem wrażenie, że Jim kocha się w Lindzie nie mniej niż Matka. I dobrze by było, bo z Matką o niczym innym nie daje się rozmawiać.

Kiedy Hunt zobaczył galerię Matki, dostał białej gorączki i kazał chłopakom natychmiast wszystko pozdzierać. Hunt oberwał później niedaleko Ohmsdorf, pod krzyżem przydrożnym. Ledwo zdążyliśmy wdepnąć na niemiecką stronę; mieliśmy honor być pierwszą amerykańską drużyną, która przedarła się na obszar zwany przez Niemców obszarem niemieckim. Nasz pobyt tam trwał całe trzy dni, po czym zostaliśmy wyparci. Spróbowałem przemyścić do domu wiadomość o tym, gdzie jesteśmy. W liście prosiłem Joan, moją siostrę, żeby pozdrowiła Gertrudę, Mańkę i Jana. Wiedziałem, że Joan się domyśli - i rzeczywiście, domyśliła się. Wiedziałem także, że Glendon, zastępca sierżanta, który cenzurował naszą pocztę, na pewno się nie połapie - i rzeczywiście.

Hunt upatrzył sobie wspomniany krzyż jako idealne miejsce do odbycia zbiorowej modlitwy plutonu. Hunt był podoficerem z byłego - Nastego Pułku, niezbyt bystrym. Gordon twierdzi, że prawdziwym wrogiem są takie typy, jak Hunt, Ware i Love - jeżeli, rzecz jasna, wróg w ogóle istnieje.

W pałacu sprawdzam, jak Miller radzi sobie z telefonami. Już je rozplatał. Podczepiamy do nich kabel, który wciągnąłem przez okno.

- Bud, sprawdź jeszcze tę 506 - kę, dobra? A ja pociągnę kabel do góry, na drugi posterunek. Pierwszą wartę przy moście wziął Gordon.

Wchodzą Shutzer i Mundy.

- Stan, znieś ten telefon na dół do Gordona i powiedz mu, żeby go podłączył. A potem przynieś mi drugi aparat na stanowisko nad pałacem, zgoda? Posiedzisz pierwsze dwie godziny, tak że weź karabin i parę granatów.

- Tajest, panie sierżancie.

Zerkam podejrzliwie, czy się nie zgrywa, nie robi sobie jaj - ale nie, odruchowo wygłosił naturalną formułkę.

Podwiązuję kabel do klamki oszklonych drzwi, zostawiając tyle, żeby koniec sięgnął do głównego telefonu, po czym zaczynam odwijać resztę kabla wspinając się po stoku. Mądrzej byłoby rozwijać go z góry na dół, ale ja chwilowo nie myślę mądrze. Gramolę się po śliskim zboczu ze szpulą kabla, czepiam się drzew, żeby nie zjechać w dół. W końcu jakoś docieram do oznaczonego wcześniej miejsca i przystaję na chwilę, z trudem łapiąc oddech.

W dole Stan i Mel instalują drugi aparat. Mel właśnie kręci korbką i przykłada słuchawkę do ucha: chyba wszystko gra, bo Stan rusza w górę do mnie, nie zbaczając do pałacu.

Przywiązuję swój kabel do drzewa, siadam na ziemi i czekam na Staną. Z kieszeni połówki wyciągam dwudziestokrotnej mocy lornetę i omiatam wzrokiem okoliczne pagórki. Nic szczególnie podejrzanego: ani śladu dymu, żadnego ruchu czy błysku metalu. Stan włazi wreszcie, sapiąc jak parowóz.

- Telefon na dole działa pierwszorzędnie. Miller mówi, że nastroił radiostację i teraz ją rozgrzewa.

Rozglądamy się za miejscem na okop. Ważne, żeby było jak najmniej korzeni. Chociaż przy tej liczbie sosen korzenie muszą być wszędzie. Stan nie jest fanatykiem kopania, ale ja się upieram, że okop musi być. Chodzi mi nie tyle o osłonę przed szrapnelami i pociskami, co przed wiatrem i zimnem. W nocy dwóch ludzi zawsze się jakoś ogrzeje we wspólnym wykopie. Jeden może siedzieć na dole, drugi wyglądać. O tej porze roku noce są niemiłosiernie długie.

Zostawiam Shutzerowi lornetę z poleceniem, żeby co jakieś piętnaście minut zlustrował okolicę - zawsze to pewne urozmaicenie przy kopaniu. Złazę na dół.

Miller podłącza kabel do drugiego aparatu, a ja rozpoczynam zasrane wojskowe nawoływanie przez radio.

- Abel jeden do Abel cztery, odbiór.

Zgłasza się Leary, jeden z nielicznych radiowców w pułku jako tako podobnych do ludzi. Wymieniając kolejne zera w dowództwie, zapomniałem o łączności. To są już takie zera, że naprawdę łatwo o nich zapomnieć.

Leary obiecuje przekazać meldunek Ware'owi. Melduję, że zajęliśmy pałac i okopujemy się na posterunkach. To brzmi po wojskowemu. Wyznaczam godzinę następnego telefonu na dwudziestą drugą zero zero, co w mowie wojskowej oznacza dziesiątą wieczór.

Matka ofiarowuje się ugotować obiad, jeżeli nanosimy drzewa. Chce napalić w kominku,

ogrząć salę i nad tym samym ogniem uwarzyć żarcie. Mamy ze sobą tylko dwa prymusy, ale Matka uparł się, że urządzi prawdziwy spektakl kucharski. Na tyłach pałacu jest, co prawda, kuchnia i kredens, ale kuchnia jest wyiębiona, a w kredensie ani garnka. Wilkins mówi, że lepiej przenieść się z gotowaniem do kominka, tam, gdzie będziemy spali.

Waham się, co robić. Jeżeli rozpalimy w piecu i nad pałacem uniesie się dym, nasza obecność tutaj przestanie być tajemnicą. W tej chwili nie jesteśmy właściwie patrolem zwiadowczym - raczej swego rodzaju grupą okupacyjną. Z drugiej strony, bez ognia dupy nam tu uświerkną w jedną noc.

Idziemy z Ojcem Mundym na tyły pałacu. Między tylną ścianą a stokiem wzgórza stoi drewnitnia i stajnia na dwa, trzy konie. Wyważamy drzwi drewnitni, ale drewna tam ani śladu. Wchodzimy do stajni. Na górze leży parę wiązek suchego siana, a z boksów zrywamy kilka zniszczonych desek solidnych rozmiarów. Jeżeli zdecydujemy się palić, z drewnem będzie krucho. Okoliczne drzewa i wszystko, co leży na ziemi, są mokre i palić się nie będą. A nawet gdyby udało się je podpalić, z komina pójdą kłęby dymu. Niemcy gotowi pomyśleć, że trzymamy tu Indian nadających dymne sygnały.

Kiedy wracamy, okazuje się, że Matka rozniecił już mały ogień z kartonów porcjach żywnościowych. Dorzucamy siano i pomniejsze szczapy drewna. Ale komin nie ciągnie: dym bucha na pokój i szybuje pod powałę. Miller zagląda w komin i stwierdza, że został zacementowany. Kolbą karabinu odbija cement, parę cegieł spada do paleniska i dym zaczyna uchodzić normalnie. Wychodzę, żeby sprawdzić, jak dużo go wydostaje się na zewnątrz. Błękitny wężyk od komina jest dobrze widoczny. To kiepsko - ale nie aż tak kiepsko, jak się spodziewałem. Zaryzykujemy.

W kartonach, które spalił Matka, były rozmaite frykasy: dżem w puszkach numer dziesięć i sałatki owocowe - Matka ma okazję zrobić naprawdę pyszne żarcie. Kończymy kawą, a ja modlę się tylko, żeby mój żołądek to wytrzymał. Boję się mniej, niż powinienem - może ogień na kominku i dach nad głową pomagają na strach.

Mundy odkrywa koło pałacu studnię z ręczną pompą. Razem z Millerem doprowadzają ją do stanu używalności. Przynoszą wodę w starych drewnianych wiadrach - wygląda na czystą. Może zaczniemy nawet szorować menażki. Kto wie, czy akurat to nie jest sposób na utrzymanie bebeczków w dobrym stanie.

Próbuję opracować sprawiedliwy rozkład wart. Gordon, Shutzer, Miller i Mundy będą się domagali wolnego w jednym czasie, żeby grać w swojego zwariowanego brydża bez kart. Z drugiej strony, nie chcę nikogo wrabiać na stałe w nocno - dzienną wartę o szóstej. Zadanie jest prawie tak skomplikowane jak wymyślanie tych całych rozdań brydżowych - to też mam

zrobić na jutro. Może Matka mi coś podpowie: jest w tym lepszy ode mnie, a poza tym, zawsze to jakiś sposób, żeby nie myślał o głupstwach.

Shutzer i Gordon wracają z warty. Matka trzymał dla nich żarcie na ogniu; teraz nakłada i idzie objąć wartę przy moście. Ojciec Mundy bierze górny posterunek. Ta drużyna właściwie sama sobą dowodzi: kto próbuje rządzić, tylko zawadza. Chyba w ogóle nie będę musiał robić żadnego harmonogramu wart.

Miller wygrzebał skądś puste butelki po winie, a teraz tnie na wąskie pasy worki po obroku przyniesione ze stajni. Robi lampy na benzynę z kanistra, który ma w swoim jeepie. A więc dzisiaj wieczorem będziemy mieli nawet światło.

Ściemnia się jeszcze przed piątą, do podwójnej warty nocnej mamy jeszcze jedną zmianę. Na razie zostawiamy jak jest, ale jutro, jeżeli nic się nie; zdarzy, przejdziemy na jeden posterunek. Nikt nam w końcu nie kazał bronić placówki; mamy tylko pilnować szosy i mostu.

Rozpakowuję nowe granaty i rozdaję wszystkim po dwa dodatkowe: wszyscy nosimy pasy na naboje i chomątka mamy na pasach. Nasza pięćdziesiątka nadziana jest nabojami przeciwpancernymi, co szósty smugowy. Czołgowi wielkiej krzywdy nie zrobimy, nawet przeciwpancernym, ale wóz pancerny pewnie bylibyśmy w stanie zatrzymać. Co ja gadam! Przecież po tej okolicy nic takiego nie jeździ! Spokojnie.

Miller wraca z pękiem porzewiałych kluczy. Znalazł je zawieszane na haku od środka studni, kiedy zdjął dekiel dla sprawdzenia, czy woda nie jest zatruta. Kluczy jest ze dwadzieścia, wszystkie wielkie i ozdobne.

Gordon zapala lampę własnej produkcji. Bierzymy jeszcze Shutzera i Millera i idziemy na rekonesans. Nareszcie jakieś zadanie zwiadowcze - major Love byłby z nas dumny.

Schody do piwnicy prowadzą od zewnątrz, z tyłu pałacu. Po krętych, zwietrzałych stopniach schodzimy na klepisko. Ciepłej tu niż na górze, ale za to wilgotno. Łukowate sklepienia są gęsto udekorowane ciężkimi od kurzu pajęczynami. Gdyby przyszły prawdziwe mrozy, można się tutaj przenieść - tyle że dość już mamy sypiania po piwnicach.

Rozglądam się za drugim wyjściem, na wypadek szarzy nieprzyjacielskiej od wejścia z dworu, ale piwnica ma tylko trzy małe pomieszczenia i kończy się ślepa ścianą. Jedyne wyjście jest to, z którego skorzystaliśmy.

Miller sprawdza po kolei wszystkie możliwe kombinacje dwudziestu kluczy i trzech par drzwi; udaje mu się otworzyć wszystkie. Za jednymi znajdujemy osiem butelek wina. Po słomie i pustych stojakach widać, że większość oryginalnego zapasu została wyniesiona. W drugiej piwnicy stoją dwie skrzynie sardynek w puszkach. Ostatnia piwnica nie zawiera nic prócz porzewiałych narzędzi i połamanych krzesel.

Zabieramy wino i sardynki: dodadzą trochę pikanterii racjom żywnościowym. Miller taszczy trzy połamane krzesła na opał. Skrzynie z sardynką i butelki wina sztaujemy koło paleniska. Miller się krząta i dorzuca do ognia parę drew.

Polem idziemy na górę po schodach naprzeciwko kominka. Wysokie drewniane drzwi otwierają się na korytarz biegnący przez całą długość pałacu, prawie jak w hotelu. Miller powtórnie przeprowadza kombinacje z kluczami. Poznał klucze od piwnicy, więc zostało mu tylko siedemnaście. Okazuje się, że wszystkie drzwi z korytarza otwiera jeden klucz.

W pierwszym pokoju trzy ściany są od dołu do góry założone książkami; jest nawet nisza na globus, z globusem. Większa część Europy na tym globusie należy do Niemiec. Na podłodze leży dywan, a dębowa boazeria sięga wysokości trzech stóp. Odsłaniam stopy na czwartej ścianie, otwieram okno i odpycham okiennicę. Patrzę w dół z frontowej ściany pałacu i widzę Matkę przy moście.

Może górny posterunek należałoby umieścić właśnie tutaj - byłoby o wiele przyjemniej. Tylko że jakoś nie wypada przekształcać takiego pięknego gabinetu w stanowisko wartownicze. Wilkins za nic w świecie by do tego nie dopuścił. A poza tym, gdyby na dole coś się stało, siedzący tutaj znalazłby się w pułapce.

Chodzę od ściany do ściany i patrzę po książkach. Same francuskie i niemieckie, angielskiej ani jednej. Właściwie nie wiem dokładnie, w jakim jesteśmy kraju - może to być Belgia, może być Luksemburg, Francja, nawet Niemcy. Jesteśmy w punkcie, gdzie wszystkie te kraje mniej więcej się zbiegają. Nie wiem, która godzina, jaki dzień, jakie państwo. Nawet nie bardzo już wiem, jak się nazywam. Przy następnym awansie mogą ze mnie śmiało zrobić generała.

Reszta pokoi to sypialnie, w liczbie pięciu. Na podłogach widać ślady po meblach, ale wnętrza są ogołocone. W największym pokoju jedna ściana jest cała z luster - jest to ściana przeciwległa do okien. Matko Boska, jacy my jesteśmy paskudni: umorusani, chudzi jak szczapy, wszystko na nas wisi, chodzimy zgarbieni, na ugiętych kolanach, jak zwierzęta. Stanowimy chodzące, gadające wizerunki postaci z rysunków Billa Mauldina albo zjadaczy kartofli Van Gogha. Wyglądamy, jakbyśmy coś w sobie tłumili, jednocześnie robiąc z tego wystawę. Trwały stan negatywnego wyczekiwania.

Staję przed jednym z Raster, prostuję plecy, próbuję rozpoznać sam siebie - kto to jest? Kim ja jestem?

Gordon zbliżył się do innego lustra, ogląda sobie zęby. Miller z Shutzerem stroją miny i wytykają nawzajem palcami swoje odbicia. Shutzer puka się w czoło. Chyba nie patrzyliśmy na siebie tak, jak się teraz widzimy w tych lustrach. Trudno się z tym oswoić. Tak powinien

wyglądać nieprzyjaciel.

W końcu hallu jest dwoje drzwi. Jedne otwierają się na ogromną łazienkę, a w niej wzdłuż ścian znowu lustra. Pośrodku stoi dziwaczna miedziana wanna w kształcie gigantycznego buta: przypomina domek staruszki z wierszyka dla dzieci, która „nie wiedziała, co ma robić, zamieszkała w bucie”. A jednocześnie jest to wanna jakby stworzona do kąpieli dla Claudette Colbert, z dużą ilością piany i Clarkiem Gable w środku. Ta się umiała urządzać.

Miller proponuje systemem „podaj kubek” naczepać wody ze studni i wykąpać się. W łazience jest jednak tak pierońsko zimno, że okna zarosły szronem od wewnątrz, a lustra już zdążyły zasnuć się parą od naszych oddechów i ciepła ciał. Za lustrami mieszczą się szafki, wszystkie puste, a w rogu tkwi umywalka bez wody. I jeszcze coś, co wygląda na umywalkę do nóg, a o czym dzisiaj już wiem, że to był bidet.

Wychodzimy z łazienki i otwieramy ostatnie drzwi. Otwierają się na wąskie, kręte schodki. Wchodzimy na nie gęsiego. Schody kończą się małymi drzwiczkami, którym Miller daje radę za trzecim podejściem.

Strych podzielony jest na pokoiki, a każdy z pokoiów jest ciasno zagracony meblami i innymi przedmiotami. Rzeczy zwalono na kupę, w stylu grobowca Króla Tut, byle jak. Coś fantastycznego: instrumenty muzyczne, kilimy, fotele obite ałasem, łóżka, malowidła w wielkich, złożonych ramach. Buszujemy dobrą chwilę, Wilkins kota dostanie, jak to wszystko zobaczy. Na pewno zaraz zaczniesz katalogować cały lamus.

Niestety, my już w tej chwili mamy konkretne potrzeby. Znosimy na dół cztery materace i pikowane ałasowe kołdry. Przez kilka dni druga drużyna pułkowego plutonu zwiadowczo - rozpoznawczego - Nastej Kompanii - Siątej Dywizji, będzie się pławała w luksusie.

Rozpościeramy materace przy kominku i nakrywamy je kołdrami. Na to kładziemy pierdziworki. Zawsze co najmniej dwóch będzie na warcie, więc powinno wystarczyć. Wyciągam się na jednym posłaniu i napawam jego miękkością; dawno nie spałem w łóżku z prawdziwego zdarzenia.

Shutzer, nasz koszerny łakomczuch, zlakniony woni ryby, otwiera bagnetem puszkę sardynek. Miller, facet, który ma wszystko, nawet korkociąg, wyciąga korek z butli. Całkiem możliwe, że oznacza to coup de grace dla mojego żołądka, a może i dla całego systemu trawiennego, od góry do dołu. Podajemy sobie w koło wino i sardynki: wino jest skwaśniałe, za to sardynki pływają w zawieszistej oliwie. Napisy na puszkach są częściowo niemieckie. Może to jakaś tajna broń Niemców; może wszyscy wylądujemy w eleganckim amerykańskim szpitalu polowym, z wiązańką Purpurowych Serc, pokonani przez krwiożerczych Hunów ich sekretną bronią - zatrutymi sardynkami.

Siedzę i głowią się nad rozdaniem brydżowymi dla maniaków. Z chwilą, kiedy ja obejmę wartość, Gordon, Shutzer, Wilkins i Mundy zewrą się w walce na śmierć i życie. Kombinowanie rozdań to większa frajda niż sama gra. Czasami patrzę, jak grają, i liczę tricki. Dla mnie gra oznacza zgadywanke, jaki będzie kontrakt i czy rozdanie się sprawdzi. Z dnia na dzień doskonale się w tej odmianie brydża wspak. Cały sekret w tym, żeby rozdanie było tak makiaweliczne, jak się tylko da.

Przed patrolem nad Saara nasza drużyna grywała w brydża normalnie, parami. W Shelby raz na tydzień wyznaczaliśmy ekipę do rozgrywek z pierwszą drużyną Edwardsa. Zawsze wygrywaliśmy. Nie licząc Wilkinsa, najlepszymi brydżystami byli u nas Morrie i Gordon. W Shelby Wilkins nigdy nie chciał grać; teraz też grywa tylko czasami, kiedy brakuje czwartego. Morrie, Fred i Jim byli stałymi graczami. Max Lewis grywał od czasu do czasu. Teraz, kiedy maniacy chcą sobie naprawdę pograć, błagają Wilkinsa, żeby z nimi usiadł. Najczęściej jednak rolę kozła ofiarnego pełni nieszczęsny Mundy. Mundy nie umiał grać w brydża, kiedy przyszedł do naszej drużyny, i nigdy nie będzie z niego żaden gracz. W ogóle nie jest przebiegły i za mało dba o wygraną. Shutzer dostaje od tego białej gorączki.

Wraz z utratą połowy drużyny, straciliśmy również jedyne karty. Miał je przy sobie Morrie, którego zabrali sanitariusze, zanim zdążył przekazać karty któremuś z nas. Akurat wtedy zresztą najmniej myśleliśmy o brydżu.

Morrie zmarł w szpitalu polowym. Bez prawej ręki i z twarzą, która wyglądała tak, jak wyglądała, chyba nawet nie bardzo się bronił. Ja na jego miejscu wcale bym się nie bronił. Owijaliśmy go we dwóch z Gordonem; oczy wydawały się puste, głowa była z jednej strony gąbczasto miękka.

W kółko piszemy do domu o karty do gry, świece, ołówki i słowniki, ale jak na razie żadnemu z nas nic z tego nie przysłali. Dostajemy ciepłe, ręcznie dziergane skarpety, które nie mieszczą się w butach, albo pudła ciasteczek zgniecionych na okruchy. Jeden Corrollo dostawał pikantne włoskie kielbaski z papryką i twarde włoskie ciasteczka, nie pokruszone. Corrollo kradł ponadto kielbasę znaną przy niemieckich trupach. Mówił nam, że jest niezła, ale nie umywa się do domowej.

Matka Ojca Mundy'ego zawija każde ciastko oddzielnie w woskowaną bibułkę, a całość upycha ciasno ścinkami gazet. Od wielu lat wysyła paczki do krewnych w Irlandii, więc ma wprawę.

Ojciec traktuje te ciastka jak dar serca. I tym też one są. Jego jednego nigdy nie nagabujemy o drugi poczęstunek, ale on i tak rozdaje. Robi to prawie tak, jakby dawał komunię: po jednym, pieczołowicie rozwijając z bibułki i prosto do ust. Ciastka mają zwykle

kształt domków, wyłożone są bryłkami prawdziwej czekolady i pocą się od masła. Ciastko mamy Mundy'ego należy zjadać powoli, w wielkim skupieniu - jest to rzecz prawie godna nawrócenia.

A może z domu wysyłają do nas wszystkie te słowniki, ołówki, świece i karty? Może władze wojskowe uznają je za elementy sabotażowe i konfiskują? Może Love trzyma gdzieś u siebie cały wór kart brydżowych, słowników, ołówków, piór i świec, nawet tych święconych, dla Mundy'ego?

Rozpisuję rozdanie w standardowej brydżowej notacji na czterech oddzielnych kartkach. Kartki te wycinam bagnetem z klap kartonów żywnościowych. Rozważaliśmy nawet wykonanie z tego surowca całej talii kart, ale Miller obliczył, że pięćdziesiąt dwie karty będą tworzyły pakiet grubości ponad trzech cali, a poza tym zeszmaciłyby się w mgnieniu oka. Zapisy kładę do góry nogami na skrzynce baterii telefonu; chłopcy znajdą je z łatwością. Gordon i Mundy grają przeciwko Shutzerowi i opornemu Wilkinsowi, więc nie muszą nawet specjalnie wysilać fantazji: ten zestaw barokowych umysłów z każdego rozdania potrafi uczynić wielki dramat. Jedno głupie trzy bez atutu umieją rozciągnąć na przeszło pół godziny.

Gramy tym nowym sposobem od trzech tygodni. Czasami zdaje mi się, że to trzy lata. Grę wymyślił Gordon: nazywa się ona „Skrótowy Bezkartowy Brydż Parami z Ripleja”. Każdy losuje kartonik i to są jego karty. Chciałem robić karty imienne, ale chłopaki nie ufają mojej bezstronności. Jak to powiedział Shutzer:

- Chryste Panie, Won't, przecież ty i tak już robisz za Pana Boga. Czego byś jeszcze chciał?

Grając, podkreślają na kartoniku każdą wyłożoną kartę. Mel uparcie przestrzega zwyczaju wykładania widma karty pustą ręką na stół, ziemię, koc czy błoto - zależy, gdzie akurat grają, z jednoczesnym głośnym wywoływaniem jej nominału. Miller marudzi, że to jeszcze jeden kretyński atawizm, ale podporządkowuje się zwyczajowi. Co innego może zrobić? Gdyby Mel wycofał się z gry - koniec brydża, wszyscy do domu. Właśnie przez Millera między innymi tak bardzo potrzebujemy słowników. Miller układa krzyżówki, przy których krzyżówka niedzielna z „The New York Timesa” to dziecinada.

Po rozgrywce karty wracają do mnie, żebym mógł je kiedyś, w przyszłości (która wydaje się czasami bardzo krótka) wykorzystać po raz drugi, rozdając tym razem odwrotnie do kierunku ruchu wskazówek zegara. Lewa górna kieszeń bluzy polowej pęka mi w szwach od tych kart, wyglądam jak jakaś jednostronna Mae West. Może kiedyś utkwi mi w tym miejscu kawałek szrapnela i rozdania brydżowe uratują mi życie, tak jak to zwykle czyni Biblia dla pobożnych protestantów. Wolalbym być zbawiony przez dobrą kartę niż przez palec Boży.

Ołówki są w naszej drużynie na wagę złota. Jeżeli na każdą prośbę o ołówki wysyłają nam z domu chociaż jeden, Love może już spokojnie planować uruchomienie po wojnie sklepu papierniczego: nawet największy worek by ich nie pomieścił.

Pieczołowicie strzegę moich niezastąpionych 2B i 4B; tego z grubym grafitem, stolarskiego. Ołówek 4B kupiłem w sklepie rzemieślniczym w Shelby i stale noszę go przy sobie. Już ponad połowa się zrysowała. Ciekawe, co się pierwsze skończy - mój 4B, wojna czy ja sam. Konkurs trwa. Takiego ołówka nie wolno upuścić na ziemię, bo natychmiast będzie po nim: grafit pokruszy się wewnątrz oprawki. Owijam go w papier toaletowy i noszę pod bandażem w pakiecie pierwszej pomocy. Tych dwóch ołówków używam wyłącznie do rysowania. Ten 4B jest chyba jedyną rzeczą, dzięki której jeszcze się jakoś trzymam. Ołówka nie pożyczylbym nikomu za nic w świecie. Człowiek musi mieć coś własnego, nawet jeżeli dostał znienacka kopa w górę na sierżanta.

Tych dwóch ołówków nie używam nawet do pisania rozdań brydżowych: do tego celu służy mi zwykły 2HB. Tylko ja jeden w całej drużynie mam trzy ołówki. Prędzej już obyłbym się bez pasa na amunicję, niż bez nich.

Najczęściej rysuję po wewnętrznej stronie rozłożonych kartonów po żywności. Cała drużyna zbiera je dla mnie. Ponieważ nie mogę wozić ze sobą wszystkich rysunków, zwijam je w rulony po dziesięć sztuk i zakopuję w ziemi. Prowadzę listę miejsc, w których je pochowałem. Lista podróżuje w moim worku wozem kuchennym. Ten sam worek zawiera z dziesięć albo dwadzieścia najbardziej udanych rysunków.

Planowałem, że po wojnie wrócę w te miejsca i za pomocą map wydobędę rysunki spod ziemi. Nie bałem się, że mogę zbutwieć - miałem nadzieję, że nie: kartony są woskowane.

Rysuję, co popadnie. Mam niezłe portrety Morrie'ego i Maxa, Jima i Freda, Whistle'a i Louisa. Rysuję nasz sprzęt i okolice, drzewa, szyszki sosnowe, wiejskie domy, scenki rodzajowe, menażki, manierki - wszystko. To, co rysuję, staje się dzięki rysunkowi bardziej realne, a zarazem nie aż tak realne.

Mój worek z mapami i rysunkami - czyli całym moim majątkiem - przepadł, kiedy zostałem ranny nad Mozlą. Mimo to po dwudziestu latach przyjechałem w te okolice z żoną i dziećmi. Nie znalazłem rysunków - bardzo się tu zmieniło, a poza tym żadnego miejsca nie pamiętałem dokładnie.

Zbliża się czwarta. Od czwartej do ósmej wartę trzymamy ja i Miller. Liczę ją jako wartę dzienną, po jednym na posterunku, chociaż przez większość czasu będzie już ciemno. Sobie wyznaczam górę, żeby mieć dobry ogląd całości. Muszę szczególnie uważać na dym i ogień. Może zdołam przyłapać ich na gotowaniu kolacji i wyśledzić, gdzie się kryją - jeżeli w ogóle

ktoś jest w tej okolicy. Ktoś musi być.

Wychodząc mówię Budowi, żeby siedział na dole i nasłuchiwał, czy nie kręcą się w pobliżu jakieś pojazdy. Też mi polecenie. Brzękam telefonami, żeby Mundy i Wilkins wiedzieli, że idziemy. Zawsze panicznie się boję, że wartownik mnie zastrzeli, kiedy będę szedł go zmienić. Podejrzewam, że właśnie w tym stylu skończę: przez głupi przypadek, z ręki kumpla.

Sprawdzamy z Millerem broń, zaczepiamy granaty w kieszeniach. Mam nadzieję, że skończyli ryć tę cholerną dziurę na górze. Jeżeli i Shutzer, i Mundy kopali ją przez ostatnie cztery godziny, to powinna być gotowa. Nic gorszego niż kopać po ciemku przez korzenie. Człowiek się tylko spoci, a potem siedzi w nocy mokry i zimny.

Idąc pod górę czuję, jak gwałtownie chwyta mróz. Niebo jest jednolite, niskie, białe i jeżeli ochłodzi się jeszcze o parę stopni, może spaść śnieg. Tylko tego nam brakowało. Wracam po pałatkę. Na wypadek śniegu trzeba by znaleźć mniej widoczną drogę wspinaczki na górny posterunek.

Ojciec prawie skostniał z zimna. Stoi nad okopem i przytupuje. Dziurę wykopali, ale ziemia dalej piętrzy się obok. Shutzer i Mundy powinni mieć trochę więcej oleju w głowie.

- Wiesz co, Wont, dosyć zimno się tu robi.

- Wiem. Na dole jest ciepło. Jak wychodziliśmy, Bud nastawił wodę na maszynce. Mamy już nawet ogień na kominku i komfortowe łóżka, z pikowanymi atłasowymi kołdrami.

- Tramwaj w oku, Wont, nie nabierzesz mnie.

- Wcale cię nie nabieram, sam zobaczysz.

Ojciec zarzuca karabin na ramię, ściąga hełm. Siadam na przyzmię ziemi.

- A, słuchaj, Ojciec, zapomniałem podać hasło. Powiedz im, że hasło brzmi „Nad - Upał”.

Niech Gordon przedzwoni je do Millera.

Ciekawe, czy Mundy się połapie, o co chodzi. Mając trzynaście lat, utknął w seminarium, więc masa rzeczy go ominęła. Normalnie hasło dostajemy z dywizji, ale ponieważ hasła nie podaje się przez radio, musimy chwilowo wymyślać własne.

- Nie zapomnij, Ojciec: „Nad - Upał”. Ojciec już zaczął schodzić.

- Tak, zrozumiałem: „Nad - Upał”.

Patrzę za nim, jak schodzi w dół, przygarbiony, w wełnianej czapeczce na głowie, z hełmem dyndającym w zgięciu ręki, ze zjeżdżającym co chwila z drugiego ramienia karabinem. Nie znam faceta, który by tak jak Mundy nienawidził hełmu. Ani drugiego tak pewnego kandydata do tytułu największego flejtucha w kompanii.

Zostaję sam. Dalej siedzę na kupie ziemi; zaraz ją porozrzucam. Lorneta leży na liściach koło okopu. Utykam ją za pasem pod kurtką. Lornetę najlepiej trzymać w ciepłe, wtedy szkło

przy oku się nie poci.

Ojciec jest za mało ostrożny. Nie boi się śmierci tak jak reszta z nas. Gdybym wierzył w to, w co on wierzy, albo utrzymuje, że wierzy, też nie bałbym się umierać: chodziłbym sobie spokojnie i zgrywał bohatera z widokiem na raj. Martwię się, że Ojciec popełni kiedyś głupi błąd, przez czystą bezmyślność, i da się zabić.

Szufluję ziemię na bok, pod sosny, i przysypuję igliwem. Kręcę korbką telefonu i mówię Shutzerowi, że będę im wydzwaniał godziny - Shutzer pożyczył mi swój zegarek. Poznaje, że gra już się zaczęła: Stan rozmawia ze mną jak z intruzem, teraz ja uosabiam dla nich wojnę i tylko im przeszkadzam.

Ściemnia się szybko; czerwone partie drzew liściastych nabierają barwy fioletu, cienie pod sosnami stają się ciemnogrnatowe.

Wyciągam lornetę i kieruję ją na przeciwległe wzgórze. U jego stóp wije się rwący potok. Wyżej sterczy płaski, szary głaz, po którym łagodnie spływa woda. Tuż pod głazem, między nim a strumieniem - coś się rusza!

Redukcja światła w szklach lornety jest niesamowita, a ja zacząłem się do tego tak trząść, że z trudem utrzymuję przyrząd. Odsuwam się do okopu i opieram łokcie na krawędzi.

U nasady wiszącej skałki pasą się trzy nieduże sarny. Jedna patrzy wprost na mnie, długie uszy skręcają się, łowiąc dźwięk. Niemożliwe, żeby widziała na taką odległość, a i nikłe światło nie odbija się od szkieł lornety.

Wpycham lornetę z powrotem za pas i wyciągam ołówek 2B razem z rozłożonym, płasko przyciętym kartonem po racjach żywnościowych.

Próbuję naszkicować to, co zobaczyłem, magiczny moment, ale nie potrafię. Mam za słabą pamięć, a pomieszczenie tego, co chce narysować, na małej powierzchni, przerasta moje możliwości. Częściowo dlatego, że sarny są za daleko, za dużo jest w kadrze nieba, gór, lasu; częściowo też dlatego, że wcale nie tego oczekiwałem. Trudno jest przekazać radość pokoju, nawet na rysunku.

Znów wyciągam lornetę i dalej lustruję wzgórze, próbując sobie wyobrazić, że po nim spaceruję. Przesuwam okiem lornety wzdłuż drogi, ale jest już tak ciemno, że prawie nic nie widać. Ledwo rozróżniam sylwetkę Millera przy moście. Miller pali papierosa: kiedy się zaciąga, czerwony ognek jarzy się jaskrawo w mroku. Chyba coś pisze. Może szykuje nam się kolejna krzyżówka, albo jeszcze lepiej - wiersz. Miller pisuje wiersze o różnych rzeczach, przede wszystkim o maszynach. Takie słowa jak „wał rozrządu”, „przekładnia”, „dyferencjał”, „dźwignia”, „pasek klinowy”, „karburator”, a nawet „przemieszczenie tłoka” - to muzyka dla ucha Millera.

Wyrzebuje z kieszeni bluzy przydziałowe fajki w małej paczce po cztery, nurkuje w głąb wykopu i zapalam. Ograniczyłem palenie do trzech dziennie, ale kiedy jestem zmarznięty i przerażony, jak teraz, trudno się powstrzymać. Wytwórnice papierosów wymyśliły chytry interes z tymi darmowymi papierosami dla młodych żołnierzy. Po wojnie będą z nas miały dożywotnych klientów. (Zakładając, rzecz jasna, że którykolwiek z nas przeżyje). To jeden z najmocniejszych argumentów Gordona przeciwko paleniu.

Zaciągam się głęboko, w żołądku robi się cieplej i spokojniej. A już mi się zaczynał buntować po tym szuflowaniu ziemi. Jeden mały zastrzyk paregoryku i byłoby w porządku. Może rzeczywiście staję się lekomanem?

Jest już całkiem ciemno. Tylko nad koronami drzew lśni jeszcze niebieskawa poświata, a nad wzgórzami za mną leży cienka mgiełka światła. Nie ma sensu myśleć o czasie: niedługo będzie po wszystkim, to wystarczy. Nigdzie się przecież nie wybieram, po prostu brnę przez tę krótkowzroczną wojnę, przez kolejny krótkoświatły dzień.

Wyłażę z dziury i idę się odlać. Zimno jak cholera, a teraz na dobitkę podnosi się wiatr. Trzeba było zabrać szynele. Wracam do okopu i okręcam się pałatką. Szynele mają tę wadę, że są piekielnie ciężkie i zajmują w bagażu kupę miejsca. Człowiek czuje się w nich jak kukła: ciasno, a wcale nie tak ciepło, jakby się zdawało. To samo jest z tymi idiotycznymi kaloszami, które kazali nam nakładać na buty w błotach Metz. Kłapały przy chodzeniu i gwarantowały reumatyzm. Nieoceniony sierżant Hunt groził nam za ich pogubienie sądem wojennym: rozdawał nawet kwestionariusze o stratach w sprzęcie.

Hunt umierał straszliwie: bebechy wyciekały mu przez palce, a on, głupi aż do końca, klęczał podparty na rękach i bujał się w miejscu. Kiedy wreszcie runął na twarz, pełno ziemi dostało mu się do środka rany i nic już nie można było zrobić.

Dzwonię do chłopaków. Tym razem odbiera Gordon.

- Pijany byłeś, jak pisałeś to rozdział, Wont? Zachodni siedział na pikach, a wszystko jedno zamordował niewyjęte cztery kiery. Wilkins, niech go diabli, znowu górą. Nie zdradziłeś mu przypadkiem, co kto ma?

- Kłęska jest bolesna, co, Mel? Może powinieneś się trzymać swojej medycyny i muzyki i przestać pozować na człowieka renesansu w mundurze.

- Na przyszłość proszę cię tylko o jedno: staraj się mieszać karty, żadnych sztuczek, żadnych pułapek. Jestem pewien, że Vance rozpracował twój system, czyta ci w myślach.

- Dobra, Mel, obiecuję, chociaż trudno będzie utemperować tak świetną, wysokoprężną maszynę do myślenia jak mój mózg. Miej to na uwadze.

- Srali muszki będzie wiosna. A teraz poważnie. Matka pichci gulasz albo wieprzowinę z

fasolą. Które z naszych dań łaskawy pan raczy zamówić?

Wybieram gulasz. Nie jestem pewien, czy go zjem, ale wszystko jest lepsze niż fasola.

- Otwieramy też sałatkę owocową. Jeżeli dasz słowo honoru, że zachowasz się rozsądnie przy następnym rozdaniu, zostawimy ci trochę. I Millerowi też.

- Słowo honoru. Dla dobra Millera.

Odkładam słuchawkę. Robi się jeszcze ciemniej, samotniej, ciszej. Niesamowite są te rozmowy przez polowy telefon w okopie. Oczami wyobraźni widzę chłopaków siedzących przy kominku, widzę, jak jedzą. Rozsądek nakazywałby zamienić sałatkę owocową na ten ser, na który już nie mogę patrzeć.

Cały czas wypatruję błysku światła albo ognia, ale nic takiego nie widać. Widzę tylko, jak Miller zapala papierosa i jak później ognik rozjarza się z każdym pociągnięciem. Daj Boże, żeby układał krzyżówkę: miałbym na chwilę z głowy fanatyków brydża.

Kusi mnie, żeby zapalić jeszcze jednego, ale się nie poddaję. Mel mnie przekonał. Trzeba rzucić palenie. To głupota ciągnąć tłące się, zbutwiałe trawsko.

Wiatr świszczę w najwyższych gałęziach, pnie drzew chwieją się i ocierają o siebie nawzajem, skrzypiąc jak maszty na okręcie. Słyszę grzechotanie zamarzłych liści, którymi wiatr pomiata po stwardniałej ziemi. Nie wiem, czy usłyszałbym, gdyby ktoś się teraz skradał. Na wszelki wypadek oglądam się przez ramię. Te sosny ktoś tutaj sadził: pod każdym niemal kątem ustawiają się w długie, równe szeregi.

Dzwonię znów do pałacu. Mówię Wilkinsowi, że dla mnie ma bezwzględnie przygotować gulasz. Po fasoli pierdziałbym całą noc. I żeby mi zostawił trochę wina, a z kawą dał sobie spokój. Wilkins pyta, czy zjadłbym na deser ze dwie kulki lodów czekoladowych. Klasyczny dowcip Wilkinsa: widocznie nieźle się czuje.

- Lody, Matka, możesz sobie wsadzić. Ale schowaj dla mnie dwie wisienki z sałatki owocowej, dobra?

Doigram się! A pies z tym wszystkim tańczył, może dostanę nareszcie dyzenterii z prawdziwego zdarzenia i odeślą mnie do domu? Whistle zarobił kiedyś tym sposobem okrągły tydzień w szpitalu polowym. Mówił potem, że cały czas spał, z małymi przerwami na jedzenie.

Słyszę jakieś szmery, a wydaje mi się, że od ostatniej rozmowy telefonicznej minęła jedna chwila. Tak szybko zleciało - chyba musiałem się zdrzemnąć. To Shutzer i Mundy.

- O kurka wodna! Mogłem się przez was zesmarkać ze strachu.

Shutzer zjeżdża w głąb okopu.

- Zdawało mi się, że to jeszcze wyżej. Ja pier...wszy wchodzę, ale tu ciemno!

Wyciągam się do góry na rękach. Nogi mi zeszywniały i zdrętwiały. Może naprawdę

kimałem?

- Przyzwyczaisz się, i tak nie ma na co patrzeć. Gordon i Wilkins zeszli zwolnić Millera?

- Tak, wychodziliśmy razem. Gordon tak się wściekł przy grze, że przestał się właściwie do nas odzywać. Wymyśliłeś akurat takie rozdanie, którego nie umiał rozegrać. A siedzieć z boku i czekać, to dla Gordona potworna sprawa. Matka wziął go w pułapkę; ten Wilkins jest niesamowity, wiesz?

- Jak on się czuje?

- Po mojemu - w porządku. Nie może być źle z facetem, który tak gra w brydża. Nie przejmuj się, Won't. To nie ma sensu - matkować matce?

Spoglądam w dół. Widzę Millera wspinającego się pod górę; jest już przy fontannach. Na tle cembrowiny zbiornika odcinają się czarne sylwetki Wilkinsa i Gordona. Po raz kolejny postanawiam nie pisać ani słowa o rajdzie Matki przez las.

- Przekazałeś im hasło, Mundy?

- Tak. „Nad - Upał”, ty świntuchu sztabowy.

- Masz tu lornetę, Stan. Trzymaj ją w kieszeni albo za pasem portek. Przekaz zmiennikowi.

- Na co mi twoja lorneta? Nawet gołym okiem nic nie widać.

- Nigdy nic nie wiadomo, Stan. Obserwuj przede wszystkim tych dwóch facetów na dole. Patrz, czy nic się za nimi nie rusza. Mundy, ciebie za dwie godziny zmieni Miller, na razie coś zje i trochę się ogrzeje. Stan, ty zostajesz na cztery. Wiem, że to długo, szczególnie w nocy, ale jak mamy trzymać dwa posterunki, to innej rady nie widzę.

- Wiem.

Shutzer węszy w powietrzu.

- Pachnie, jakby miał padać śnieg.

Zabieram pałatkę. Shutzer i Mundy przynieśli swoje. Zaraz jednak uświadamiam sobie, że przecież pod dachem pałatka mi na nic.

- Macie tu jeszcze jedną pałatkę; jakby padał śnieg, rozciągniecie ją górą. Dzwóńcie co pół godziny, Masz zegarek, Ojciec?

Ojciec kiwa głową. Ruszam w dół, ale jeszcze raz się zatrzymuję.

- Jak przyjdzie Miller, poda wam hasło z tego miejsca, OK?

- Tajest, panie sierżancie. Daj już spokój, co? Zrelaksuj się. Żarcie jest ciepłe, a przy ogniu czeka z pół butelki wina. W kubku Millera masz gorącą kawę.

- Dzięki.

Schodzę tą samą drogą, którą oni weszli, ale rozglądam się za innym wejściem na górny

posterunek - takim, które nie biegloby przez sam środek zbocza. Mniej więcej w połowie drogi na dół spostrzegam światło sączące się przez szparę w nie dociągniętych zasłonach. Po wejściu do środka przede wszystkim szczelnie zasłaniam okno. Wyłuskuję z kieszeni granaty i składam je w kącie na kupę, razem z pasem na naboje. Karabin opieram przy kominku. Pilnuję, żeby był zawsze naładowany, z jednym pociskiem w komorze, i zabezpieczony. Miller już jest na miejscu, zsuł buty do połowy, siedzi na posłaniu i zajada. Czuję się bardziej zmęczony niż głodny, ale wiem, że trzeba coś zjeść, przez rozum.

Miller podaje mi butelkę z winem.

- Kurka wodna, ale tam zimno nad tą rzeką. Duże taki paskudny, wilgotny wiatr. Myślałem, że stopy mi poodpadają z zimna. Jeszcze ich nie czuję.

- Uważaj, jak palisz, dobra, Bud? Z łatwością czytałem twoją sygnalizację. Jeszcze jakiś niemiecki fanatyk zajdzie cię od tyłu i przygrzeje w ucho, akurat jak będziesz komponował wiekopomny poemat - po co ci to?

- Siedzę sobie spokojnie, starając się oddać wrażenie ssania korbowodu u nasady nosa i nagle ogarnia mnie strach: coś jak woń palonego pierza i siarki.

- Ta wojna nie zna reguł, Bud. Bądź ostrożny.

Gulasz jest smaczny. Jem powoli, żując starannie. Zagryzam ogólnowojskowymi sucharami i pijam winem. Postanowiłem wyrzec się kawy, nawet jeżeli broni przed zaśnięciem.

Telefon wrywa mnie z głębokiego snu. Miller jest na nogach, więc odbiera; cały czas bawił się tym swoim wierszem w blasku ognia z kominka. Gordon melduje, że wszystko w porządku. Następny dzwoni Shutzer: u nich też wszystko gra. Przekazujemy sobie posunięcia szachowe. Miller wyciąga swoje szachownice, ustawia pionki, studiuje sytuację. Cała drużyna, oprócz Wilkinsa i mnie, wozi z sobą po trzy miniaturowe turystyczne komplety szachów. Niektóre mecze ciągną się przez wiele dni. Obowiązuje reguła, że kiedy się jest na warcie, można podawać ruchy tylko w porach regulaminowych meldunków. Inaczej wykończylibyśmy baterie telefonu w jeden dzień.

W szachach Matka bije wszystkich na głowę, ale zwykle odmawia gry. Czasami, jak już musi, grywa w brydża, ale szachy, jak twierdzi, zupełnie go już nie bawią.

Wstaję, myję kubek Gordona w jednym kubku i napełniam wodą z drugiego. To samo robię z kubkiem Shutzera. Shutzer, flejtuch, zostawił kubek brudny jak nieszczęście: brązowy karmel cukru oblepia dno i biegnie gęstą smugą po ściance. Jak babcię Kocham, on chyba nigdy nie myje swoich rzeczy, a i tak jakoś nie ma sraczki; musi mieć strusi żołądek.

Stawiam kubki blisko ognia. Jak wrócą, będą sobie mogli raz dwa dogrzezać wodę na

maszynce.

Idę na górę do ubikacji. Ubikacja to jedno z naszych najdonioślejszych odkryć. Woda się nie spuszcza, bo nie wiemy, jak ją odkręcić, ale sedes jest bez miski, jak w amerykańskich toaletach, i gówno leci prosto w kanalizację. To się nazywa luksus: nie trzeba kopać latryny. Kopanie kompanyjnej latryny jest zawsze, nie wiedzieć czemu, przywilejem plutonu zwiadowczego.

Dalej mam sraczkę i skręt kiszek, ale już nie takie straszne. Może pałacowe życie jest właśnie tym lekarstwem, którego mi było potrzeba. Schodzę na dół, napełniam dwie lampy, przesuwam telefon, po czym wczolguję się w śpiwór i czekam. Zegarek Millera pokazuje, że do następnych meldunków zostało raptem pięć minut, ja jednak mimo to zasypiam. Budzę się przerażony. To musi być już drugi albo trzeci dzwonek. Dzwoni Gordon.

- Wilkins mówi, że zobaczył coś na przeciwległym wzgórzu!

Siadam w śpiworze.

- Daj mi Matkę.

Staram się opanować oddech. Dostałem spazmatycznej zadyszki. Zasnąłem jak kamień, i to w jednej chwili! Zgłasza się Wilkins.

- Co widziałeś, Vance?

- Nie mam pewności, Wont, ale coś się ruszało na tym wzgórzu, gdzie wisi wielki głaz.

Księżyc świeci prosto na ten głaz i dlatego widziałem.

- To mogły być sarny, Matka, widziałem je już wcześniej.

- Może i tak, w każdym razie coś się ruszało.

- Daj mi z powrotem Mela.

Telefon zgrzyta i klekocze mi prosto w ucho. Zgłasza się Gordon.

- Mel, niech jeden z was ma oko na ten kawałek, a drugi niech obserwuje szosę. Chłopcy z góry będą uważali na wasze zaplecze. Każdego, kto się zbliży, pytaj o hasło. Granaty macie?

- Mamy.

- OK, dzwonię do Shutzera. Łączę się z Mundym.

- Ojciec, Matce się zdaje, że widział coś na przeciwległym wzgórzu przy tym dużym głazie. Widzisz coś od siebie?

- Nie, nic tam nie ma. Ten Wilkins musi mieć oczy jak sowa. Ja ledwo widzę własną rękę przed nosem.

- Możliwe, że to tylko nerwy. Wcześniej widziałem w tamtym miejscu sarny. Uważajcie na lewo, na prawo i na ich tyły, OK?

- Zrozumiałem.

- Do następnego meldunku żadnego palenia, żadnego gadania i uważajcie, czy was ktoś nie zachodzi od tyłu. Gdybyście usłyszeli coś podejrzanego, zaraz dzwońcie. Obaj macie granaty?

- Tak. Tak jest.

Odkładam słuchawkę i wracam do pozycji leżącej. Pewnie nic tam nie było. Wilkinsowi po prostu wysiadają nerwy. Może jednak powinienem powiedzieć chłopakom o naszej szalonej szarzy przez chaszczę. Wiadomość o martwym dziecku załatwiła Matkę na dobre. Biję się z myślami, próbując podjąć jakąś decyzję.

Całe życie Wilkinsa w Shelby składało się z przerw między weekendami. Każdą chwilę wolną od ćwiczeń polowych Wilkins poświęca na porządkowanie sprzętu, czyszczenie karabinu, skrobanie siatki maskującej i inne tego typu gówniane zabiegi. Jego żona sprowadziła się do miasta i dostała posadę kelnerki. Teraz Matce zależy tylko na jednym: dostać przepustkę.

Jako straszliwy krótkowidz, Matka chodzi z głową wysuniętą do przodu spomiędzy przygarbionych ramion, jak człowiek usiłujący przejrzeć przez mgłę. Nie można powiedzieć, żeby nadawał się na plakat obrazujący wzorowego żołnierza piechoty. Na poligonie też ma ciężkie życie. Ledwo udało mu się zdobyć sprawność strzelca wyborowego z M1, a naprawdę się starał.

Hunt dowiaduje się, że żona Wilkinsa jest w mieście, i zaczyna mu robić koło pióra. Zwraca się do niego per „perfesor” i jeździ na nim jak na łysej kobyle. Wilkins w związku z tym jeszcze bardziej się stara, żeby zarobić na przepustkę. To był kawał skurwysyna, ten cały Hunt: kolos, ponad sześć stóp wzrostu, z czerwoną gębą i kałdunem piwosza. Jego ulubiona pogroźka brzmiała: „Ja wam dam wycisk do ostatniej szczyzny”.

Którejś soboty rano, po inspekcji, kiedy już Ware zrobił swoje, Hunt wraca do nas, zwołuje wszystkich i wygłasza mowę na temat tego, że „nie zadowolają go nasze postępy”. Już on z nas robi żołnierzy, dla naszego własnego dobra, bo „nic tylko się gżimy”, i tak dalej, klasyczna mowa huntowa. Wilkins spakował już torbę na wyjście. Postawił ją na pryczy, dokładnie w chwili wejścia Hunta. Hunt sunie przez cały barak wprost do Wilkinsa.

- A ten to jest najgorszy zakazany w mordę jebaka w całej jebanej jednostce.

Patrzy na torbę, która stoi na pryczy Wilkinsa.

- Ty, perfesor, sobie myślisz, że ty się gdzieś, kurwa twoja mać, wybierasz?

Matka stoi w nogach pryczy i patrzy prosto przed siebie, we własnej garbatej wersji postawy na baczność. Milczy.

- To ja ci powiem, że ty się nigdzie nie wybierasz. Twoja dupa jebana przesiedzi sobie

ten weekend w koszarach. Przez jedną sobotę będziesz się musiał obejść bez tej swojej cipy.

Zapada martwa cisza.

- To jest moja żona, sierżancie Hunt.

Twarz Matki robi się bardziej przezroczysta niż okulary, a zaciśnięte w linijkę usta sinieją.

- Cipa, Wilkins, cipa, jak wszystkie one. Cipa jednego tylko potrzebuje: regularnego jebania. Twoja taka sama.

Odwrócił się do wyjścia i wtedy Matka ląduje mu na plecach. Hunt wali się pod niespodziewanym atakiem. Nie przewidział tego, tak jak i żaden z nas. Lewis wyciąga rękę i jednym pchnięciem zamyka drzwi.

Hunt upadł plackiem na brzuch, ale już gramoli się na kolana. Stęka i ryczy jak raniony łoś. Matka opasuje go od tyłu swoimi długimi nogami i wciska pięty w krocze Hunta. Ramionami założył mu nożyce na szyję. Hunt wyciąga rękę, żeby odepchnąć ramię Wilkinsa od gardła. Matka szarpie do przodu z całej siły i Hunt z powrotem wali się na pysk. Okulary dyndają Matce na jednym uchu. Lewis podchodzi, odczepia je, składa i zostawia na pryczy Wilkinsa. Do tej chwili wszystko odbywa się bez słów; słychać tylko sapanie i szuranie butów o drewnianą podłogę. Hunt znowu próbuje się podnieść. Gramoli się na nogi, ale Matka jednym szarpnięciem ściąga go do tyłu, tak że sam wali się o pryczę, a Hunt turla się na brzuch. Jeszcze raz próbuje wstać, ale ręce i nogi trzęsą mu się jak galareta; praska brzuchem o podłogę.

Wszyscy stoimy i patrzymy na widowisko: minęły najwyżej trzy minuty, odkąd Matka zaatakował. Corrollo podchodzi bliżej i klęka koło nich. Są do połowy wciśnięci pod pryczę. Jak w końcowej fazie walki psów albo kotów: z pozoru nic się nie dzieje. Hunt ma oczy otwarte, a twarz sinopurpurową.

- Chryste Panie, Matka, ty go zabijesz.

- Jeszcze nie dzisiaj, trochę odpuściłem.

Matka mówi zdyszczanym, zdartym głosem, ledwo go słychać. W sali panuje śmiertelna cisza. Gęba Hunta robi się z powrotem czerwona, gałki oczne idą w ruch. Matka odzywa się niskim głosem, na granicy hysterii, płacze, twarz ma mokrą od łez i potu.

- Słuchaj, Hunt. Mógłbym cię teraz zakatrupić i ty o tym dobrze wiesz. Przy tylu świadkach, dostałbym góra dziesięć lat. Przesiedziałbym do końca wojny.

Matka przygarbił się i mówi Huntowi prosto do ucha. Mija pięć sekund, pięć cichych sekund.

- Ty nie zasługujesz na to, żeby żyć, Hunt, jesteś liszajem tej ziemi. Nie widzę powodu, żeby cię nie zabijać.

Mija cała wieczność, wypełniona tylko ciężkim sapaniem. Hunt znowu próbuje się wyzwolić, ale Matka dociska.

- Zależy ci na życiu, Hunt? Jeżeli tak, kopnij lewą nogą w podłogę.

Patrzemy. Lewa stopa Hunta unosi się, kopie w podłogę.

- Żeby żyć, musisz zrobić tylko dwie rzeczy. Po pierwsze, przeprosić za to, co powiedziałeś o mojej żonie. Po drugie, od tej chwili raz na zawsze przestać się mnie czepiać.

Czekamy. Matka przerywa dla zaczerpnięcia oddechu.

- A teraz wynoś się do kancelarii. Za pół godziny przyjdę tam po przepustkę. Zrozumiano?

Matka z każdym słowem zwiększa ucisk. Gęba Hunta znów robi się fioletowa, oczy mu łzawią, palce wczepiają się kurczowo w ramię Matki. Z nosa sączy mu się cienka strużka krwi. Noga wędruje do góry i z całej siły kopie w podłogę, trzy razy, cztery.

Matka puszcza go i wstaje. Hunt się nie rusza. Nikt nie spieszy mu z pomocą. Matka stoi nad nim i drży na całym ciele: koszula bez guzików, cały mundur na wylot przesiąknięty potem. Przez kilka sekund patrzy z góry na Hunta, potem odwraca się i kładzie na swojej pryczy.

Hunt w końcu siada. Ociera nos wierzchem dłoni i patrzy na krew. Potem obraca się, klęka na czworakach i puszcza pawia. Powoli staje na nogi, wychylony do przodu, całe ręce ma w rzygowinach. Toczy wzrokiem dookoła. Szepcze chrapliwie:

- Zaatakował mnie od tyłu, widzieliście, chłopcy.

Nikt się nie odzywa. Smród pawia zaczyna się rozchodzić po baraku. Jest początek maja, ciepło. Nie wiadomo, dokąd zaleci.

- Słuchajcie, wy dranie. Przepraszam za to, co mówiłem o żonie Wilkinsa.

Dalej nikt nic nie mówi. Hunt chwiejnym krokiem posuwa się do drzwi. Corrollo otwiera drzwi, a Hunt schodzi po schodach i opuszcza barak.

Wszyscy jesteśmy w szoku. Matka siada na pryczy; zdejmuje przepocone odzienie. Schodzi na dół i bierze prysznic. Kiedy wraca, ubiera się powoli i wyciąga przybornik do szycia. Przyszywa pourywane guziki, a potem wiesza mokre od potu szorty na wieszaku. Wszyscy czekamy, kiedy do baraku wpadnie oddział policji wojskowej, ale Wilkins wcale nie wydaje się zdenerwowany. Nadal jest czerwony na twarzy, a lekko skrzywiona oprawka okularów siedzi mu na nosie nie tak jak należy, krzywo, jedno szkło o pół cala wyżej od drugiego.

Nie odzywając się do nikogo, bierze torbę z pryczy, gdzie cały czas stała, i schodzi po schodach.

Nigdy nam nie powiedział, co zaszło w kancelarii, ale fakty są takie: aż do przerwania

nas za ocean, Hunt nie czepia się Wilkinsa, a Wilkins aż do końca co tydzień dostaje przepustkę na weekend.

W tydzień po incydencie na skrzyżowaniu pod Olsheim, Matka dostał od żony list o dziecku. Nawet nie wiedzieliśmy, że była w ciąży. Matka powiedział Ojcu Mundy, że dziecko urodziło się nieżywe, ale żadnemu innemu z nas nie mówił nic.

Po tym zdarzeniu Matka jakby stracił wiarę we własną nieśmiertelność. Tak przynajmniej ja to tłumaczę. A bez tej wiary nie da się robić tego, co wszyscy robimy.

Upłynęło może z piętnaście minut i telefon znowu dzwoni. To Shutzer.

- Won't, jakie jest prawdopodobieństwo tego, że tu w okolicy są wilki?

- Nie mam pojęcia, Stan, to możliwe. Jesteśmy przecież w prawdziwym lesie, takim samym jak ten, przez który szedł Czerwony Kapturek.

- Mundy twierdzi, że to sowy. Słyszysz je tam u siebie?

- Nic nie słyszałem. Na wpół śpię i nie nadstawiam ucha.

- O żesz, kije złamane! Znowu zaczynają! Słyszałeś tym razem?

- Tu nic nie słysząc. Skąd to idzie?

- Jakby ze wzgórze za nami i z tamtych pagórków po drugiej stronie. Trudno stwierdzić - może to echo, a może się nawołują.

- Daj mi zadzwonić do Gordona.

Ledwo odkładam słuchawkę, telefon dzwoni sam.

- Ja cię kręcę, Wont! Jacyś Indianie tu się szwendają, albo co! Matka mówi, że to Niemcy sygnalizują tam i z powrotem. Ja tam nic nie kapuję.

- Zaczekaj, Mel, zaraz tam będę. Odkładam słuchawkę, szarpie Millera za ramię.

- Bud, tam na dworze odchodzą jakieś dziwne numery: ktoś się wydziera albo zwierzęta hałasują. Schodzę do mostu, ty siedź przy telefonie. Zadzwon do Shutzera i powiedz mu, co jest. A potem wydzwoń Gordona i Wilkinsa: przypomnij im, że mają do mnie nie strzelać.

- OK, to pewnie tylko zwierzęta. W takim lesie nocą muszą odchodzić niezłe polowania.

- Mam nadzieję.

Zabieram granaty i pasy z nabojami. Ze skrzynki biorę dwa granaty ekstra. Za ciemno na strzelanie. Posuwam się tą krawędzią drogi, wzdłuż której kładłem kabel. Chłopcy wywołują mnie po jakichś dziesięciu jardach. Doskakuję do nich pod ścianę. Są spięci, porozumiewamy się szeptem.

- Słyszeliście coś więcej?

- Już nic.

Czekamy po ciemku może z pięć minut. I nagle rozlega się głos. Brzmi jak indiańskie

nawoływania: kiepska imitacja Indianina naśladowującego głos wilka. Ale to jest głos ludzki, bez wątpienia. Ogarnia mnie strach. Wilkins patrzy na mnie.

- Tym razem bliżej!

Jeszcze chwilę czekamy w ciemności. Zastanawiam się, czy to dobrze, że stoimy w kupie, czy nie powinniśmy się raczej rozproszyć. Na razie jednak postanawiam niczego nie zmieniać. Jest to nie tyle decyzja dowódcy, co moja prywatna potrzeba. Podnoszę słuchawkę i dzwonię do Millera.

- Bud, nie odchodź od telefonu.

- Przecież nie odchodzę, co jest?

- Zdaje się, że skrada się do nas niemiecki patrol.

- Jezu! OK, zaraz zadzwonię do Shutzera i Mundy'ego. Coś jeszcze?

- Tak, powiedz im, żeby zachowywali się ostrożnie, ale mieli nas pod osłoną i uważali, żeby nikt ich nie zaszedł od tyłu.

- Tak jest.

- I słuchaj, Bud, gdyby się wdarli do pałacu, masz się poddać bez niczego. Zrozumiałeś?

- Jasne, tak jest, skończyć tę zakichaną wojnę.

- O to chodzi. Żadnych głupstw, żadnych bohaterskich spektakli z błękitnookim aryjskim poetą w roli głównej.

Nie odkładam słuchawki. Nic, tylko cisza. Zdejmuję hełm, żeby lepiej słyszeć. Czekamy w milczeniu, w napięciu, kolejne pięć minut. Nagle z góry rozlega się kocia muzyka - coś jakby śmiech, śmiech hieny, albo obłądny mechaniczny rechot z beczki śmiechu. Zaraz potem - nie minęła nawet minuta - słyszymy głos całkiem blisko, z drugiej strony drogi.

- Hej, ami!

Zamieramy. Zezuję w prawo i w lewo, ale nic nie widzę. Teraz odzywa się drugi głos, o jakieś trzydzieści jardów w prawo.

- Hej, ami! Sznaps? Cig - cig?

Wyraźnie słyhać gardłowy śmiech. Czekamy. Wyjmuję granat, wyciągam zawleczkę i przyciskam dźwignię. Spodziewam się, że lada chwila coś w nas łupnie, najprawdopodobniej granat. Na pewno już wiedzą, gdzie stoimy; trzeba się było rozproszyć.

Nie wiem, co robić. Lewym kciukiem odbezpieczam M1; Gordon i Wilkins robią to samo. Czynimy tym potworny hałas w głuchej ciszy. Słuchawka dalej leży koło telefonu, dysząc w nocną czerń. Nie mogę jej położyć na widelki, bo Miller gotów jeszcze do nas zadzwonić - niech już tak zostanie. Moje nogi rozpoczęły niezależny od woli taniec, wibrują na całym ciele.

- Ami! Schlaf gut, ja!

Głos dochodzi z tego samego miejsca co przedtem. Zdaje mi się, że słyszę też jakiś ruch, ale nadal nic nie widzę. Jeszcze chwilę siedzimy nieruchomo w ciemności: słyhać chrzęst ściółki, oddalający się w górę po zboczu, a po chwili zapada absolutna cisza. Miller gwizdże przez telefon, próbując się z nami skomunikować. Podnoszę słuchawkę i zbliżam usta do mikrofonu.

- Miller?!

- Hej, co tam z wami jest? Nie mogłem się połączyć!

- A jak na górze?

- Nic.

- Z nami tutaj gadali.

- O kurka! Zalewasz!

- Zadzwoń za dziesięć minut. Ty nie dzwoń.

- Ta jest.

Odkładam słuchawkę. W prawej ręce cały czas zaciskam granat, z kółkiem zawlecзки na palcu lewej ręki. Wkładam zawleczkę z powrotem w uchwyt i lekko popuszczam dźwignię, aż zawlecзка zaskoczy. Trzyma się. Cud, że nie upuściłem tego cholerstwa na ziemię, bo trzęsę się jak galareta. Kucamy w półprzysiadzie i czekamy, gotowi w każdej chwili puścić się biegiem, strzelać - tylko nie umierać. Po kolejnym roku, który trwa pięć minut, daję Gordonowi znak, żeby się do mnie przybliżył.

- Mel, idź w lewo, ja pójdę w prawo. Spotkamy się po tamtej stronie drogi. Jestem prawie pewny, że sobie poszli, ale zawsze lepiej sprawdzić. Wilkins, ty nas będziesz osłaniał. I żeby nie wiem co, nie postrzelajmy się nawzajem.

Gordon przesuwa się po ścianie na drugą stronę mostu, a ja przemykam się pod fontannę. Czekam, aż Gordon wejdzie na drogę, i przecinamy ją sprintem, równocześnie. Nic. Powoli, hałaśliwie, zmierzamy ku sobie między drzewami, aż wreszcie możemy się nawzajem zobaczyć. Żadnych pułapek z granatami - nic. Machamy do siebie, po czym obaj dajemy susa przez drogę i wracamy pędem do Wilkinsa. Zadyszeliśmy się, bardziej ze strachu niż z wysiłku. Matka patrzy na mnie.

- Nic tam nie ma, Vance, i nie mogę powiedzieć, żebym się tym czuł specjalnie rozczarowany.

- Obserwowałem was przez cały czas. Nic się nie ruszało, jestem świadkiem.

Podnoszę telefon, kręcę.

- Bud, u nas wszystko w porządku. Chyba sobie poszli. Jak tam na górze?

- Mundy mówi, że ktoś się śmiał za ich plecami i że słyszeli, zdaniem Shutzera, szwabską

mowę. To wszystko.

- Starczy. Oni porządku?

- Jasne, dopiero co z nimi rozmawiałem.

- Jest za kwadrans dziesiąta. Powiedz im, że za jakieś dziesięć minut będziesz na górze.

Uważam, że na dzisiaj wystarczy atrakcji.

- To znaczy, że jeszcze nie kończymy wojny?

- Jeszcze nie tym razem.

Odkładam słuchawkę. Patrzymy po sobie nawzajem. Teraz cały incydent wydaje się nawet swoiście zabawny: uśmiechamy się jak na komendę.

- Mel, pójdę się trochę ogrzać i zaraz wracam. Gdyby coś się działo - dzwoń. Osłaniajcie mnie w drodze na górę.

Kiedy odwracam się ku pałacowi, widzę lecące z góry płatki śniegu. Byłem taki zajęty banieniem się, że nawet nie zauważyłem, kiedy zaczął padać. Ziemia zmarzła i śnieg nie topi się, kiedy na niej osiada. Już od drzwi widzę, że Miller grzeje wodę w obu naszych manierkach. Podgrzewa też trochę dla Gordona i Mundy'ego. Wsypujemy po torebeczce neski z cukrem, siadamy na posłaniach i milcząc gapimy się w ogień. Kominek pożera drewno jak głupi. Dzwoni telefon, a mnie serce skacze do gardła. To Shutzer, z górnego posterunku.

- Won't? Co tam się, do cholery, działo na dole?

- Na mój rozum, Stan, armia niemiecka jest bliska rozkładu. Masz swoją Dobrą Nowinę.

- Miller mówi, że do was gadali. Co mówili, dokładnie?

- Najpierw „hej, ami” i „sznaps”, i „cig - cig” - czyli to wszystko, .co tradycyjnie powinni mówić jeńcy, oprócz „kamerad”. Potem jakby nas chcieli nastraszyć - wołali „Sra w but!”, czy coś w tym stylu. A potem zaraz poszli.

- Powtórz to ostatnie?

- „Srawbut”, może „Szlawbut”, tak czy owak bez sensu.

- Coś ty, Won't! To jest w jidysz! Moja babcia tak zawsze mówiła, jak szła spać „Schlaf gut” znaczy „dobranoc”.

- Czekaj no, Shutzer, chcesz mi wmówić, że dwóch pierdolniętych szkopów przywlokło się tutaj w tym zimnie, strachu i śniegu tylko po to, żeby nam zrobić capstrzyk? Jeżeli to prawda, Stan, to znaczy, że już za długo siedzą w tej zezowatej wojnie.

- Założę się, że to było właśnie to, Won't. Stawiam pikle przeciwko obarzankom, że to nie było nic innego. To tylko parszywi zaszrani faszyci robili sobie z nas jaja. Chcą, żebyśmy skruszeli przed egzekucją.

Za pięć dziesiąta zjeżdżam na tyłku pod most, a Miller drapie się na górę. Śnieg pada

coraz gęściej. Chłopcy pytają mnie o hasło dokładnie w tym miejscu, gdzie kazałem. Gordon idzie do pałacu, starając się nie ślizgać na pokrytym śniegiem igliwiu. Wszyscy jesteśmy lekko skołowani.

Siedzimy z Wilkinsem w milczeniu, patrząc na padający śnieg. W stałości opadających płatków śniegu jest coś kojącego. Może to wspomnienia z dzieciństwa, o jeźdźeniu na sankach i łyżwach. Gdzieś głęboko w środku nadal jestem dzieckiem. Co się właściwie stało? Jednego dnia miałem siedemnaście lat i chodziłem do szkoły, a teraz nagle mam dziewiętnaście i jestem tutaj.

- Czy ty coś z tego kapujesz, Wont? Sądząc po głosach, było ich więcej niż nas. A jak nas zaatakują? Nie mamy szans.

- Nie sądzę, Matka, żeby ktoś tu chciał kogoś atakować. Chyba po prostu chcieli sprawdzić, czy tu jesteśmy i ilu nas jest. Zobaczyli dym i przyszli na inspekcję - to wszystko.

Chcąc odwieść Matkę od myślenia o tym, co się dzieje, namawiam go, żeby mi pomógł układać nowe rozdania do brydża. Siedzimy jak te dwie dupy pod mostem i rozpracowujemy karty na cztery ręce. Trzeba zrobić zapas rozdań dla fanatyków. Kiedy się denerwują albo nudzą, grają więcej niż zwykle. Kto wie, czy nie zaczną nawet na nowo grać w PANTRANT - zwariowaną grę w słówka, wymyśloną przez Shutzera. Liczenie punktów w tej grze stało się tak skomplikowane, że ogłoszenie zwycięzcy wymaga matematycznego czarodzieja albo kalkulatora Monroe'a.

Wyciągam z kieszeni zapisy rozdań, które już były grane. Jest ich siedem. Najstarsze, zleżałe, ma raptem pięć dni. Może uda mi się kiedyś na nowo wcisnąć je brydżystom, ale na razie muszę mieć coś nowego. Licytację, kontrakt i wynik pierwszej rozgrywki mam zapisane, wiem też, kto grał na osi północ - południe, a kto na osi wschód - zachód. Chłopcy opisują zgrane kartoniki i opatrują je datą. Istna kwadratura koła. Jestem w tej drużynie pół dowódcą, pół księgowym.

Stoimy z Matką w śniegu, oparci o ścianę fontanny, i gryzmiemy po ciemku na kawałkach kartonów po żywności. Shutzer przehandlował kiedyś niemiecki bagnet za plik kart trzy na pięć od jakiegoś pisarza sztabowego, ale karty te zużyliśmy jeszcze przed utratą regularnych talii z Morrie'em.

Na tej samej transakcji Shutzer zarobił paczkę gumek aptekarskich. Dzięki nim trzymam każde rozdanie oddzielnie, a poza tym przydają mi się do przechowywania rysunków w rulonach. Shutzer jest drużynowym handlowcem i specem od targowania się, jak również naszym koronnym propagandzistą od tematu „Po co walczymy”. Może go namówię, żeby zhandlował mi pistolet P38, ściągnięty z oficera SS w Metz - najlepiej za paczkę papieru

maszynowego. Łzy mi się kręcą w oczach na myśl o sztywnym, białym, gładkim papierze.

Przy kombinacjach karcianych z Matki wyłazi istny szatan. Matka mówi, że to jest jak pisanie kryminału: wychodzisz od jedyne go prawidłowego rozwiązania, wiedząc, kto zabił i kogo, po czym rozwijasz akcję wstecz, ładując jak najwięcej fałszywych tropów i mylnych wskazówek. Ideałem rozdania jest dla Matki taki układ, w którym obu stronom wydaje się, że mają niewyjętego szlema, ale dzięki wmontowanym w tok gry pułapkom obie mają pewną gwarancję przegranej.

Matka obmyśla skomplikowane manewry, a ja rozglądam się dookoła. Moja rola polega teraz właściwie na spisywaniu tego, co dyktuje Wilkins. Mógłbym dać Melowi święte słowo honoru, że proces myślenia jest mi obcy: mam absolutną pustkę w głowie. Nawet nie będąc wybitnym brydżystą, widzę, że rozdania Matki mogą każdego karciarza z prawdziwego zdarzenia wpędzić w paranoję. Kto by uwierzył, że mając w garści czterdzieści punktów, w układzie cztery - cztery, można stracić tysiąc czterysta? Chwilami nabierałem pewności, że któryś z nich ukatrupi Wilkinsa - albo Miller, albo Shutzer, albo Gordon. Ojciec niczym się nigdy aż tak nie emocjonuje. Mam wrażenie, że marzy tylko o dograniu robra do końca bez popełnienia większych błędów. Tylko raz słyszałem, jak Ojciec komentuje: powiedział, że gdyby diabeł miał szansę na chwilę wejść w rolę Pana Boga, działałby dokładnie tak, jak Wilkins opracowujący rozdanie brydżowe.

Shutzer marnotrawi długie godziny na próbach nauczania Mundy'ego subtelnej sztuki licytacji. Gordon i Miller podejrzewają, że Shutzer uczy Mundy'ego licytacji szyfrowanej, demoralizując naszego jedyne go kandydata na świętego przez szkolenie go na szulera, czy potępieńca skazanego na przebywanie w najniższym kręgu piekła.

Wilkins sam nie chce grać, twierdząc, że nigdy nie zapomina raz rozegranego rozdania, żeby minęło od niego nie wiem ile czasu i gier. Z początku śmialiśmy się z tego, ale teraz już wiemy, że Wilkins nie buja. Brydżyści lubią, jak Wilkins z nimi gra, bo jest taki świetny, ale wiadomo, że on i jego partner - nawet jeżeli tym partnerem jest Mundy albo ja - zawsze wygrają za drugim razem. Matka mówi, że nic nie może na to poradzić: stara się zapomnieć, ale nie potrafi. Dla niego układ kart w ręku jest jak twarz człowieka: coś, co się pamięta jako całość, bez specjalnego wysiłku dla zapamiętania poszczególnych kart czy wistów. Bud twierdzi, że Matka musi być prymitywnym geniuszem. Prymitywny to on na pewno nie jest; geniusz - owszem.

Przez dwie pierwsze godziny dzwonię regularnie do pałacu. Wilkins ukartował cztery rozdania, które wpędzą chłopaków w depresję. Całkiem możliwe, że opuścimy ten pałac jako drużyna autentycznych idiotów, skończonych idiotów, z pianą na ustach, mamroczących

„finezja - Indonezja” i „zbite szklanki”. To naprawdę całkiem możliwe: umysł ludzki daje się pompować tylko do pewnych granic.

Pod koniec warty Matka przemarzył do szpiku kości. Jest taki chudy, a przy tym wysoki jak tyka, że nie ratują go nawet liczne skrawki koca, którymi okręcił sobie klatkę piersiową, powpinał je w spodnie od środka i uszczelnił nimi hełm w okolicach ciemienia i karku. Boję się myśleć, co będzie, jak nadejdzie prawdziwa zima: przecież to jeszcze nawet nie Boże Narodzenie.

Nadal nie wspominamy o tym, co miało miejsce w lesie dwa dni temu. Nie zamierzam do tego wracać, chyba że on by chciał.

Na kwadrans przed końcem warty Wilkinsa kuśtyka do nas z góry Ojciec Mundy. Idzie, jakby śledził piłkę po torze golfowym: głowa wciągnięta w ramiona, wzrok wbity w ziemię, zapomina nawet przystanąć i podać hasło. Ale jest na miejscu, i to przed czasem; złego słowa nie można na niego powiedzieć. Matka patrzy na zegarek Mundy'ego.

- No coś ty, Paul, mam jeszcze prawie piętnaście minut.

- Znudziło mi się słuchać, jak Gordon chrapie. Robi więcej hałasu niż raketnica. Może wycelujemy go w stronę Niemców - załatwiłby ich siłą fal dźwiękowych. Mielibyśmy własną tajną broń. Idź tam, to sam się przekonasz, co mam na myśli, Vance. Tylko wchodząc zatkać uszy palcami, bo ci bębunki popękają.

Wilkins przytupuje w miejscu i otrząsa się ze śniegu. Chowam karty - plon naszej pracy.

- Jesteś pewien, że to w porządku? Obejmujesz wartę?

- Oczywiście. Ty tylko pamiętaj, żeby zatkać uszy. Mnie tu będzie dobrze.

- Dzięki. Już prawie zamarzę na śmierć.

Rusza pod górę wychylony do przodu, powłócząc nogami. Ojciec spuszcza karabin z ramienia i wtyka go kolbą w śnieg. Wszystko dookoła pokryła już półtoracalowa warstewka śniegu. Oczy mi się kleją, równomiernie sypiący śnieg tylko temu sprzyja. Czuję też wiadomą reakcję na strach.

Śnieg pada tak, jakby ktoś machał mi różdżką tuż przed nosem. Kiedy koncentruję wzrok na najbliższych płatkach, oczy uciekają mi w tył głowy. Kiedy patrzę dalej, biel kipi, a ja zaczynam fiksować.

- Można zapalić, sierzaniec?

- To już jest, Ojciec, sprawa między tobą, Panem Bogiem a Gordonem. Tylko schyl głowę, jak będziesz podpalał, i osłaniaj fajkę ręką. Nie wydaje mi się, żeby ktokolwiek dużo zobaczył przez to białe świństwo, ale wszystko jedno - uważaj.

Mundy garbi się w sobie jak niedźwiedź i dusi papierosem płomień zapalki. Podnosi

głową, puszczając wielkie kłęby dymu; papieros trzyma przez rękawicę. Wygrzebuję jeszcze jednego z poczwórnej paczki i odpalam od Ojca. To mi pomoże nie zasnąć.

Pałatkę zostawiłem na drugim posterunku, a Ojciec swojej też nie przyniósł. Znosi się na zimne dwie godziny, a to przecież dopiero początek. Próbuję swojej prywatnej sztuczki perswazji, która polega na przekonywaniu samego siebie, że czas upływa, a im więcej go upływa, tym bliżej jesteśmy końca wojny i powrotu do domu, więc trzeba się cieszyć i przestać czekać. Ale nie działa: za bardzo jestem zmęczony.

Stoimy z Ojcem, paląc i gapiąc się w śnieg, w nadziei, że nic nie zobaczymy. Właściwie rzecz jest bardziej skomplikowana: chcemy za wszelką cenę zobaczyć wszystko, co jest do zobaczenia, a jednocześnie modlimy się, żeby nie było nic. Istna łamigłówka. Mundy, wsparty łokciami o ścianę zbiornika, patrzy w jedną stronę, a ja stoję plecami do niego i gapię się w kierunku pałacu. Czuję, że zaraz się zacznie. Ojciec Mundy, zawodowy katolik, został sam na sam ze zbłąkaną duszyczką i będzie mnie znowu próbował nawracać.

- Wont, czy mógłbyś mi jeszcze raz spróbować wytłumaczyć, dlaczego zerwałeś z kościołem?

- Daj spokój, Mundy, nie zrywałem z żadnym kościołem. Nie pisałem do papieża o ekskomunikę. To wszystko twoja fantazja.

- Ale na mszę nie chodzisz.

Ojciec pochodzi z Bostonu i ma tamtejszą powolną wymowę, jakby mu język stawał kołkiem. Zabawnie się z nim rozmawia: to coś jak gra w tenisa o ścianę - człowiek za każdym razem z góry wie, kiedy piłka się odbije. Nie ma to nic wspólnego z brakiem inteligencji: po Wilkinsie, Ojciec jest chyba największym bystrzakiem w naszej drużynie. Tyle że jest prostolinijny. Morrie mawiał, że Mundy jest największym wolno - myślicielem na świecie.

- Dla mnie, Mundy, chodzenie na mszę to hipokryzja. Kiedy patrzę na ten cały cyrk, automatycznie staję się w środku bluźniercą, jak śmietana, co kwaśnieje, albo ścinająca się galareta. Każdy średnio wrażliwy ksiądz wyegzorcyzmowałby mnie z kościoła na zbity pysk, zanimby skończył wygłaszać liturgię.

- Eetam, nie jesteś taki zły. Módl się o wiarę, a ona przyjdzie, sam to wiesz.

Patrzy mi prosto w oczy, jest tak przeraźliwie szczery. Powinienem się w tej chwili zamknąć.

- Sama modlitwa, Ojcze, wymaga wiary, a ja nie jestem już pewien, czy kiedykolwiek ją miałem. I chyba jej nawet nie pragnę. To jest tak jak ze śpiewaniem, fruwaniem, tańcem albo pisaniem wierszy: jedni to mają, drudzy nie; jedni potrafią, drudzy nie potrafią.

Rozglądam się pospiesznie. Właściwie nie widzimy nic dalej niż na odległość dziesięciu

stóp. W tych ciemnościach, w śniegu, który pada równo i tłumi każdy dźwięk, każdy głupi mógłby nas tu zaskoczyć, a my nie mielibyśmy o tym pojęcia. Kiedy się zacznie myśleć o wszystkim, co mogłoby się zdarzyć; można ześwirować w trymiga.

- Kiedy miałem dwanaście lat, jezuita oferował mi pełny zestaw: szkoła za darmo, uniwersytet, studia w Rzymie. Nie wziąłem.

- Tego mi nigdy nie mówiłeś. Jezuita - chłopie! Oni są najlepsi! Dlaczego to zrobiłeś?

- Odmówiłem i już. Widzisz, Mundy, jeżeli się naprawdę wierzy, jeżeli ma się głęboką wiarę, to głupotą jest nie zostać księdzem. Co znaczy głupie pięćdziesiąt czy tam sześćdziesiąt lat wobec wieczności? A ja się jednak nie zdecydowałem, chociaż głupi nie jestem. Ipso facto: nie miałem prawdziwej wiary. Myślałem, że rodzice więcej się do mnie nie odezwą.

Śnieg pada chyba coraz bardziej. Obiecywałem sobie, że już nigdy nie dam się wciągnąć w rozmowę na ten temat. Mundy i tak mnie nigdy nie przekona swoimi wyświechtanymi argumentami, a ja przecież wcale nie chcę mu robić przykrości. Może nawet w głębi duszy chciałbym zostać przekonany. Coś takiego na pewno by mi się przydało. Ojciec milczy. Zamieniamy się miejscami w okopie. Teraz on filuje na pałac, a ja odwracam się i usiłuję zobaczyć coś przez parawan drzew w lesie. Nogi mi ścierpły. Strząsam śnieg z ramion. Nie czuję zimna w piersiach ani w żołądku i nawet specjalnie się nie boję. W brzuchu mi nie burczy, nie padam ze zmęczenia. Tylko te oczy głupie tak mi się kleją.

- Czy chcesz mi powiedzieć, że straciłeś wiarę dlatego, że próbowali zrobić z ciebie księdza?

- Co dwunastoletni pętaś może wiedzieć na temat wiary? Ja dopiero co skończyłem wierzyć w Świętego Mikołaja i zajęczka wielkanocnego. Myślałem, że Jack Armstrong i Daddy Warbucks istnieli naprawdę. Byłem na tym etapie życia, kiedy wierzy się albo we wszystko, albo w nic.

- No to skąd człowiek wie, czy ma wiarę? Na czym to polega?

- To już twoja broszka, Ojciec. Ty tu jesteś fachowcem, ty mi powiedz.

Ojciec milknie na dobre trzy minuty. Jakbym przyłożył łobem w ścianę.

- W takim razie, jak to się stało, że walczysz w tej wojnie? Hitlerowcy głoszą dokładnie te same ateistyczne hasła, co ty. Może trafiłeś na złą stronę?

- Nie gładź, Mundy. Widziałeś niemieckich zupaków z różańcami, mszałami, świętymi obrazkami? To oni paradują z „Gott mit uns” na pasach. To im niemieccy księża wmawiają, że walczą w świętej wojnie przeciwko nam. Robimy z siebie nawzajem męczenników w imię bezbożności. Ta sama religia wysyła nas do tego samego nieba. Niedługo zrobi się tam tak ciasno, że nie będzie się jak obrócić. I same chłopcy, ani jednej baby, ani jednego starca, ani

jednego księdza.

Całkiem odechciało mi się spać. Nie do wiary, jak kłótnia rozgrzewa, nawet nogi. Został mi na ten dzień już tylko jeden papieros. Zapalę go, jak znowu będzie mi zimno. Śnieg sprawił, że wszystko jest miętko - ciche, chwilowo nie ma wiatru. Zerkam na zegarek Mundy'ego: prawie pierwsza. Jakoś wytrzymam.

- A poza tym, Ojciec, ja się nie muszę martwić. Trzy razy odwalilem dziewięć Pierwszych Piątków. Łaskę Pogodnej Śmierci mam jak w banku. W ostatniej chwili spuszczę parę i prześlizgnę się przez perłowe wrota jak po maśle.

- Musisz je czynić w dobrej wierze, inaczej się nie liczą.

- Jezus Maria, Józefie Święty, a w jakiej wierze ja je czyniłem? Leciłem do kościoła na szóstą, ze zziębniętym tyłkiem, modląc się, aż mi uszami wychodziło. Czasami w kościele były tylko zakonnice i ja. Pucowaliśmy swoje aureole, glansowaliśmy złote gwiazdy w koronach. Człowieku, masz przed sobą świętoszka, któremu wypaliła się wiara, tyle ci powiem.

Podciągam mankiet bluzy Ojca i patrzę na jego zegarek. Czas wlecze się niemiłosiernie. Gdyby człowiek miał przez całe życie trzymać wartość na śniegu, zdawałoby mu się, że żyje z pięćset lat. Mundy nosi zegarek marki Benrus, dostał go od rodziny, kiedy wstępował do seminarium. Ojciec Mundy'ego jest kierowcą, są nawet biedniejsi od moich rodziców, naprawdę szarpnęli się na ten zegarek. Mundy przynajmniej raz dziennie wspomina o swoim zegarku marki Benrus, autentyk. Chodząca reklama.

- A wiesz, Wont, że mnie się nigdy nie udało. Dwa razy doszedłem do siedmiu. Raz zламаłem post, pijąc z fontanny przed kościołem. Jak Boga Kocham, diabeł chyba depta mi po piętach.

- To możliwe.

- Nie mów takich rzeczy.

- Gdybym ja był diabłem, na pewno polowałbym na taką grubą zdobycz jak ty. Na ten nędzny ochłap, którym sam jestem, szkoda by mi było czasu. Zresztą, ja już i tak siedzę w saku.

Zapomniałem zadzwonić o pierwszej. Jest prawie dziesięć po. Kręcę. Dopiero po drugim dzwonku zgłasza się Shutzer.

- Tu na dole OK, Stan. Jak u was?

- W porządku, chłopcy już dzwonili. Zaczynaliśmy się o was martwić, myśleliśmy, że może skorzystaliście z okazji, żeby się przelecieć do lasu i poszwargotać z czcigodnym wrogiem - powiedziec mu, na przykład: PODDAJEMY SIĘ.

- Niestety, odwagi nie starczyło. Ojciec mnie znowu nawraca. Jak coś z tego wyjdzie, wzlecimy obaj w górę na anielskich skrzydłach. Nie straciecie tylko głowy i nie zastrzelcie nas.

Mundy nachyla się do mnie, żeby też słyszeć. Shutzer szepcze do telefonu:

- A nie wzięlibyście ze sobą jednego obrzezanego aniołka? Nikt nie zauważy, przypnę listek figowy.

- Rozważmy twoją propozycję. Zaczekaj, mamy tu oświadczenie ex cathedra, z ust samego Ojca Mundy. Słuchaj, Ojciec Mundy mówi, cytuję, że jeżeli tacy kanciarze jak my mają iść do nieba, to on spróbuje z diabłem. Koniec cytatu. Wiesz, Stan, wydaje mi się, że diabeł zagiął parol na Mundy'ego.

- Jakbyś zgadł, Wont. Taka duża, miękka, biała irlandzka dupa to coś w sam raz dla kusego.

- Mówisz, jakbyś się sam palił do Ojca, Shutzer. Może zostaniesz drużynową królową?

- Jeżeli się rusza i piszczy - biorę w ciemno. A propos, drewno znów nam się kończy.

- Ściągnę jeszcze parę belek ze stajni, jak będę wracał. - Chciałem zerwać trochę ze ścian, ale Matka wpadł w szał, wrzeszczy, że to jest autentyczna siedemnastowieczna „błazeria”, element naszego dziedzictwa kulturowego.

- OK, Stan, nie demoluj chałupy. I - Schlafgut. Rozłączam się. Śnieg wali jak wściekły; kiedy uniesie się twarz, ledwo można oddychać. Zostaję przy telefonie, siadam pod ścianą. Mundy zjeżdża do mnie na dół. To po prostu niemożliwe, żeby ktoś się tu kręcił o tej porze, w taką śnieżycę, a w ogóle to jest mi wszystko jedno.

- Wiesz co, Ojciec, zawrę z tobą układ.

- Co za układ? Może chcesz mi pokazać rozdanie, żebym mógł chociaż raz dać w tyłek Shutzerowi?

- Nie, uważaj. Stawką jest przyszłość, wieczność. Ja, widzisz, mam więcej Pierwszych Piątków, niż mi potrzeba. Dwie serie powinny wystarczyć nawet takiemu grzesznikowi jak ja. Jedną ci odstąpię.

- Ty i twoje układy!

- Nie zgrywam się, Ojciec, poważnie, przecież nigdy nic nie wiadomo. Czy masz absolutną pewność, że jesteś w stanie łaski?

Mundy odwraca głowę w moją stronę i gapi się na mnie; powoli, z obrzydzeniem kręci głową. Nie mogę się powstrzymać.

- Spójrz na to od innej strony: dlaczego mogę się modlić za twoją duszę, zamawiać nowenny i msze, gdybyś umarł, a nie mogę ci wyświadczyć drobnej przysługi za życia?

- To bluźnierstwo, przestań.

Nadal nie ma wiatru, ale temperatura szybko spada. Nie jest to mróz trzaskający, raczej gęsty, ciężki, wszechogarniający.

- Widzisz, Wont, kiedy odmawiasz za kogoś nowennę, to to nie jest handel, tylko dobrowolna ofiara. To nie to samo. Nie da się handlować czymś takim jak Pierwsze Piątki.

- Daj spokój, Mundy. Przecież właśnie o to toczono wojny, miliony ludzi ginęły, były torturowane, rozrywane na pół, smażone w oleju, za to koronowano i obalano królów. Myślisz, że w jakiej sprawie stary Luter wbijał ćwieki w drzwi swojego kościoła?

- A, to były dawne czasy. Kościół popełnił parę błędów, no i co z tego? To nie znaczy, że kościół - błędzi: po prostu, popełnił parę błędów.

- Dobra, nie spieram się z tobą. Proponuję tylko, żebyś, jak ci matka znowu przyśle ciastka, dał mi dziewięć, a ja ci za to odstąpię pełną serię Pierwszych Piątków.

- A ja sobie kupię pałac z wodotryskiem.

Rozglądam się. Nic nie ma. Chwilę, siedzimy bez słowa. Postanawiam nie zapalać ostatniego papierosa. Czas leci, niedługo wrócę pod dach na dwie godziny. Przeraza mnie perspektywa wejścia do ciemnej stajni po drewno. Zerkam na Mundy'ego.

Hełm, który trzyma na kolanach, z wolna napęnia się śniegiem; wełnianą czapkę naciągnął na uszy. Śnieg oblepia czapkę, a Mundy siedzi, z łokciami wspartymi na kolanach, z kciukami wetkniętymi w łożę karabinu. Jego uda obrastają kożuchami śniegu. Jedna nogawka wylazła mu z buta. Na ramionach też ma śnieżny kożuch, nawet na przyczepionych do kieszeni granatach. Siedzi jak posąg, ale nie śpi. Bezwiednie rejestruję obraz Mundy'ego, który zostanie mi w pamięci na całe życie. Jako artysta, próbuję czasem zarejestrować jakiś obraz w banku pamięci - i nie mogę, a innym razem zdarza się, że bez mojego udziału, bez wysiłku, obraz wślizguje się w pamięć trwały i nietknięty. Mam zbyt małą kontrolę nad własnym umysłem.

- Wiesz co, Wont, może to nawet byłoby w porządku, gdybyśmy nie handlowali. Gdybyś mi podarował te Pierwsze Piątki jako dobrowolną ofiarę, jako chrześcijański dar dla mojej duszy - wtedy chyba byłoby w porządku.

- Zgoda, Ojciec, zapisz je sobie, gdzie chcesz, złotymi literami, są twoje. Et cum spiritu tuo.

Mundy grzebie w kieszeniach i zapala kolejnego papierosa, a potem przypala jeszcze jednego. Daje go mnie.

- Nie mów Gordonowi.

Znowu milknie. W pierwszej chwili myślę, że mam nie mówić Gordonowi o Pierwszych Piątkach, ale jemu chodzi o papierosa. Zaciąga się głęboko i powoli wypuszcza dym.

- Masz, dam ci całą paczkę. Ale to nie handel.

Zaciągam się; czuję, jak dym wchodzi mi do płuc, zatrzymuję go tam - zawsze to jakiś sposób na zimno. Dochodzi wpół do drugiej, kręcę telefon. Zajęte. Odkładam słuchawkę. Czuję

się nieźle, od ostatniego posiedzenia na klozecie nie miałem skrętu kiszki. Dzwonię drugi raz, trafiam na Wilkinsa.

- Matka? U nas wszystko OK. Jak tam na górze?

- Byczo. Gordon melduje, że grają z Millerem w „papier, nożyce, kamień”. Łapa go już tak boli, że nie może utrzymać karabinu. Mówi, że po wojnie weźmie Millera do Las Vegas i zrobią we dwóch straszne pieniądze.

- Zgadza się: Miller czyta w myślach. Może to cecha poetów, że widzą rzeczy, których teoretycznie nie mają prawa zobaczyć.

- Może. Zmarzliście tam na dole? Jak chcecie, przyniosę wam pałatki. Chłopaki na górze mają po dwie na ryło - luksus.

- Nie trzeba, jakoś wytrzymujemy. Mógłbyś nastawić kawę przed naszym powrotem? Jak tam z opalem?

- Prawie koniec. Shutzer, wyobraź sobie, chciał zacząć palić wnętrza. To jakiś filistyno - neandertalczyk. Musiałem go postraszyć granatem, żeby bestia przestał zrywać ręcznie robioną, dębową, dwustuletnią boazerię.

- Nic się nie martw. Przyniosę trochę drewna.

- Wont, tylko uważaj, żeby nie zniszczyć niczego, co sprawia wrażenie rzeczy wartościowej, dobra? Pamiętaj, kto naprawdę jest wrogiem w tej wojnie.

- OK, Matka, zrozumiałem.

Wyłączam się. Cisza. Podniósł się wiatr i zamiata śniegiem. Jeszcze tylko dwadzieścia pięć minut. Już prawie czuję zapach i smak kawy, a mój żołądek wcale się przeciwko temu nie buntuje. Może mi przechodzi?

- Mundy, jeszcze jedno pytanie. Dlaczego taki pierwszoliniowy chrześcijanin jak ty, który praktycznie już siedzi po Prawicy, miałby sobie zawracać głowę głupią serią Pierwszych Piątków? Może masz jakiś ciężki grzech na duszy?

Jeszcze nie skończyłem zdania, a już czuję kluskę w gardle. Znowu to robię: grzebię w cudzym prywatnym świecie. Długo panuje cisza, tak długo, że już mam nadzieję, że Ojciec drzemie i nie usłyszał mojego pytania.

- A jak ty myślisz, dlaczego odszedłem z seminarium? Nie odpowiadam. Nawet ja potrafię wyczuć, że są pytania, na które nie należy odpowiadać.

- Na dwa lata przed święceniami składaliśmy pierwsze śluby. Był to ślub czystości. Śluby posłuszeństwa i ubóstwa składa się po wyświęceniu. Złożyłem ślub czystości, ale go nie dotrzymałem.

- Jak to, Mundy, chcesz mi powiedzieć, że w naszej drużynie w Shelby było aż dwóch nie

- prawiczków? Nie wierzę.

- Nie to, Wont. To było... no, wiesz, samogwałt. Złożyłem ślub, a potem zrobiłem coś takiego. I nie zdobyłem się na wyznanie tego przed spowiednikiem. Słowo honoru, ja chyba jestem maniakiem seksualnym.

- I tylko tyle - spuściłeś się? Przecież to jest właśnie czystość, Mundy. A jak inaczej, myślisz, księża sobie radzą?

- Nie masz racji, Wont. Samogwałt jest grzechem przeciwko czystości. Nie mógłbym odprawiać mszy, dotykać hostii świętej, tym samymi rękami, które robiły coś takiego.

Mundy wyciąga ręce przed siebie i patrzy na nie. Na wierzchach rękawic z brązowej skóry osiadają płatki śniegu. Mundy ma łapy jak bochny, rozsadza rękawiczki w szwach.

- A jak się podcierasz - to nie to samo?

- Dobra, dobra, Wont. Ty tego i tak nie zrozumiesz. Najgorsze ze wszystkiego było to, że nie mogłem wyznać grzechu na spowiedzi. Nie mógłbym służyć do mszy jako subdiakon, mając na duszy taki grzech. I nie próbuj mi wmawiać, że to nie jest grzech. Siedem lat poświęciłem na naukę o grzechu; to moja specjalność.

- Dobra, Ojciec, niech ci będzie, jesteś wielkim grzesznikiem. Nie będę się z tobą spierał. Szczerze mówiąc, sam nigdy nie wiedziałem, czy jestem największym grzesznikiem od czasów Kleopatry, czy może w ogóle nigdy nie zgrzeszyłem. Zależy, z której strony na to spojrzeć. Jedno ci powiem, Mundy: jeżeli tylko za to odpadłeś z seminarium i trafiłeś do woja, to saga ASTPR rozwija się według najlepszych zasad poetyckiej sprawiedliwości.

Wygląda na to, że śnieg będzie padał całą noc. Znów myślę o naszych nieproszonych gościach. Po co się tutaj skradali, po co tak ryzykowali? Muszą wariować z nudów: to najgorsza rzecz na wojnie - albo człowiek robi w gacie ze strachu, albo zdycha z nudów, albo jest ranny, albo trup nieboszczyk.

O drugiej schodzi Shutzer. Obraziłem się, więc od razu ruszam na górę. Ciekawe, o czym Mundy i Shutzer będą rozmawiali - może przeprowadzą seminarium religii porównawczej? Nie, Shutzer na pewno będzie próbował podszkolić Mundy'ego w brydżu. Może przynajmniej to pozwoli Ojcu na chwilę zapomnieć, jakim jest rozpustnikiem?

Idę do stajni i kopniakami zrywam parę desek. Wchodzi Miller; tak mnie po ciemku przestraszył, że mimowolnie padam plackiem na ziemię. Potem Miller pomaga mi skopywać drewno, aż obaj zbieramy pełne naręcza. Będzie nam chociaż ciepło. W stajni zostało już niewiele desek, nie do wiary, jaki ten ogień jest łakomy.

W pałacu czeka na nas gorąca woda na kawę. Otwieram puszkę sardynek. Umawiamy się, że każdy popilnuje telefonu przez godzinę. Mnie przypada druga godzina z kolei, więc

wczołguję się do śpiwora i natychmiast gasnę jak światło, chociaż w ogóle nie czułem się senny. Jak wstanę do dyżuru przy telefonie, zadzwonię do pułku. To moja ostatnia myśl przed zaśnięciem.

Budzi mnie dzwonek telefonu. Miller pakuje się właśnie do śpiwora; wskazuje palcem na zegarek i odwraca się plecami do mnie. Wiersz leży na podłodze koło jego materaca. Pełno skreśleń i poprawek. Miller wyraźnie nie miałby nic przeciwko temu, żebym przeczytał jego wiersz, ale jestem za bardzo zmęczony. Mundy melduje przez telefon, że na dole wszystko w porządku. Potem dzwoni Gordon - to samo. Spokój, cisza.

Rozgrzewam radiostację. Nastawiam na częstotliwość pułku. Odbiera Leary. Jest na wpół obudzony, nie ma dla nas żadnych instrukcji. Mówię, żeby przekazał Ware'owi, że nawiązaliśmy kontakt z patrolem niemieckim, ale bez wymiany ognia. Odbywamy całą cyrkową procedurę Jak - Mnie - Zrozumiałeś - Odbiór - Koniec, po czym zamykam telefon. Leary jest porządny, ale ten jego zmiennik, Flynn, to drań jakich mało. Któregoś razu podał mnie Ware'owi do raportu za nieregularne zachowanie w trakcie pełnienia obowiązków wartownika. Ja tu siedzę w mokrej dziurze na skraju spalonego pola, starając się cokolwiek zobaczyć przez zapoconą lornetę, a ten popija sobie gorącą kawę w ciepłym namiocie i martwi się moim zachowaniem.

Znowu zasypiam, ale odbieram telefon po pierwszym dzwonku. Wszyscy jesteśmy na wpół pijani z niedospania. Drzę na samą myśl o wyjściu na mróz; ciekawe, czy śnieg jeszcze pada.

Tym razem siedzę na górze z Wilkinsem. Czarno jak u Murzyna w brzuchu, chociaż śnieg pada przecież na białe. Przypomina mi się, że nie nastawiłem wody na kawę dla chłopaków, którzy przyjdą z warty. Miller też zapomniał. Nie cierpię okazywać się takim gamoniem.

Ślisko. Twarda ziemia pokryta jest zmarzniętymi liśćmi i na dwa, trzy cale przysypana śniegiem. W drodze pod górę wywalam się dwa razy. Wilkins nie pyta o hasło, tylko macha do mnie, a Gordon ciska we mnie pigułą śniegu.

- Dobry śnieg na kule, Wont.

Mela nic nie bierze. Niektórzy ludzie mają w sobie coś takiego - jakby sprężystość kauczuku, która pozwala im stale podskakiwać. Gordon lepi następną kulę, chowam głowę w ramiona, przyciskam karabin do boku, odwracam się tyłem. Pacyna lekko uderza w kolbę karabinu i rozpada się w okruchy. Gordon parodiuje Hunta; robi to idealnie:

- Co wyście za żołnierze jesteście, Knott. Toż to granat nieprzyjacielski mógł być! Dam ja wam wycisk, do ostatniej szczyzny, intyligencja zafajdana!

- Daj już spokój, Mel, i bez tego mi zimno. Mel składa swoją pałatkę, moją zostawia.

- Z drogi więc, skoro nie chcesz się bawić; skaczę w ogień.

Zjeżdża po zboczu, czepiając się drzew po drodze, z karabinem dyndającym na ramieniu. Umawiamy się z Wilkinsem, że będziemy co dziesięć minut zmieniać się w okopie. Tak robili z Gordonem, żeby za bardzo nie zmarznąć. Nie damy rady obsługiwać nocą dwóch posterunków. Muszę wykombinować inny system wart.

Pytam Wilkinsa o szachy. Trochę nas to rozrusza, a poza tym pytanie to dręczy mnie od dłuższego czasu:

- Vance, dlaczego nie chcesz grać w szachy z chłopakami? Za słabo grają dla ciebie?

Długa cisza. Czyżbym znów robił to samo? To przecież nie mój zakichany interes. Vance stoi, ja kucam na dole w okopie; patrzy na mnie z góry.

- Przysięgnij, że nie wygadasz.

- Przysięgam, na honor Ojca Mundy'ego. Vance patrzy gdzieś w ciemność.

- Bo to żadna frajda. Nie dlatego, że zawsze wygrywam, tylko dlatego, że oni nie grają w szachy: oni nad nimi pracują w pocie czoła.

Robi pauzę, ja czekam.

- Wiesz, że po niemiecku szachy - Schach - to prawie to samo co walka? Miller i reszta właśnie tak myślą o szachach: jak o walce. A to nie jest żadna walka, tylko uwodzenie. Królowa stara się uwieść króla, wywabić go z jego miejsca, osłabić. To jest cudowna gra, kiedy gra się w ten sposób i nikt w niej tak naprawdę nie wygrywa ani nie przegrywa. Cały sekret zawiera się w słowach „szach - mat”. To matnia, sieć, intryga - a nie śmierć czy niewola. Kiedy tak patrzeć na szachy - są zabawne i łatwe.

Kulę się w okopie. To niewiarygodne, ten Matka jest chyba po prostu geniuszem szachowym: niezależnie od tego, co uważa, że robi, i dlaczego, gra w szachy jest dla niego czymś naturalnym. To tak jak ze mną i z rysowaniem. Zawsze mnie zdumiewa, kiedy bystry facet, taki Shutzer, czy nawet Wilkins, rysuje jak czterolatek. Czy oni tak widzą świat? Nie wierzę.

Wilkins i ja już za mało się boimy. Opadło nas zmęczenie i depresja. Telefon staje się nagle bardzo ważny - jest przynajmniej coś do roboty. Wiem, że mam siedzieć do szóstej i wydaje mi się to niemożliwe. Potem pierwsza warta dzienna: sam na dole przy moście. Ładna mi dzienna warta! O ósmej jest jeszcze ciemno. Ciekawe, jak ci Niemcy to załatwiają. Jeżeli jeszcze w dodatku patrolują okolicę, nie można powiedzieć, żeby się zanadto wysypiali.

Od szóstej do ósmej śpię jak kamień, budzą mnie tylko telefony. Podtrzymujemy mały ogień, dla oszczędności drewna.

O ósmej stawiam się na dole przy moście. Patrząc, jak słońce próbuje się przedrzeć przez śnieżną zasłonę. Z początku wydaje się, że to tylko płatki śniegu jaśnieją, a poza tym jest nadal ciemno; potem miejsca między płatkami stają się cieplejsze, różowieją - chociaż dalej jest zimno, może nawet zimniej niż w nocy.

Kiedy Gordon przychodzi mnie zluźnić, jest już całkiem jasno, tyle że znów pochmurno. Wiatr zamarł, śnieg pada pionowo, cicho, powoli, płatkami wielkości ćwierćdolarówek albo hostii komunijnej - duchy hostii - manna ardeńska. Idąc na górę do pałacu, wzbijam kopniakami gejzery śniegu.

3. KIT LE FUJ

Gordon wyszarpuje mnie za ramię z głębokiego snu.

- Wont, radio, Ware nadaje.

Przerzucam nogi na brzeg materaca, cały czas w śpiworze.

- Która to godzina?

- Jedenasta trzydzieści. Ware chciał koniecznie z tobą rozmawiać, droga służbowa, itepe.

Wyciągam nogi ze śpiwora; nawet buty zdjąłem. Myślałem, że czekają mnie bite trzy godziny snu - naprawdę były mi potrzebne. Dalej nie mogę sobie przypomnieć, kto w tej chwili stoi na warcie, a kto nie. Rozglądam się: Miller, Shutzer i Mundy siedzą kołem na materacu i grają w brydża.

- Jak to? Wilkins sam na dworze?

- No wiesz, doszliśmy do wniosku, że ześwirujemy obsługując dwa okopy, i odpuściliśmy sobie, jak spałeś. Zgadzasz się?

- Jasne, w porządku.

A co miałbym im zrobić? Przecież nie będę latał jak opętany i wrzeszczał, że „dam im wycisk do ostatniej szczyzny”. Poza tym on ma rację: nie możemy tak ciągnąć. Z początku za bardzo się przejmowałem, za bardzo się bałem.

Kucam koło radiostacji. Gordon jej nie wyłączył: szumi i miga czerwonym światelkiem. Przełączam na transmisję i rozglądam się po pokoju: przy kominku leży kolejna sterta połamanych krzesel. Mam nadzieję, że zdołamy wrzucić je do ognia, zanim Matka Wilkins wróci z warty.

- Abel jeden do Abel cztery, odbiór.

Zgłasza się Ware. Musiał siedzieć w namiocie radiowym i czekać.

- Co to jest z tym waszym kontaktem? Odbiór. Sądząc po głosie, jest podminowany, przejęty jak nie wiem co.

- W nocy podeszli pod posterunki i narobili trochę hałasu. Wołali do nas, sir. Odbiór.

- Jezu Chryste, Knott! Co wołali, do cholery! Odbiór.

- Coś po niemiecku, sir. Shutzer twierdzi, że życzyli nam dobrej nocy. Odbiór.

- Shutzer zna niemiecki? Odbiór.

- Jidysz, sir. On mówi, że to właściwie to samo. Odbiór.

- Co wy mi tu pieprzycie! Love chce, żebyście zlokalizowali ich stanowisko, żeby mógł je nanieść na mapy operacyjne. U nas pieprznik totalny: mówi się o atakach i o tym, że wszyscy

jesteśmy otoczeni.

Milknie. Nie powiedział „Odbiór”, więc czekam spokojnie. Jak procedura, to procedura - a co!

- Sierzancie Knott, polecam wam zorganizować mały patrol i podjąć próbę znalezienia ich kwatery. Odbiór.

- Tak jest, sir. Odbiór.

- Najpierw sprawdzicie domek myśliwski po tamtej stronie wzgórza. To najbardziej prawdopodobne miejsce. Odbiór.

- Tak jest. Odbiór.

- Jeżeli tam ich nie ma, sprawdzicie szopę nad rzeką, w dół nurtu od pałacu. Odbiór.

- Tak jest. Odbiór.

- To ma być tylko zwiad. Wystarczy patrol trzyosobowy. Nie podejmujcie zbędnego ryzyka. Resztę drużyny pozostawić w pałacu. Odbiór.

A on myślał, że gdzie ja ich zostawię?

- Tak jest, sir. Odbiór.

- Zróbcie to jak najszybciej, idźcie tam nawet za dnia. Odbiór.

- Tak jest. Przy tej śnieżycy różnica w widoczności i tak jest niewielka. Dzień czy noc - nie nie widać. Odbiór.

- OK, dzwońcie zaraz, jak wrócicie, albo najpóźniej dwudziesta zero zero. Odbiór.

- Tak jest, sir. Odbiór.

- To tyle, Knott, powodzenia. Odbiór. Koniec.

- Zrozumiałem. Koniec.

Wszyscy stłoczyli się wokół mnie; Niewiele jest rzeczy zdolnych oderwać ich od brydza: jedną z takich rzeczy jest wzmianka o patrolu. Miller wyłącza radio.

- Znaczy, że Ware każe nam leżeć w śnieg i grzebać tak długo, aż wygrzebiemy spod śniegu paru skłonnych do współpracy nieprzyjaciół? Nie wierzę.

Shutzer z wyższością oddala się od grupy i wraca do studiowania swoich kart. Miller i Mundy po chwili przyłączają się do niego. Gordon obłamuje nogi z krzesła i ciska je w ogień.

- Kto ma iść?

- Myślę, że ty, Stan i ja. Reszta zostanie tu pilnować sklepu. Bud, pozakładasz łańcuchy na jeepy: kto wie, czy nie będziemy musieli wiać stąd w pośpiechu.

Shutzer dalej studiuje swoją kartę. Mundy robi to samo, drapiąc się przy tym po głowie przez włóczkową czapkę. On nawet sypia w tej przeklętej mycce. Ilekroć ją zdejmuje, starannie wyskubuje wszystkie włosy, które się wczepiły do środka i chowa je sobie. Na dnie stelaża na

menażkę trzyma pakiecik z własnymi włosami: mówi, że przedstawi je po wojnie odpowiedniej komisji jako dowód uszczerbku na zdrowiu i wystąpi o rentę inwalidzką. Już łysieje na ciemieniu. Shutzer oczywiście twierdzi, że to naturalna tonsura albo cielistej barwy jarmułka. Może Mundy zostanie religijnym obojniakiem?

- Won't, nie dałbyś nam najpierw skończyć rozdania? Matka tym razem przeszedł sam siebie. Zgłaszam postulat wydalenia go z drużyny.

Gordon gapi się w swoją kartę.

- Może powinniśmy się obwołać plutonem egzekucyjnym i zacząć działalność od Matki? Mam silne podejrzenia, że Matka jest niemieckim agentem, zesłanym tu dla zniszczenia naszej inteligencji i osłabienia morale.

- Dobra, kończcie, ale zaraz potem wychodzimy, a Bud zakłada łańcuchy. Jak Matka zejdzie z warty, obejmiesz ty, Mundy, OK?

Chyba słyszał. Wrócili do rozgrywki, jak najdalej od patroli, łańcuchów i wart. Szlifują mózgi na blachę o diabelskie rozdanie Matki. Ciekawe, który to rober. Niezależnie od tego, jak się potoczy rozgrywka, jedynym zwycięzcą będzie tu Matka.

Już jestem podminowany. Wychodzę na górę do kibla: nie jest najgorzej. Schodzę, nabieram w manierkę wody z wiadra i stawiam na maszynie. Wyciągam mydło do golenia i tępa żyłkę - to ostatnia, po obu stronach zjechana na okrągło - bo jak mam zostać nieboszczykiem, to chociaż przystojnym. Mamusia to doceni.

Potem, przy akompaniamencie jęków i narzekań dobiegających od materaca brydżowego, gotuję sproszkowane jaja, smaruję suchara marmoladą pomarańczową i popijam to wszystko kawą. Kiedy kończę jedzenie, jest już po grze. Nawet nie pytam, kto wygrał. Gordon i Miller porozdziawiali gęby jak idioci. Shutzer nie odzywa się do Mundy'ego. Boję się pytać. Lepiej byłoby dla Matki, żeby jeszcze dwie godziny powstał na warcie. Miller bez słowa wychodzi zakładać łańcuchy na koła. Może się na nich powiesi.

Wyciągam z worka kombinezony maskujące. We trzech z Shutzerem i Gordonem zbieramy sprzęt i wciągamy kombinezony na zwykłe mundury. Na wierzch wkładamy pasy z amunicją, bagnety, manierki i apteczki. Wyglądamy jak ekipa chirurgiczna w Arktyce. Powinniśmy właściwie pobielić też karabiny i hełmy, ale nie ma głupich: to gówno potem straszliwie trudno usunąć. Masę rzeczy robi się na wyrost, niepotrzebnie; kurczowo trzymamy się regulaminów, rytuałów, a wszystko po to, żeby czuć się bezpieczniej, nie myśleć o tym, co robimy. Wyruszamy na ardeńskie safari, pod bronią, polować na ludzi, którzy polują na nas.

Wychodzimy ostatecznie po pierwszej. Mijamy most i automatycznie rozpraszamy się w odstępach dziesięciu jardów. Pierwszy idzie Shutzer, jako skaut, drugi Gordon, ja zamykam

tyły.

Wskakujemy w łożysko rzeki i posuwamy się wzdłuż prawego brzegu. Z góry ustaliliśmy, że najpierw sprawdzimy tę szopę, czy tam szalas - jest bliżej. Potem zrobimy w tył zwrot i znajdziemy domek myśliwski od południa. Na pewno będą w domku myśliwskim; wycieczkę do szopy traktujemy jako wstępną przebieżkę po mokrym śniegu.

Mapę konturową niosę w kieszeni połówki, pod kombinezonem maskującym. Przed wyjściem przyjrzeliliśmy się jej dokładnie wszyscy trzej. Jeżeli będziemy trzymać się rzeki, na pewno dojdziemy do szopy; to najwyżej czterysta, pięćset jardów. W najgorszym razie Niemcy mogą tam trzymać posterunek warty - starczy i to.

Wedle mapy powinno tu być siodło między dwoma wzgórzami wychodzącymi od szopy i od domku myśliwskiego. Nie boję się właściwie, nie trzęsie mną, ale mam sucho w ustach. Chwytam garść śniegu z obwisłej gałęzi drzewa i pakuję do ust. Gałąź odskakuje do góry, spada z niej prysznic drobnych, zlodowaciałych płatków śniegu.

Jednym okiem pilnuję pleców Gordona, drugim chłonę krajobraz. Jest naprawdę pięknie. Ciekawe, czy potrafiłbym narysować masy śniegu. Rzecz polegałaby głównie na pozostawieniu białych plam. Żebym tak mógł gdzieś skombinować papier maszynowy. Na kartonie po racjach żywnościowych nie sposób oddać iluzję śniegu. Chyba żebym najpierw rysował, a później podbielał farbą do maskowania broni. Muszę spróbować: byłoby to już właściwie malowanie. Pędzel zrobiłbym z amputowanych włosów Mundy'ego - po co mu tyle? Przyczepię je gumką do patyka, tak jak Benjamin West robił z kocią sierścią.

Śnieg nie pada już tak gęsto i widzialność bardzo się poprawiła. Czuję, że być może rzeczywiście gdzieś tam ponad chmurami świeci słońce. Rzeczka nie zamarzała, na tle śniegu ma kolor ciemnobrązowy, prawie czarny. Płyń w wartko, a jej szerokość miejscami nie przekracza dwóch stóp. Na sterzących z wody głazach leżą czapy śniegu, woda lśni kryształowo w górze nurtu. Jak zwykle, dostrzegam urodę świata w chwili, kiedy jest całkiem możliwe, że wkrótce go opuszczę.

Trzymamy się w zasadzie prawego brzegu, tylko tam, gdzie zarasta gęsto drzewami i krzakami, przechodzimy po kamieniach na drugą stronę. Cisza, słychać tylko nas. Wewnątrz hełmu człowiek słyszy własny oddech, nawet przełykanie śliny, za to trudno usłyszeć cokolwiek z zewnątrz - to kolejny bystry wojskowy wynalazek. Niemcy mieli przynajmniej dość pomysłu, żeby powycinać w hełmach dziury na uszy. Nie wiem, jak my możemy wygrać tę wojnę, skoro wszystko robimy tak głupio. Wojskowi mądrze szkolą żołnierzy do walki na wojnie, która już się skończyła. Nas szkolono do walk w okopach. W pierwszej wojnie światowej wszyscy byli przygotowani na szarżę kawaleryjskie i tak dalej, bez końca.

Wypatrujemy śladów. Skakały tędy zajęce i chodziły sarny, ale ludzkich śladów nie widać. W miarę jak schodzimy ze wzgórza, las gęstnieje, a drzewa są coraz większe. Miejscami rosną tak gęsto, że śnieg się przez nie nie przedostaje i stąpamy po miękkim brunatnym igliwiu, ledwo ledwo przysypanym nawianym z boku śniegiem.

Nagle Gordon zatrzymuje się w miejscu i pada na kolana. Shutzer przed nim też padł na ziemię. Daje znaki ręką. Biegnę pochylony i padam obok niego.

- Zdaje się, że to jest to, Won't!

Wskazuje prosto przed siebie, na poszarzałą, zniszczoną drewnianą szopę. Spomiędzy szpar w deskach i okapach pod dachówkami sterczy słoma. Przekręcam się na bok, sięgam pod kombinezon i wyciągam mapę. Rozpościeram ją na śniegu. Szopa stoi dokładnie w miejscu, w którym powinna stać. Konfrontuję obraz mapy z rzeczywistością.

- Tak, wygląda na opuszczoną.

- Mhm. Co teraz - sprintem?

- Ty i Gordon zostańcie tutaj. Ja się podkradnę i poszukam śladów. Jeżeli ktoś tam jest, musi zostawiać ślady. Powinien też być dym, chyba że postanowili na ochotnika zamarznąć za Vaterland.

Powoli przesuwam się do małego wzniesienia po lewej stronie. Idę zgięty wpool, chowając się za pagórkami. Wychylam się, zerkam w dół: widzę szopę i wszystko wokół niej. Żadnych śladów, żadnych oznak życia. Nikt się tutaj nie kręcił od czasu, kiedy zaczął padać śnieg. Prostuję się, macham do Shutzera i Gordona, żeby szli za mną.

Spotykamy się na dole przy szopie. Filujemy przez szpary w deskach - nic tam nie ma, tylko siano. Szkoda, że szopa nie stoi bliżej pałacu, mielibyśmy opał. Matka nie sprzeciwiłaby się chyba znanemu paleniu siana.

Wieje złośliwy wiaterek, chowamy się pod zawietrzną ścianą szopy. Jeszcze raz wyciągam mapę: druga część wycieczki będzie trudniejsza.

Ruszamy w tym samym ordynku, ale w odstępach dwudziestu jardów. Widzialność coraz lepsza: teraz idziemy prawie prosto na północ. Sprawdzam czas na zegarku Shutzera. Nawet nie ma drugiej. Według mapy, stąd do domku myśliwskiego powinna być mila drogi. Jeżeli szczęście nam dopisze, powinniśmy tam dojść, rozejrzeć się i wrócić do pałacu jeszcze przed zmrokiem.

Przemykamy się wąwozem między pagórkami i nagle dochodzimy do wąskiej drogi, której nie ma na mapie. Szok. To jedna z najgorszych rzeczy, jakie się mogą zdarzyć na patrolu. Człowiek i bez mylenia drogi wystarczająco się boi. Uważnie studiujemy mapę: ta droga nie ma prawa tutaj być. A jednocześnie wygląda na to, że idziemy w dobrym kierunku. Za jakieś

dwieście jardów powinniśmy dojść do domku myśliwskiego - chyba że trafiliśmy na niewłaściwą szopę.

Nie mija pięć minut, jak Shutzer pada plackiem na ziemię. Daje znaki. Pędzę do niego. Padam tuż obok i wyteżam wzrok, ale niczego nie widzę. Po chwili jednak dostrzegam ciemną smugę na rozmazanym białym tle. Jesteśmy blisko. Shutzer zwija dłoń w trąbkę przy ustach. Nachyliam się tak blisko, że nasze hełmy zderzają się z brzękiem.

- To mi wygląda na faszystowski dym, pewnie palą żydowskie drewno.

Czołgamy się z powrotem do Gordona i odbywamy krótką naradę. Rzecz w tym, że zrobiliśmy już, co do nas należało. Są tutaj. To na pewno Niemcy. Wiemy już, gdzie siedzą. Ja i Gordon głosujemy, żeby na tym poprzestać, ale Shutzer chce się upewnić do końca. W końcu namawia mnie, żebyśmy we dwóch podkradli się bliżej. Mel zostanie z tyłu i będzie nas osłaniał. Chowam mapę, wyciągam lornetę i podaję ją Shutzerowi. Niech prowadzi: ten epizod to w końcu jego pomysł.

Przekradamy się z powrotem tam, gdzie już byliśmy, a potem przełazimy dalej przez grzbiet wzgórze. Teraz dopiero widać, co jest po tamtej stronie.

W dole stoi podłużny barak z okrągłaków. Z komina na wschodnim krańcu spiczastego dachu unosi się kędzior dymu. Gołym okiem widać dwóch niemieckich żołnierzy rżnących drewno dwuosobową piłą na topornym koźle. Pewnie też mają kłopoty z opałem. Są bez szyneli, nie widać, żeby mieli broń.

Shutzer lustruje okolicę przez lornetę. Nagle koncentruje wzrok na czymś, co jest blisko nas.

Rozglądam się za posterunkami. Przecież muszą mieć jakąś osłonę. Widzę ciąg śladów prowadzących w dół do drogi, która oddziela nas od Niemców. Drugi wydeptany szlak prowadzi do kwadratu zielonego brezentu na wzgórzu za domkiem. To może być latryna.

Shutzer przekazuje mi lornetkę i szepcze w samo ucho:

- Po tej stronie drogi.

Reguluję wizję. Ślady wiodące w naszą stronę, przez drogę, są całkiem świeże, jeszcze nie tknięte przez padający śnieg. Nie widzimy jednak, dokąd prowadzą, ponieważ widok zasłania krzywizna wzgórze. Stan znów nachyla się do mnie.

- Przesuńmy się trochę bliżej.

I już to robi, nie czekając na to, co powiem. Nie jestem entuzjastą aż tak intymnej bliskości z Niemcami. Moim zdaniem, cztery czy pięć tysięcy mil to akurat stosowna odległość. Ale co mam robić? Skradam się za Shutzerem - ja, wielki wódz, który stara się dotrzymać kroku żołnierzowi.

Pokonujemy następne dwadzieścia jardów i mamy oto przed sobą panoramę doliny. Pod nami, o niespełna siedemdziesiąt, osiemdziesiąt jardów, siedzi na krawędzi okopu żołnierz niemiecki. Shutzer unosi karabin, mierzy, odwraca się do mnie z szerokim uśmiechem. Kręcę przecząco głową. Shutzer nachyla się do mnie.

- Nie bój nic, ja się tylko napawam widokiem pierdolonego nazisty w celowniku. Czuję, jak mi staje.

Znowu zaczyna mnie trząść. Przyciskam łokcie do boków i patrzę w lornetę. Chyba mają tylko ten jeden posterunek - przynajmniej się wysypiają.

Skupiam uwagę na tych dwóch, którzy piłują drewno. Przez lornetę widać, że są o wiele starsi od nas, wyglądają na jakieś trzydzieści, czterdzieści lat. Mundury mają wymięte i jeszcze brudniejsze od naszych. Jeden stoi twarzą do mnie w czapce polowej zsuniętej na kark. Wygląda jak podstarzały Max Lewis.

Słyszymy zgrzyt piły i urywki rozmowy. Dochodzi nas woń palonego drewna i jeszcze czegoś. Już wiem: ten pod nami pali papierosa. Gordon wyniuchałby go już z dziesięć minut temu i kto wie, czy tego nie zrobił. Może zaraz zleci z góry jak jastrząb, minie nas galopem i zacznie odwozić faceta od nałogu palenia tytoniu, tłumacząc mu, żeby sam siebie nie zabijał - po to, żeby mógł zabić nas.

Z domku wychodzi jeszcze jeden żołnierz: coś niesie. Ogniskuję soczewki. To mokre ubrania; żołnierz rozwiesza je na obalonym pniu, nieco powyżej polanki, na której tamci piłują drzewo. Obserwujemy ich przez pięć minut i widzimy tylko tych czterech. Reszta musi siedzieć w środku, przy ogniu, może nawet śpią.

Ześlizgujemy się na dół do Gordona i wszyscy razem wycofujemy się o jakieś sto jardów. Mel nie chce nam wierzyć: to się rzadko zdarza, żeby podejść tak blisko do nieprzyjaciela i żeby nic się nie zdarzyło.

Wyciągamy mapę i postanawiamy wracać prosto do pałacu na skróty, przez pagórki, zamiast wlec się z powrotem tą samą drogą, którą przyszlismy. Jest po trzeciej.

W drodze powrotnej rewolucja w moim żołądku powoli ucicha. Wiem, że mogłem spokojnie zabić tych czterech facetów i uszłoby mi to na sucho - przecież w wojnie o nic innego nie chodzi. Wiem też, że wczorajszej nocy oni mogli zrobić dokładnie to samo. Paskudnie bym się czuł naciskając spust przeciwko temu, który piłował drewno, temu podobnemu do Maxa. Błagam cię, Boże, daj mi przez to wszystko przebrnąć tak, żebym się za bardzo nie zeszmacił!

Wlecemy się w dziesięciojardowych odstępach, karabiny na ramionach, lufami w dół, wcale nie jak wojsko na patrolu. Tym razem ja prowadzę, a Gordon zamyka tyły. Po dziesięciu minutach marszu zatrzymujemy się raz jeszcze, żeby sprawdzić trasę na mapie konturowej.

Wychodzimy z gęstego lasu na otwartą przestrzeń opadającą stokiem po prawej stronie; z lewej mamy grzbiet wzgórza zwieńczony lasem - zgadza się z mapą. Na moje wyrozumienie, jesteśmy raptem o pół mili od pałacu.

Ruszamy. Wyszliśmy właśnie z lasu, przecinamy stok. Chowając mapę pod kombinezon, spoglądam w górę i na stok po lewej.

A tam, na skraju lasu, stoi niemiecki żołnierz z karabinem na ramieniu i celuje prosto we mnie!

Padam tak błyskawicznie, że ryję twarzą w śnieg, przygniatając brzuchem karabin. Turlam się w dół po zboczu. Wszystko dzieje się szybko, ale w jakiś zgęstniały, zagmatwany sposób, jak na zwolnionym filmie. Zaraz się stanie: uderzenie, ból, krew.

Wyłuskuję broń spod siebie, ocierając śnieg z oczu. Śnieg zatkał celownik. Hełm spada mi z głowy, odbija się od ziemi, toczy w dół. Odwodzę zamek i próbuję wycelować. Niemiec, do którego dołączyli jeszcze dwaj, macha łapami jak najęty, daje jakieś sygnały!

Sytuacja jest beznadziejna. Już po nas. Mają nas w saku, koniec wojny!

Rzucam karabin i zakładam ręce na głowę. Rozglądam się: Gordon i Shutzer robią to samo. Shutzer klnie w głos, potyka się, płacze.

- Pierdolone szczęście! Już po nas! Sukinsyny zasrane! Obserwuję Niemca. Opuszcza ręce, znowu macha, odwraca się plecami, odchodzi w las i znika nam z oczu!

Pozostali odchodzą za nim, karabiny w pogotowiu. Stoimy we trzech jak wryci na otwartym śnieżnym polu, z łapami do góry albo na głowach. W wojsku nie ma ćwiczeń z prawidłowych form poddawania się. Gordonowi karabin dynda żałośnie w zgięciu łokcia. Moja twarz jest mokra od topniejącego śniegu, potu - może też od łez. Przedstawiamy sobą żalony obraz, nie całkiem pasujący do wizerunku patrolu zdobywców Orderu Kongresu.

Podnoszę karabin i jadę na tyłku po stoku. Po drodze zgarniam hełm, ale nie wkładam go na głowę. W połowie wzgórza fikam kozła i zjeżdżam na brzuchu co najmniej dziesięć jardów. Hełm znów gdzieś mi ucieka. Gordon i Shutzer mijają mnie w pędzie, zatrzymują się i czekają. Zbieram karabin i hełm, lecę za nimi.

Biegniemy bez przystanku aż do miejsca, w którym możemy nareszcie dać nura w koryto rzeki, o jakieś dwieście jardów od mostu. Padam i próbuję odzyskać oddech. Shutzer i Gordon przypadli do wału nadbrzeżnego. Mel patrzy na mnie.

- W porządku, Wont?

Kiwam głową. Obaj są bladzi jak kreda, tak bladzi, że wąsy Shutzera wydają się kruczoczarne. Wtedy dopiero zauważam, że mam lepkko między nogami. Zesrałem się z emocji. Gordon wytyka mnie palcem i łapie się za nos.

- Cuchniesz, jakby ci niemieccy džentelmeni coś z ciebie wycisnęli, Wont.

Shutzer zdejmuje hełm i strzepuje śnieg z siatki.

- Słowo honoru, byłem pewien, że oberwałeś, jak tak prasnąłeś o ziemię. Mógłbyś grać w filmach kowbojskich bez charakteryzacji. Nawet Tom Mix nie zrobiłby tego lepiej.

I nagle, mimo woli, zaczynamy chichotać, chichoczemy na granicy hysterii, zaśmiewamy się, krztusimy do utraty tchu.

W końcu jakoś bierzemy się w garść. Zaczyna mi być zimno. Uświadamiam sobie, że lornetę i mapę porzuciłem w górze. A Shutzerowi odpadł od karabinu pełny magazynek. Jeden Gordon uniósł sprzęt w stanie nienaruszonym.

Pochyleni, broń w pogotowiu, gnamy wzdłuż rzeczki, chlapiąc i przeskakując z kamienia na kamień. Nasz bieg nie ma w tej chwili żadnego uzasadnienia poza tym, że roznosi nas strach i radość życia.

Przy moście nie ma nikogo, ale na górnym posterunku widać Millera. Wchodzimy do pałacu, gdzie Mundy wyciągnął się w śpiworze koło kominka. Siada na nasz widok.

- Jak poszło? Znaleźliście jakiegoś Niemca?

Shutzer siada i zaczyna wydlubywać śnieg z mechanizmu swojego M1. Ja główkuję, jak by tu wyprać spodnie i wysuszyć je ekspresowo, żebym miał co włożyć na wartę. Ściągam spodnie, gacie też. Właściwie poleciała ze mnie sama woda, ale śmierdzi jak nieszczęście. Czym ja to wyczyszczę?

Próbuję kawałkiem kartonu z pudła po racjach żywnościowych. Potem z drugiego. Skrobię i skrobię. Shutzer i Gordon ściągają przemoczone buty. Gordon idzie na górę. Shutzer ustawia buty blisko ognia.

- Żebyś wiedział, Mundy, że ich znaleźliśmy, a zaraz potem oni znaleźli nas. Mało brakowało, a szkopy poskracałyby nas wszystkich o głowę.

- Tu nic nie było słyhać, nic a nic. A nasłuchiwałem.

- Nie było co słyszeć, Mundy, to jest bardzo cicha wojna.

Shutzer odwraca się do mnie. Stoję i przyglądam się wnętrzu własnych gaci. Od góry mam na sobie bluzę polową, od dołu tylko mokre buty.

- Cholera, Won't, zauważyłeś, jak ten korniszon skorzystał z okazji, żeby nam udowodnić swoją przekłętą zasraną aryjską wyższość?

- Przesadzasz. Myślę, że był tak samo zaskoczony jak i my, Stan. Ich było co najmniej trzech.

- Wiem, wiem. Ale ich pogoniło, co? Wychodzą sobie z lasu jakby nigdy nic - a tu niespodzianka.

Mundy wodzi wzrokiem od jednego z nas do drugiego.

- Co się stało, mówcie wreszcie.

Shutzer kilka razy stuka kolbą karabinu o podłogę, żeby otrząsnąć śnieg z pasa.

- Szkopy nas namierzyły, Mundy, już nas mieli na muszce - i nie strzelili. To się stało.

- Jak to?

- Zastrany nazista tylko pokiwał nam ręką, jakbyśmy odbyli prywatną defiladę wyłącznie dla jego rozrywki, po czym oddalił się w gąszcz prastarej puszczy. Tak to.

- W takim razie wy nie macie prawa być żywi. Na co wy się użalacie? Nie rozumiem.

- Jasne. Jesteśmy szczęśliwi. Jesteśmy szczęśliwi. Hip - hip, hura! Proszę cię uprzejmie, Mundy. Zadowolony?

Już teraz wiem, że żaden z nas się nie przyzna, że byliśmy gotowi się poddać. Dużo się w wojsku gada o poddawaniu się, ale to tylko gadanina.

Gordon wraca z kibla.

- Kurczę blade, ledwo zdążyłem. Serce i bebechy już mi chyba nigdy nie wrócą na miejsce. Shutzer, a ty dalej pyskujesz na wrednych Niemców?

- Wredne nazistowskie aryjskie jebaki.

Wychodzę, żeby oczyścić spodnie śniegiem. Trę tak długo, aż śnieg schodzi czysty. Nic lepszego nie zdołałem wymyślić. Wciągam z powrotem gatki i szybko wskakuję w spodnie ogólnowojskowe. Lodowato zimne gacie na tyłku nie są chyba najlepszym lekarstwem na sraczkę. Ustawiam się tyłem przy kominku, chcąc się ogrzać i przy okazji w miarę możliwości przeschnąć. Za pięć minut mam zwolnić Millera na górze.

Dopiero teraz uświadamiam sobie, że od wejścia nie widziałem Wilkinsa. Co prawda, byłem tak zajęty praniem spodni, że się za nim nie rozglądałem.

- Mundy, a gdzie Matka?

- Buszuje na strychu. Bawi się w dom, tam jest pełno mebli. Nic mu nie będzie.

Mogłem się domyślić.

Spodnie na tyłku już mi się ogrzały, ale właśnie z tego powodu znowu zaczynam śmierdzieć. Wyglądam na dwór: śnieg znowu sypie gęsto. Zabieram pałatkę, hełm i karabin i wlokę się na górę.

Miller widzi mnie z daleka i ruszana przełaj. Wzbija tumany śniegu, próbuje wykonać zjazd narciarski na butach. Wielce widowiskowa zmiana warty, tak jest, sir.

- Kurna Olek, ale zimno dmucha tam na górze, Won't. A do tego ciemno choć oko wykol. Nawet brydza nie widziałem. Lepiej by ci było tam na dole, na drugim posterunku. Jak by do ciebie zaczęli strzelać, mielibyśmy przynajmniej jakieś ostrzeżenie.

- Ty to masz fantastyczne pomysły, Miller. Chcesz ze mnie zrobić urządzenie alarmowe do stosowania w warunkach polowych zimą?

- Dobrze wiesz, co chcę, i byłoby ci tam o wiele cieplej. Może usłyszelibyśmy nawet, jak ty do nich pierwszy strzelasz. W końcu, jak się tak dobrze zastanowić, to właśnie na tym polega warta, nie? Sterczysz tam po to, żeby reszta miała w razie czego szansę prysnąć w krzaki. Miejsce wolne, życzę szczęścia. Jak się udał patrol?

- Dziękuję, nieźle. Tyle że o mało nas nie wykosili. Shutzer ci wszystko opowie.

Odwracam się twarzą do podnóża pagórka.

- Masz rację, Bud, mostu nawet stąd nie widać. Jaki sens?

- Zostawić ci parę fajek? Ściągnąłem z przydziału Gordona, zanim zdąży w imię zdrowia „złożyć ofiarę bogom” przez rzucenie ich w ogień.

- Dziękuję. Ale jak się Gordon pokapuje, nie mów mu, że i mnie dawałeś. Nie czuję się chwilowo na siłach znosić gniewu sprawiedliwego.

Razem ruszamy w dół. Miller zachodzi pałac od tyłu, żeby nabrać po drodze jeszcze trochę drewna. Ze stajni już chyba niewiele zostało. Wilkins powinien zacząć katalogować rzeczy pod kątem kolejności palenia. Czuję, że zbliża się wojna domowa: piecuchy przeciwko zwolennikom zimnego chowu.

Idę kawałek drogą i schodzę w dół przy cembrowinie. Bud miał rację: tu jest lepiej niż na górze. Fontanna zasłania od wiatru, mogę sobie kucnąć, kiedy zechcę, albo oprzeć się plecami o ścianę i dać nogom odpocząć. Kiedy tak siedzę w kucki, pozostaje tylko jeden sposób powiadomiania chłopaków, że Niemcy są blisko: chrzęst mojej czaszki rozrywanej niemiecką kulą.

Z drugiej strony, nic tak nie potrafi człowieka załamać, jak dwie godziny w śniegu i zimnie na stojąco. Zapalam jednego z papierosów od Buda, a raczej od Mela. Zostało mi już tylko sześć zapalek: skończą się wcześniej niż papierosy. Bud ma zapalniczkę, marki Zippo, którą od kogoś wycyganił. Możliwe, że jest jedynym żołnierzem w Lesie Ardeńskim - i to po obu stronach frontu - który potrafi zmusić to urządzenie do działania.

Gdybym to ja był Millerem i miał dryg do wszystkich zasmarkanych mechanizmów na świecie, dogadywałbym się sam ze sobą o wiele lepiej niż teraz.

Szczytem moich uzdolnień technicznych było opanowanie składania i rozkładania karabinu M1, automatu kaliber trzydziści i karabinu maszynowego Browninga. Pięćdziesiątki nigdy nie zaliczyłem. Na strzelnicy radziłem sobie niezgorzej, ale nie potrafiłem złożyć cholerstwa tak, żeby się nie zacinało.

Byłem świadkiem, jak Miller wygrywał zakłady, że rozbierze i złoży dowolną z

wymienionych odmian broni z zawiązanymi oczami, i to szybciej niż przeciętny człowiek robi to z otwartymi oczami. To dar losu, podobnie jak czytanie w myślach i pisanie wierszy.

Dla Millera nic, ale to nic w mechanice nie jest za trudne. W armii niemieckiej byłby już pewnie generałem. Albo nie, prędzej by go zastrzelili. Z Budem nigdy nic nie wiadomo. W każdej chwili może odmówić wykonania bezpośredniego rozkazu. To nie przekora, tylko zakuty łeb: Gordon nie robi nic, co jego zdaniem jest nie w porządku. Nie nazwałbym go wielkim moralistą, zwolennikiem ładu społecznego, itp., ale posługuje się własną estetyką, która wymaga działania logicznego i solidnego. Bud byłby chyba w stanie popełnić każdy zły uczynek - byle solidnie. Może to dlatego, że jego ojciec jest zegarmistrzem - chociaż Shutzer też ma ojca zegarmistrza, a wcale taki nie jest. Nie ma reguł.

Po dziesięciu minutach intensywne myślenia dostaję skrętu kiszek. To na pewno od tego, że stale się boję. Kiedy lecieliśmy z tamtej góry, czułem w ustach niemiły, gorzki smak. Musiałem cały czas łykać ślinę, żeby nie puścić pawia.

Ktoś schodzi od pałacu. To Shutzer. Ubrał się z powrotem w kombinezon maskujący. Oparty o mur, patrzę, jak nadchodzi drogą. Unosi nogi wysoko i ogląda się na własne ślady w śniegu.

- Na cycki Himmlera, Shutzer, jeszcze nie dość miałeś spacerów po czarodziejskiej krainie śniegu?

- Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, Won't, to przeszedłbym się poszukać lornety i mapy, no i swojego magazynku. Utrata lornety to pewny raport o stratach w sprzęcie, więc warto, żeby ktoś poszedł sprawdzić, czy się nie znajdzie. Może wszystko dalej tam leży.

- No i dobrze. Za lornetę ja odpowiadam, Stan. Polecę tam później i się rozejrzę.

- Po ciemku i tak nic nie znajdziesz, a poza tym śnieg na pewno wszystko przysypie.

- I na zdrowie.

- Ale mogę spróbować?

- Nie rozumiem cię, Stan. Jaki sens? A jak tamci faceci dalej kręcą się po lesie? Może mają tam na górze posterunek?

- Nie, na pewno tylko patrolowali.

- No to na pewno pozbierali wszystko, co po nas zostało. Patrol musiał zejść i przeszukać teren po naszej rejteradzie.

- Może, ale i tak chciałbym sprawdzić.

- Kurza twarz, Shutzer, przecież to naprawdę nie jest aż takie ważne.

- Prędzej czy później ktoś będzie musiał to zrobić. Zgłaszam się na ochotnika, już, w tej chwili, więc nie masz się co tak gorączkować.

Wiem, że sam nie miałbym na tę eskapadę najmniejszej ochoty. Stan przez najbliższe cztery godziny ma wolne od warty, więc jeżeli w ogóle ma tam iść, to tylko teraz. Z drugiej strony, chłopaki na pewno będą grać w brydża. Może ostatnia rozgrywka do tego stopnia zraziła Shutzera, że szuka byle jakiego pretekstu, żeby się wymigać od gry?

- OK, Stan, idź, ale uważaj. Żadnych kawałów. Nie jesteś jednoosobową żydowską falangą mścicieli przeciwko siłom złego i ciemności. Pamiętaj, że fanatykiem religijnym jest u nas Mundy.

- Będę tędy wracał, zanim zejdziesz z warty. Nie strzelaj do mnie.

- Jeżeli nie wrócisz do szóstej trzydzięci, pošlę Mundy'ego, żeby pokropił twoje szczątki jakim święconym płynem, mogą być siki. Trochę ostatniego namaszczenia też nie zawadzi. Wszystko koszerne, obiecuję.

- Skończyłeś? To spuść wodę.

Shutzer oddała się wzdłuż rzeczki, tak jak szliśmy przedtem, przechodzi pod mostem i pojawia się na wzgórzu nad drogą, tam gdzie kończy się nasz mur. Przeskakuje na drugą stronę drogi i znika mi z oczu między drzewami. Zapalam drugiego papierosa, starając się oddychać wolno i głęboko. Zgodnie z wykładem Gordona smołuję sobie właśnie wnętrze płuc. Dzięki temu jednak udaje mi się powstrzymać skurcze żołądka. Nie miałbym ochoty srać na śniegu. Spróbuję wytrzymać do powrotu pod dach.

Właśnie zaczynam się niepokoić, kiedy Shutzer przecina drogę przy zakręcie. Patrzą, jak zmierza w moją stronę. Ześlizguje się w dół z drogi i staje koło mnie pod murem.

Przed chwilą telefonowałem do pałacu, gdzie wszystko jest w porządku, poza tym, że chłopcy szykują się do stworzenia ekipy linczującej przeciwko Wilkinsowi za ostatnie rozdanie. Matka dalej siedzi na strychu. Miller proponuje, żeby go tam zamknąć i tylko co jakiś czas wsuwać przez szparę pod drzwiami coś do żarcia. Na to Ojciec Mundy zgłasza sprzeciw, twierdząc, że najpierw wszyscy umrzemy z głodu, jeżeli Matka nie będzie nam gotował.

- Znalazłeś?

- Tylko magazynek.

Stan wyciąga papierosa, a ja podaję mu jedną ze swoich ostatnich zapalek. Shutzer pali bardzo rzadko. Teraz dopiero widzę, że czoło ma zroszone potem, łapy mu się trzęsą, a rękawice są mokre na wylot.

- Chyba rzeczywiście poleżli tam po nas, bo wszędzie było pełno śladów. Lornetę i mapę musieli zabrać na prezenty dla swoich Freuleins.

- No to raport o stratach mamy jak w banku. Nienawidzę tych raportów. Normandin, urzędnik kompanijny, patrzy na mnie, jakbym kradł te kłamoty, żeby po wojnie otworzyć

kramik z artykułami z demobilu.

Shutzer ściąga mokre rękawice. On jeden w drużynie ma rękawice nowego typu, z oddzielnym palcem wskazującym do strzelania; cała reszta nosi stary model, z wierzchu wełniane, od spodu skórzane, z pięcioma palcami, idealne do odmrażania rąk. Tych nowoczesnych rękawic nie widzieliśmy na nikim poza oficerami i Shutzerem. Teraz Shutzer wyżyma je i chowa do kieszeni.

- Zdaje się, że dość solidnie szukałeś tej lornety, Stan. Mogę cię przedstawić jako świadka, że nie schowałem jej do worka ani nie zakopałem pod oznaczonym drzewem? A w ogóle, to coś ty tam robił - spacerowałeś na czworakach? Czy tylko modliłeś się w śniegu za duszę Mundy'ego?

- Idź ty. Z góry wiedziałem, że tam już nic nie ma. Przygląda się sobie. Od butów po biodra jest całkiem przemoczony.

- Zmoczyłem się nieco przygotowując małą niespodziankę dla naszych znajomych Krzyżaków.

- Pułapka z granatem?

Mówię to z nadzieją, że jednak nie. Chociaż byłoby to bardzo w stylu Shutzera. On jeden walczy w jakimś celu.

Uśmiecha się i wypuszcza dwa kółka dymu. Shutzer puszcza najtrwalsze, najbardziej zwarte kółka na świecie. Te dwa, które wydmuchał teraz, są niebieskie i zwiewne na tle śniegu. Ciągający korytem rzeki prąd powietrza zniekształca je i rozwiewa.

- Ulepiłem bałwana.

- Nie zgrywaj się, Stan! Ty też zaczynasz pozować na czubka? Zostaw miejsce dla mnie.

- Ulepiłem bałwana rozmiarów człowieka, w tym miejscu, gdzie pogubiliśmy rzeczy. Idealny śnieg na bałwany. Migiem uturlałem dwie duże kule i ustawiłem jedną na drugiej, jak na obrazku w książeczce dla dzieci. Potem dorobiłem mu oczy, nos i usta z sosnowych szyszek. Z igliwia zrobiłem wąsik i wetknąłem długą sosnową gałąź z pigułą śnieżną na końcu, jak łapę uniesioną w szwabskim pozdrowieniu. Na koniec wbiłem w czoło jeszcze parę igieł, tak żeby opadały na jedno oko. Uderzające podobieństwo, nie chwaląc się. Wiesz, Won't, może ja jednak nie uruchomię po wojnie agencji reklamowej. Może kupię sobie trochę kamienia i spróbuję szczęścia w rzeźbie. Słowo ci daję, postawiłem tam prawdziwy majstersztyk.

- Spokojnie, Shutzer, mówisz, że ulepiłeś bałwana w szczerym polu, na tamtym spadzistym stoku? Przecież ci niemieccy wariaci mogli zaskoczyć szalonego artystę przy pracy i wygłosić serię celnych komentarzy przy użyciu automatu. Byłby kolejny perforowany ASTPR - owski mózdzek.

- Gdyby szkopy chciały mnie zabić, miały już lepszą szansę. Moim zdaniem, oni się tutaj dekują tak samo jak my. Nie chcą się pakować w kabałę. Mają wystarczającą frajdę z przyczepiania Żydom żółtych gwiazd, ładowania ich w wagony bydłce, zamykania w obozach koncentracyjnych, wywożenia na przymusowe roboty. Nawet palcem nie kiwną przeciwko człowiekowi, który ma w ręku prawdziwą broń.

- Ty naprawdę wierzysz w te brednie, Stan? Naprawdę myślisz, że faszyci masowo mordują Żydów?

- Ja to wiem. Takiemu gojowi jak ty trudno w to uwierzyć, ale ja wiem. Moi krewni tam byli. Faszyci to krwiożercze potwory. To jest cały naród kutasów, takich jak u nas Hunt czy Love.

- OK, może i masz rację. Ale co za sens lepić bałwana w środku lasu? Odpowiedz mi na to pytanie, tylko już daruj sobie syjonistyczne kazania, bardzo cię proszę. Nie chcę tego słuchać, nie chcę wierzyć w takie rzeczy.

- W porządku, stary, i tak się sam przekonasz. Powiem ci jeszcze coś: wytupałem im w śniegu hasło, przed samym bałwanem. Frontem do lasu, skąd na nas wyszli. Jak będą szli tamtędy drugi raz, muszą zauważyć.

- Dobra, dobra, co to za hasło?

- HITLER CHUJ!!! Wykrzykniki porobiłem z gałęzi.

Shutzer podnosi się i zarzuca karabin na ramię. Siedzieliśmy cały czas pod murem, na zawietrznej, w oczekiwaniu na ostrzegawczą kulkę w tył głowy.

- Stan, jesteś kompletny wariat. Opowiedz o tym bałwanie Gordonowi i reszcie, o liściku miłosnym też. Odgrazali się, że zamkną Wilkinsa na strychu - może i ty się załapiesz razem z nim. On sobie będzie katalogował meble, a ty zajmiesz się produkcją papierowych modeli samolotów z hasłami w języku jidysz, które następnie będziesz puszczał na Niemców z okien sypialni. Cała ta banda świruje, powoli, ale systematycznie.

Shutzer rusza pod górkę. Waham się, czy zapalić trzeciego papierosa, ale nie palę. Czuję się paskudnie. Nic już nie pomaga, ani fajki, ani głębokie oddychanie. W brzuchu burczy, rewolucja na całego, w krzyżu straszny ból.

Nie umiem przestać myśleć. Wszyscy mówią, że jest już właściwie po wojnie, że Niemcy mają się lada chwila poddać, może jeszcze przed Bożym Narodzeniem. Ale ja wiem, że to się nigdy nie skończy.

Kiedy pomyśleć o tym, ile czasu zabrało nam dojście tutaj, i o tym, że im dalej brniemy, tym bliżej Niemcy mają do domu, i o tym, że oni walczą o życie, na krótkich liniach dostawczych - koniec wojny wydaje się niemożliwy. Nie wyobrażam sobie poza tym, jak

Niemcy mogliby się poddać, teraz, po tych straszliwych grabieżach i morderstwach na Żydach i Rosjanach. Będą walczyli do ostatnich rozstajów dróg, do ostatniej stacji kolejowej, do ostatniego miasta.

A Japończycy? Żeby utrzymać się przy życiu, trzeba albo oberwać, albo trafić do niewoli, albo znikować. Przyznam, że nie chciałbym wpaść w łapy Niemców. Może to tylko propaganda, ale gdzieś w głębi duszy boję się tego, co mogliby ze mną zrobić. Zwłaszcza po obejrzeniu tych trupów, tego opartego o drzewo i tamtych dwóch tańczących na polanie. Może Shutzer ma rację, może to jest naprawdę inny gatunek ludzi. To przecież musieli zrobić Niemcy. Co sobie wtedy myśleli?

Mimo to dzisiaj wszyscy byliśmy gotowi się poddać, nawet Shutzer. Jakie to łatwe, nic nie trzeba robić. Boże, jak szybko człowiek umiera: spodziewałem się śmierci, napięty do granic, czułem, jak obok przemykają moje ostatnie chwile, i czekałem, bezbronny jak dziecko.

Muszę przestać myśleć. Kiedy się cały czas myśli o tym, co się dzieje albo co może się stać, nie ma szans na przeżycie. Przyglądasz się własnym myślom i nieuchronnie zaczynasz czekać - i już po tobie.

Schodzę z warty o ósmej, śmiertelnie zmęczony. Czuję, że skórę mam wysuszoną, a usta tak spierzchnięte, jakby miały zaraz popękać w żywe mięso. Przez okrągłą godzinę walczyłem ze sraczką.

Gordon schodzi na swoją pierwszą nocną wartę. Zamieniamy parę słów. Dochodzimy do wniosku, że trzeba wypróbować wersję warty we dwóch, ale tylko na jednym posterunku, z telefonowaniem co pół godziny. W ten sposób zarobiliśmy trochę snu. Powinniśmy trzymać dwa posterunki, ale pies trącał regulamin - skoro taka jest wola oddziału, ja się zgadzam.

Mówię Melowi, że nowe hasło brzmi „Bał - Wan”. Śmiejemy się z wariackiej rzeźby w śniegu Shutzera. Mel wyznaje, że ma nadzieję, że Niemcy na nią nie trafią; tego nam tylko potrzeba, żeby zajadły i krwiożerczy wróg zaczął nas ścigać po lasach.

W pałacu Mundy, Miller i Shutzer zasiadają właśnie do wymyślonej przez Shutzera gry PANTRANT.

Obiecuję im, że się przyłączę, jak tylko odwalę telefon do pułku. Rozgrzewam radio. Kiedy uzyskuję połączenie, Leary każe mi się wyłączyć i oddzwonić za pięć minut: Ware życzy sobie rozmawiać ze mną osobiście.

Wyłączam radio i wyciągam się na materacu. Za mało czasu, żeby iść do kibla, a skurcze kiszki już się zaczynają. Przy kominku piętrzy się spory stos połyskliwych szczap. Ciekawe, czy Matka o tym wie. Powinienem pójść tam na strych, chociażby po to, żeby sprawdzić, co z nim jest. Co zrobię, jeżeli na przykład postanowił machnąć na to ręką i powiesił się? Miller na

łańcuchach, a Wilkins na strychu! Trzeba by zrezygnować z gry i sprawdzić, co z Matką; zdaje mi się, że tak właśnie powinien postąpić sierżant.

Ogień płonie na schwał. Przy drewnie sterczą miejscami metalowe okucia, które pałają czerwienią od gorąca. Co też to mogło być? Chyba nie spalili fortepianu albo czegoś w tym rodzaju? Myślę - mam nadzieję - żenię.

W kwadrans później telefonuję powtórnie i łączę się z Ware'em.

- Dobrze poszło, sierżancie? Odbiór.

- W porządku, panie poruczniku. Zadanie wykonaliśmy we trzech: Shutzer, Gordon i ja. Sprawdziliśmy szopę - nic tam nie ma. Znaleźliśmy ich w domku myśliwskim. Trzech Niemców, plus warta na drodze w okopie. Odbiór.

- Dobra robota. Widzieliście tylko czterech sukinsynów? Odbiór.

- Nie, panie poruczniku. Potem, w drodze powrotnej, weszliśmy w kontakt z nieprzyjacielskim patrolem. Było ich trzech, może nawet więcej. Około pół mili od pałacu. Odbiór.

- Weszliście w kontakt? Co to znaczy? Widzieli was? Odbiór.

- Tak jest, sir. Namierzyli nas, mogli nas załatwić, ale nie zrobili tego. Sam nie rozumiem dlaczego, chłopcy też nie. Odbiór.

- A niech to diabli!

Dłuższa pauza. Skręca mnie tak, że stoję nad radiem zgięty wpół. Słyszę, że pada pierwsze hasło do gry. Wypowiada je Miller, a słowo brzmi „brinkolar”. Miller podaje pisownię. Słowo kojarzy mi się z łyżwami, batonem czekoladowym, gwiazdami. Ze wszystkim, tylko nie z tym, co dzieje się tuż na północ od mojej odbyticy. Jeżeli Ware natychmiast się nie wyłączy, znowu zesram się w spodnie.

- Sierżancie Knott, u nas też wszystko stoi na głowie. Nikt nie wie właściwie, co jest grane. Przekażę wasz raport majorowi Love. Major łązi po ścianach - to już coś. Odbiór.

- Zrozumiałem, sir. Odbiór. Błagam! Puść mnie, zanim eksploduję!

- OK, Knott, nie odchodźcie od telefonu. Odbiór. Koniec. Gaszę radio i czekam, aż puści wyjątkowo silny skurcz.

Shutzer zbiera papierki z definicjami. Moja brzmiałaby: „najbliższa krawędź zamrożonej gwiazdy”. Rozpinam bluzę, pas, górne guziki spodni. Spod lamowania hełmu leżącego obok na materacu wysupłuję kawałek papieru toaletowego. Potem podnoszę się ostrożnie i sunę w kierunku schodów, zgięty wpół, lewą ręką podtrzymując portki. Udaje mi się wejść na górę, gdzie muszę chwilę odstać, bo znów łapie mnie przeraźliwie silny skurcz. Trzymam aż do chwili spuszczenia spodni i wpasowania tyłka w miskę klozetową. Siadam z

głową między kolanami i puszczam zawory. Za każdym razem wydaje mi się, że jak już pozbędę się wszystkiego, cokolwiek to jest, będzie w porządku, ale to się nigdy nie sprawdza. Nie ciągnie mnie specjalnie na izbę chorych, ale będę się tam musiał zgłosić po powrocie.

Schodzę z kibla w sam raz na pierwszy telefon Gordona. Żadnych rewelacji. Następny dzwoni Mundy. Gra w PANTRANT już się skończyła i wszyscy nadrabiają brak snu. Proszę Ojca, żeby uważał na następny telefon i idę na górę odwiedzić Wilkinsa.

Drzwi na strych są otwarte: z korytarza widzę światło lampy naftowej. Matka siedzi na podłodze w otoczeniu co najmniej piętnastu obrazów w złożonych ramach. Nie odwraca się na moje wejście. Siadam przy nim na podłodze.

- Popatrz, Wont. Popatrz na te obrazy. Nawet nie są specjalnie dobre, ale co za przyjemność na nie patrzeć. Czuję spokój i skupienie człowieka, który poświęcił swój czas, żeby się czemuś przyjrzeć, a potem postarał się, żebym i ja to zobaczył razem z nim. To jest właśnie miłość, Wont. Chwilami nie wierzę, że gdzieś tam zostały jeszcze choćby resztki miłości. Dzięki tym obrazom cieszę się, że jestem człowiekiem.

Patrzę na obrazy. Są to w większości pejzaże leśne, sosny i śnieg, albo ukwiecone łąki wiosną. Dwa przedstawiają sarny skubiące liście albo spoglądające w górę, jak te, które sam widziałem. Są też wizerunki garnków i patelni; na jednym obrazie widnieją warzywa wysypujące się z kosza. Przyszedłem tu tylko w trosce o Matkę siedzącego samotnie po ciemku, ale czuję, że już wciągam się w klimat razem z nim.

Do tej chwili wszelki mój kontakt ze sztuką ograniczał się do rysowania. W gimnazjum nie miałem lekcji rysunków; wszyscy pchali mnie do matematyki i nauk ścisłych, trygonometrii i trygonometrii przestrzennej, geometrii euklidesowej i analitycznej; brałem nawet specjalne kursy w Drexel Institute. Nie było to szczególnie trudne, ale i niezbyt zabawne: zwyczajna dodatkowa robota, poznawanie nowych gier, sztuczek dla bezmózgowców, krótko mówiąc - przygotowania do codziennego wiązania końca z końcem.

Ale rysowanie i tak zawsze było moją sekretną pasją. Rysowałem na czym popadło, chowałem rysunki gdzie popadło, miałem ich pełno w teczce, w zeszytach, nawet w podręcznikach między kartkami. Moja nieszczęsna matka raz na parę miesięcy wpadała w szal porządków i wyrzucała stosy gryzmołów ze wszystkich szuflad i szafek w moim pokoju. Nie miałem jej tego za złe: dla mnie ważne było rysowanie, a nie rysunki.

Latałem, owszem, do muzeum sztuki na Parkway w Filadelfii, ale nie patrzyłem tam nigdy na obrazy. Tak jak innych chłopaków, interesowało mnie wyłącznie odkrywanie tajnych drzwi i przejść w obitych boazerią salach i straszenie się w podziemiach mumiami egipskimi podczas zabawy w chowanego.

Trudno uwierzyć w człowieka, który dorósł do dziewiętnastego roku życia i nigdy nawet nie spojrzął na obraz, nie mówiąc już o studiowaniu go. A ja byłem właśnie takim człowiekiem. Szok odkrycia malarstwa był przemożny.

Może to tylko dlatego, że byłem zgnojony, przestraszony, a rzeczywistość wokół mnie absolutnie nie nadawała się do przyjęcia. Nigdy nie poznam wszystkich powodów, dość że te intymne odbicia innego świata, innego czasu, przez umysł inny niż mój, wywarły niewiarygodnie silny wpływ, docierając w najgłębsze pokłady mojej psychiki. Zmieniły moje życie. Tam właśnie, kiedy we dwóch z Wilkinsem szeptaliśmy razem głosami kochanków po akcie miłosnym, doświadczyłem po raz pierwszy przeżycia estetycznego. Niejasno objawił mi się sens życia. Od tamtej pory byłem innym człowiekiem.

Znacznie później sprowadzam Matkę na dół. Przystał na propozycję podzielenia zawartości strychu na trzy kategorie. Pierwsza: to, co można spalić nie popełniając większego świętokradztwa. Druga: to, co można spalić w ostateczności, ale lepiej nie. I trzecia: to, czego pod żadnym pozorem nie wolno nam spalić, czego należy strzec nawet za cenę życia, jeżeli chcemy zachować jakąkolwiek pozycję w ramach swojego gatunku.

Dochodzi dziesiąta. Przesiedzieliśmy na tym zimnym, ciemnym strychu, w innym świecie, blisko godzinę.

Zwołuję całą drużynę, oprócz Gordona, który pełni wartę. Informuję, że tej nocy wystawiam dwóch wartowników, ale tylko na jednym posterunku, przy moście. Nikt nie zgłasza sprzeciwu. Widać, że żaden z nas nie palił się do siedzenia w pojedynkę po ciemku.

To dobrze, że nie ma różnicy zdań. Inaczej byłbym zmuszony użyć autorytetu zwierzchnika, a tego unikam jak ognia.

Najbliższą wartę przy moście obejmuję ja z Mundym. Tylko dwie godziny, a potem cztery wolne; podzielimy się dyżurem przy telefonie. Można wytrzymać. Bądź co bądź, trwa podobno jakaś wojna, a my w niej, mniej lub bardziej, uczestniczymy.

Ciągle funkcjonuję na zwolnionych obrotach. Oglądanie obrazów trochę mi pomogło, ale i tak czuję się wypompowany, osłabiony. Wskakujemy z Mundym w kombinezony śnieżne: zamaskują nas trochę i ochronią przed kąśliwym wieczornym wiatrem od rzeki. Kombinezony mają kaptury, które można włożyć na hełmy i zawiązać pod brodą. Szkoda tylko, że całość uszyta jest ze sztywnego, szeleszczącego tworzywa i wydaje odgłos stawianych żagli. Jestem chyba jedynym człowiekiem na świecie, który podnosząc żagle na łodzi w słonecznej zatoce w Venice, stan Kalifornia, myśli o śniegu, mrozie i strachu.

Wyszędłszy na dwór, stwierdzamy, że śnieg już się wypadał, a niebo się przejaśnia. Jest prawie pełnia, chmury gnają po niebie wielkimi stadami. Schodząc do mostu widzimy cienie

chmur przetaczające się po drzewach i śniegu. Gordon żąda hasła i po chwili stoimy we trzech pod murem.

- Jak tam dzisiejsze hałasy, Mel? Sowy, Indianie, elfy?

- Cisza. Tylko ten niesamowity, potępieńczy wiatr świszczę między drzewami, jak tło dźwiękowe do Frankensteina. A zobaczycie - jak księżyc zacznie nurkować za chmury i z powrotem, będzie jak w kolejce w lunaparku jadącej przez perforowany tunel.

Gordon zabiera z muru swoje granaty. Widząc to, gratuluję sobie, że zdecydowaliśmy się na warty dwuosobowe. Gordon rusza: pod górę, Mundy opiera się o mur, zgarbiony, ramiona do przodu. Stawiam karabin pod murem i zacieśniam wiązania kaptura. Mel wystawił telefon na grzbiet muru. Zdejmuję go z powrotem na ziemię. To posterunek warty, a nie poczekalnia u doktora. Widzę, że Mel utoczył też sobie sporą kulę do siedzenia. Krótka mówiąc: przygotował się do przyjmowania pacjentów. Mundy przeskakuje przez mur i zasiada w fotelu ze śniegu. Toczę drugie siedzenie, dla siebie. Shutzer miał rację: idealny śnieg na bałwany. Kula jest gotowa w parę minut. Siedzimy na śnieżnych kulach, jak na dwóch sąsiadujących kiblach w klozecie. Nie wiem jak Mundy, aleja nie mam ochoty na gadanie. Znosi się na długie dwie godziny. Jeżeli Mundy jeszcze raz podejmie krucjatę dla ratowania mojej grzesznej duszy, każę mu się wypchać. Chcę jeszcze trochę pomyśleć o tamtych obrazach.

Telefonowaliśmy właśnie pierwszy raz, o dziesiątej trzydzięci. Nagle wydaje mi się, że słyszę jakiś ruch po drugiej stronie drogi! Odrzucam kaptur na plecy i ściągam hełm. Odczepiam z kieszeni granaty i układam je na murze. Mundy robi to samo.

Nie wiem, czy i on coś usłyszał, ale za to on wie na pewno, że ja słyszałem.

Księżyc właśnie jasno zaświecił. Wyteżamy wzrok, ale niczego nie widać. Za to słyhać wyraźnie: co do tego nie ma żadnych wątpliwości. Coś się rusza w krzakach, tuż za pierwszą linią drzew po tamtej stronie drogi, niecałe czterdzieści jardów od nas!

Nie wiem, czy dzwonić do pałacu, czy nie. Boję się, że to coś, co tam jest, może mnie usłyszeć: jest tak blisko! Sądząc po odgłosach, musi to być coś dużego, tak dużego, że podejrzewam raczej zwierzę niż człowieka. Na chwilę zapada cisza. Następnie dobiega nas nieomylny odgłos kopania ziemi. Słyhać szuranie stóp i sapanie. Bez wątplenia ludzkie. Czekamy w napięciu. Nakręcanie tego cholernego telefonu robi straszny jazgot; zdejmuję słuchawkę z haczyka, żeby chłopcy nie mogli zadzwonić do nas. Możliwe, że zanoszą się na „sygnał Millera”: strzały i wrzask. Czekamy.

Nagle dochodzą nas głosy, donośne szepty ze świszczącym „s” w wygłosie. Księżyc zachodzi za ciemną, gęstą chmurę, cienie drzew kłaniają się przed napierającą ciemnością.

Zapadł głęboki mrok; tylko śnieg połyskuje na ziemi, wszystko poza tym jest niewidoczne, czarne. Obaj wstrzymujemy oddech, żeby nie uronić ani jednego dźwięku. Widzę coś na drodze, jestem pewien, coś stoi na sztorc w ciemnościach. Znów dobiegają nas głosy. Czekamy.

I wtedy, tuż przed wynurzeniem się księżyc z za chmury, rozlega się pojedynczy głos, donośniejszy, prawie krzyk, a po nim gwałtowne szelesty i stłumione śniegiem trzaski szyszek i gałęzi pod czyimiś nogami. Księżyc wyłania się z za chmury i obiekt na drodze ukazuje nam się w całej okazałości.

Jest to niemiecki żołnierz, z wycelowanym prosto w nas karabinem na ramieniu! Padamy plackiem na ziemię. Nic się nie dzieje! Sięgam ręką po granat leżący na murze i wyciągam zawleczkę. Ciskam granat łukiem poprzez mur i odliczam. Wstrząs, błysk, grad odłamków, saletrzany smród.

Ktoś się śmieje!

Patrzymy po sobie z Mundym. Powoli, ostrożnie, wychylamy głowy ponad mur. Żołnierz dalej stoi gdzie stał, celując w nas z karabinu. Chowamy głowy. Co tu robić, cholera? Może to jednak są nadludzie? Facet powinien być nafaszerowany odłamkami, a nawet nie drgnął.

Znów zapuszczam żurawia nad mur. Słyszę, że ktoś - ale nie tamten żołnierz, tylko ktoś schowany za drzewami po tamtej stronie drogi - próbuje powstrzymać się od śmiechu. Za chwilę rozlega się wrzask. Z początku wrzeszczy jeden głos, potem co najmniej trzy:

- KIT LE FUJ! KIT LE FUJ! KIT LE FUJ!

I znowu śmiech. Biorę za telefon i kręcę do pałacu. W tych wrzaskach i jazgocie nikt nie zwróci uwagi na jeden głupi telefon. Odbiera Shutzer.

- Hej tam, Won't! Co się u was dzieje?

- Sam nie wiem, Stan. Może straszy nas wilkołak, a może gdzieś w pobliżu jest dom wariatów dla kompletnie zbzikowanych niemieckich weteranów i paru nawiało? Ten hałas, co słyszałeś, to był mój granat.

Z przeciwnej strony drogi dalej dobiegają krzyki, teraz już wrzeszczą chórem, jak kibice na meczu:

- KIT LE FUJ! KIT LE FUUUUUJ!

Na chwilę wystawiam słuchawkę ponad mur.

- Słyszysz? Stan?

- Słyszę, słyszę, nawet bez telefonu. Co oni tam wrzeszczą?

- Nie uwierzysz, Stan. Wydaje mi się, że krzyczą „Hitler chuj, HITLER CHUJ” - tak jak by to wymawiała twoja babcia, zakładając, rzecz jasna, że takie słowa w ogóle przeszłyby jej przez gardło.

- Tramwaj w oku!

- Poważnie, Stan. Nie wiem, co robić.

- Chcesz, żebyśmy spadli na dół jak sępy, Wzgórze San Juan, Szarża Lekkiej Brygady, coś w tym stylu?

- To by nam chyba nie wyszło na dobre. Na razie, poza tymi wrzaskami, nic złego się nie dzieje. Jeszcze tylko na samym środku drogi stoi facet, który udaje, że granat nic nie boli. Przydałoby się raczej kilka kaftanów bezpieczeństwa. Jakby się nie udało wcisnąć ich na Niemców, włożylibyśmy sami. To czyste wariactwo!

I wtedy! Granat szybuje ponad murem i ląduje tuż obok Mundy'ego. Rzucam telefon i padam na ziemię. Wtedy dopiero widzę, że to nie żaden granat, tylko śnieżna pacyna z wbitym na sztorc patykiem. Gramolę się do pozycji siedzącej, szorując plecami o mur i rozplątuję kabel telefonu.

- Stan, to już przesada. Oni teraz bawią się z nami w śnieżki, jak Boga kocham.

Patrzę na Mundy'ego: nie słucha, podniósł fałszywy granat i ogląda go z uwagą. Wyciąga patyk, utwardza kulę w rękach i ciska ją z powrotem przez mur na drugą stronę drogi.

- Poczekaj chwilę, Stan, zadzwonię jeszcze raz. Gdybyś usłyszał odgłosy bojowe, niech Miller grzeje jeepy i dawajcie nogę!

Oczywiście, tak jak się należało spodziewać, w parę sekund później bombardują nas kolejne kule śniegu, tym razem bez patyków. Mundy nauczył Niemców, jak się robi porządne amerykańskie piguły bez uchwytu. Z każdą kulą częstują nas okrzykiem KIT LE FUJ!

Mundy'ego całkiem pochłonęło zbieranie z ziemi pigułek, utwardzanie ich i odrzucanie z powrotem. Nawet ja ciskam parę razy. Nie widzimy Niemców; nie mam zamiaru wystawiać głowy ponad mur.

Stoję skulony i większość kul wyrzucam od dołu. Za to Mundy wyprostował się jakby nigdy nic i serwuje z góry, celując na drugą stronę drogi, między drzewa. Oni rzucają swoje łobem prosto w nas. Muszę przyznać, że wojna na kule śnieżne jeszcze nikomu krzywdy nie zrobiła. Kucam ponownie przy telefonie i kręcę.

- Shutzer?

- Tak, Won't? Jesteśmy gotowi. Rzeknij tylko słowo, a Miller popruje na dół jeepem, z Gordonem przy pięćdziesiątce. Reszta za nimi.

- Kiedy my się tutaj obrzucamy śniegiem!

- Co takiego?

- Stan, posłuchaj, a może wojna się skończyła i tylko my nic o tym nie wiemy? Niedawno gadałem z Ware'em: mówił dziwnie. Chyba by nam tego nie zrobili, żeby skończyć wojnę i

zatrzymać tę wiadomość dla siebie, co? Jak myślisz?

- Na pewno nie potrzebujecie pomocy? Mel przekradł się po grani do połowy stoku. Mówi, że przy moście stoi chyba strach na wróble w szwabskim mundurze. Pewności nie ma, ale mówi, że na to mu wygląda.

- Strach na wróble! A niech cię diabli, Shutzer, to ty zacząłeś te gówniane KITLEFUJE: teraz mamy kule śnieżne i strachy na wróble. Dlaczego ty po prostu nie weźmiesz tej zakichanej wojny na siebie, a nas nie rozpuścisz do domów?

Kończę rozmowę i prostuję plecy, żeby się dobrze rozejrzeć. Szczerze mówiąc, w tej chwili boję się tylko, że mi ktoś przyłoży pigułą w twarz.

Rzeczywiście, to jest strach na wróble. A tym, co braliśmy za karabin, jest patyk z powiewającym na końcu skrawkiem papieru. Kątem oka rejestruję ruch: ktoś wychodzi z lasu na drogę. Wymachuje obiema rękami. Stoi dosyć daleko i po ciemku nie widzę jego twarzy, ale to na pewno nie jest ten podobny do Maxa. Śmieje się. Schmeisser zwisa mu do góry nogami z lewego ramienia.

- Schlaf gut, ami!

Macha jeszcze raz i wolno oddala się z powrotem w las.

- Slaff good, szwaby.

To Mundy: stoi koło mnie i młynkuje obiema łapami. Słyszymy, jak poszycie trzeszczy pod nogami Niemców pnących się pod górę po tamtej stronie drogi.

Bebechy powoli mi się rozsypują. Nachylam się, podnoszę telefon, kręcę. Opieram się o mur, przytrzymując telefon między łokciami. Od stóp do głów jestem złany potem. Możliwe, że to częściowo od walki na śnieżki, ale głównie chyba z czystego strachu. Ciuchy przesiąkły potem tchórza. Zaraz wyschną i tyle. Wszyscy równo śmierdzimy, więc nie ma sensu prac. Znowu zgłasza się Shutzer.

- Co nowego, Won't? Bierzecie się do budowy zamków ze śniegu? Niemieckich zamków na Renie, z niejaką poprawką geograficzną?

- Odwal się, Stan, to przecież twoja wojna. Ja ją tylko relacjonuję - tak czy nie? Życzyliśmy sobie dobrej nocy, pełny Wersal. Możesz iść lulu, wszystko załatwione. Zdaje się, że moglibyśmy zakończyć tę wojnę na własną rękę, tutaj, w tym lesie. Wprowadzimy się wszyscy razem do pałacu i będziemy go bronić przed wariatami, którzy lubią wojnę. Albo ogłosimy neutralność.

- Na pewno niczego wam nie trzeba? Gordon zaprzął do pracy swój intuicyjny mózg humanisty. W połączeniu z analitycznym podejściem Millera, stanowią śmiertelną broń przeciwko problemom nierozwiązywalnym. Ale nie doszło do żadnych sensownych

rozstrzygnąć. Jedyna pewna i smutna rzecz zarazem to to, że żaden z nich nie sądzi, żeby wojna mogła się skończyć. Może zabrakło twojego artystycznego podejścia do tematu.

- Jeszcze nad tym pomyślę.

- Dobra. Kit le fuj.

Mija następne dziesięć minut wypełnionych wgapianiem się w mrok z nadzieją, że niczego tam nie zobaczymy, po czym decyduję się podkraść korytem rzeki do stracha na wróble.

Cały czas uważam na miny. Skradam się bokiem aż do samej kukły. Niemcy sporządzili własną wersję Adolfa Hitlera. A więc to o to był ten wielki szum! Strach na wróble został wystrojony w złachany mundur. Głowę ma z solidnych rozmiarów kuli śnieżnej, przybranej szyszkami i igłami sosnowymi na wzór głowy bałwana Shutzerza, którą znamy z opisu autora. Kto wie, czy to w ogóle nie ta sama głowa. Na końcu kija tworzącego ramiona powiewa nasza mapa. U stóp stracha leży lorneta.

Gramolę się na drogę i macham do Mundy'ego. Dostrzega mnie i kiwa ręką w odpowiedzi. To kretyn, nawet nie trzyma karabinu w pogotowiu, żeby mnie w razie czego osłaniać. Ściągam mapę z patyka i podnoszę lornetę. Potem kilkoma susami przesadzam drogę i skaczę przez mur. Chwytam Mundy'ego za nadgarstek i patrzę mu na zegarek: jedenasta trzydzieści, pora na telefon. Tym razem odbiera Gordon.

- Mel, powiedz Shutzerowi, że odzyskaliśmy lornetę i mapę, możemy zapomnieć o raporcie.

- Shutzer siedzi w kiblu. Jak oni to zrobili? Przyszli i wręczyli wam te rzeczy jako prezenty gwiazdkowe, w paczuszkach obwiązanych wstążeczkami?

- Rzeczy miał przy sobie strach na wróble. A propos, ten strach to coś w sam raz dla Shutzerza: niemiecka wersja wielkiego Wodza. Jak ty myślisz, Mel, co tu jest grane? Nic nie kapuję.

- Osobiście wykluczam możliwość, że wojna się skończyła albo niebawem skończy, ale nie będę ukrywał, że taką właśnie mam nadzieję.

- To by dopiero był prezent pod choinkę, no nie? Koniec, chłopaki, Noel, No Heli, Piekła Nie Ma, hulaj dusza, wio do domu! Muszę powiedzieć, że to miejsce tutaj jest dość niesamowite.

- A dla mnie bomba, Wont. Masz pełny zestaw gwiazdkowy: tysiące choinek, śnieg, szyszki, ogień na kominku, ożywiona krzątanina - czego byś jeszcze chciał?

- Wolałbym na przykład małą podeschłą jodełkę ustawioną na podłodze w salonie, ze sztucznymi soplami i anielskim włosiem, pod spód biały papier udający śnieg, dookoła posuwa

dziecinna kolejka, na choince parę lampek i błyszczących bombek w różnych kolorach. Co ty na to?

- Straszliwa komercja, za grosz bożenarodzeniowego klimatu. A co na to nasz doradca duchowy, czcigodny Ojciec Mundy? Chyba pierwszy raz w życiu opuści Pasterkę. Nie dałoby się go przetransportować samolotem do domu, panie sierzancie?

- Nic się nie martw, dla Mundy'ego sam coś wymyślę. Pamiętam cały łaciński tekst liturgii. Odprawię Pasterkę osobiście, z winem w manierce i garścią sucharów. Liczy się przecież tylko duch, prawda, Mundy?

Mundy uśmiecha się i kręci głową. Nadal dręczy go upokorzenie.

Kończę rozmowę i czekam, aż prześlimaczy się kolejne pół godziny. Wdajemy się z Ojcem w pseudorozmowę o najprzyjemniejszych świętach Bożego Narodzenia, jakie pamiętamy. Ojciec mówi, że do dwunastego roku życia wierzył w Świętego Mikołaja: lał chłopaków w szkole, żeby im dowieść, że Święty Mikołaj istnieje. Robi mi się głupio, że mu tak napyskowałem, kiedy rozmawialiśmy o wierze: naprawdę nie wiedziałem, jak blisko jestem prawdy. Mam nadzieję, że człowiek w końcu kiedyś wyrasta z takiego bezdusznego, mimowolnego okrucieństwa.

O północy widzimy nadchodzących Wilkinsa i Shutzera. Mundy prostuje się, wyciąga łapy do góry i wrzeszczy: WE - SO - ŁYCH - ŚWIĄT!

Matka, pouszczelniany ze wszystkich stron skrawkami koca, patrzy na niego ze zdumieniem:

- Coś ty, Paul, przecież to jeszcze chyba nie Boże Narodzenie? Nie opowiadaj takich rzeczy.

Mundy klaszcze w postrzępione rękawice i przytupuje nogami.

- Lada dzień, Vance, lada dzień. Odsuwa mankiet bluzy i patrzy na zegarek:

- Z dokładnością do jednego tygodnia.

Shutzer opiera karabin o mur. Wygląda jak psu z gardła: nic dziwnego, po tych wariackich wycieczkach i zabawach w śniegu.

- Nie spierajmy się za bardzo, co, Mundy? Wilkinsowi kapie z nosa. Oczy mu łzawią, wyciera nos w osłonięte rękawicą palce. Nie wiem, czy wytrzyma te dwie godziny. Shutzer będzie miał na niego oko: gdyby Matka nie wyrabiał, ktoś z nas zejdzie go zmienić. W tych ciemnościach, na zimnie, Matka wydaje się straszliwie kruchy, prawie niewidoczny. Stan przytupuje w miejscu.

- Cycki z masłem, ale mróz! Lećcie, chłopaki, na górę, tam jest ciepło. Jak byście zobaczyli, że rzucamy granatami, pamiętajcie, że to tylko dla rozgrzewki.

Śnieg chwilowo nie pada, a księżyc zniżył się tuż nad wierzchołki sosen. Cholerny wietrzyk znowu duje, wzniesając wiry sypkiego śniegu. Maszerujemy z Mundy na górę. Nie mam skrętu kiszek i nabieram nadziei, że trochę odeśpię.

Miller i Gordon czekają na nas z gorącą kawą i zupą, którą upiechcił Matka. Siorbię zupę, czując, jak ciepły płyn stopniowo rozjaśnia mi wnętrze i przywraca życie. Zupa na pewno i tak przeleci przeze mnie w trymiga, ale jest tego warta. Wilkins powrzucał do niej resztki gulaszu i fasoli; czuję nawet jakby smak sardynek. Z opisu może to zakrawać na dość szatańską kombinację, ale smakuje nieźle, zwłaszcza po dwóch godzinach sterczenia na śniegu.

Miller domaga się szczegółów bitwy śnieżnej. Pozostawiam opowieść Mundy'emu: ja się wyłączam.

- Bombardowali was pigułami bez żadnego powodu?
- Dokładnie tak.
- Jesteś tego pewien, Mundy? Może wyście to wszystko zmyślili?
- Jak słowo daję, Bud, jak Boga kocham.

Mundy żegna się przy tym znakiem krzyża. Miller mimo wszystko nie parska śmiechem.

Zzuwam buty i ostrożnie wślizguję się w pierdziworek, głową do ognia. Stopy mi zdrętwiały, czuję w nich mrowienie. Chcę tylko jednego: spać przez trzy albo cztery godziny bez przerwy. Ta obłądna sytuacja męczy mnie bardziej niż autentyczna walka pod ostrzałem. W głowie mam mętlik, nerwy w strzępach. Nigdy nie umiałem radzić sobie z tym, czego nie rozumiem.

Słucham rozmowy, którą prowadzą Miller, Gordon i Mundy. Ostatnią rzeczą, która dociera do mojej świadomości, jest obraz Ojca dokładającego do ognia. Już mnie nawet nie obchodzi, co puszczamy z dymem, chociaż dobrze widzę, że to nie może pochodzić ze stajni. Nie ma już we mnie za grosz oporu.

Shutzer budzi mnie szarpaniem za ramię. Jest szósta rano. Przespałem bite sześć godzin. Ktoś wziął za mnie wartę o czwartej. W pierwszej chwili myślę, że to Mundy zawzięcie pracuje na miano męczennika, ale okazuje się, że to Matka. Ja się tu martwię, czy on wytrzyma, a ten spokojnie odwała dwie warty pod rząd, i to jedną za mnie. Ciekawe, czy już wszyscy widzą, jaki jestem roztelepany.

Następne dwie godziny przypadają Shutzerowi i mnie. Straciłem wszelką rachubę. Już nie wiem, kiedy Shutzer pełnił ostatnią wartę, ale nie wygląda na zmęczonego. Zbieramy granaty, pasy z nabojami i karabiny i ruszamy na dół. Nadał jest ciemno choć oko wykol, a temperatura chyba jeszcze spadła. W taki mróz niewielka jest szansa na to, żeby spadł śnieg.

W powietrzu unosi się coś z klimatu dni, kiedy brnęło się przez śnieg na pierwszą mszę

w dzień Bożego Narodzenia. Przemykaliśmy się koło choinki, nie patrząc na nią, tylko wdychając zapach igliwia i kątem oka rejestrując płonące światełka: całą przyjemność odkładało się na po powrocie z kościoła. Dzisiejszy ranek ma w sobie ten sam posmak dnia, który dopiero się wydarzy. Nic namacalnego, tylko wrażenie pełnego napięcia oczekiwania i nieuchronności tego, co będzie. Mel chyba ma rację: jesteśmy tak blisko Bożego Narodzenia, jak to tylko możliwe w środku wojny.

Któregoś roku dostałem na Gwiazdkę rower, nowiutki, kupiony u Searsa Roebucka, z balonowymi oponami, błyszczący czerwonym lakierem i lśniący chromem jak żaden inny pojazd na świecie. Wtedy też padał śnieg. Po mszy sprowadziłem rower po ośnieżonych stopniach ganku. Jeździłem nim po uśpionej, ciemnej ulicy, między szeregowymi domami, a z góry sypał na mnie śnieg. Nigdy przedtem nie jeździłem na dwukołowym rowerze, ale opanowałem go natychmiast, z czystej euforii. Nagle stwierdziłem, że nie mogę się zatrzymać: rower miał hamulec na tylne koło, a ja nie wiedziałem, jak się go używa. Tata wyszedł na dwór i stanął mi na drodze: wjechałem mu przednim kołem między nogi, on złapał kierownicę i tak mnie zatrzymał.

- Won't, możesz mi pokazać mapę? Masz ją przy sobie? Sięgam pod bluzę i wyciągam mapę.

Przemokła od śniegu, ale po sześciu godzinach na mojej piersi, w śpiworze, blisko ognia, jest prawie sucha. Jestem taki zmęczony, że nawet się nie zastanawiam, czego Stan może chcieć od mapy stojąc na warcie.

Stan chowa się za murek i zapala kilka zapalek, jedną po drugiej. Czego on tam wypatruje? Przecież wiadomo, gdzie jesteśmy, przynajmniej z grubsza. Podnosi się z ogniem w oczach.

- Patrz, Won't! Tak ja myślałem! Zastanawiałem się nad idiotyzmami, na które się natykamy od spotkania z chodzącymi trupami, i znajduję dla nich tylko jedno sensowne wyjaśnienie.

Kuca i zapala jeszcze jedną zapalkę. Kulę się razem z nim. Shutzer wskazuje jakieś znaczki na mapie. Znaczki są porobione ciemnym ołówkiem, 4B, albo jeszcze miększym. To jakiś napis, litery stoją bardzo gęsto, chyba po niemiecku. Jest tego ze cztery linijki, na odwrocie mapy. Shutzer zapala kolejną zapalkę. Wiedzie palcem wzdłuż napisu.

- Pierwsza część jest łatwa. Pytają, czy któryś z nas mówi po niemiecku. To nie problem. Ale dalej jest jeszcze coś: wygląda jak liczba i jakieś słowo - SAND KARTE albo L.ANDKARTE. Te cholerne szkopy piszą takie spiczaste litery.

Zapalka gaśnie. Rozglądam się, czy w pobliżu nie stoi jakiś Niemiec, który pomógłby

nam rozszyfrować napisy. Shutzer już zaświecił nową zapalną. Chyba go poproszę, żeby mi parę pożyczył: ma ich, zdaje się, pełne kieszenie. Odwraca mapę na właściwą stronę. Zapala jeszcze jedną zapalną i przesuwa ją nad powierzchnią mapy. Zatrzymuje rękę z zapalną i zbliża twarz do mapy akurat w chwili, kiedy zapalną gaśnie. Prostuje się i patrzy na mnie.

- Niech ja skonam. Koło szopy nad rzeczką jest znak X i liczba dwanaście zero zero. Niech skonam.

- Myślisz, że zakopali tam skarb? Będziemy się teraz bawić w poszukiwaczy skarbów? O co tu chodzi tym razem, Stan? Dlaczego my się stąd po prostu nie zmyjemy i nie zostawimy całego lasu tym szajbusom?

- Coś ty, Won't. Mnie się zdaje, że co najmniej jeden z tych szwabów chce się poddać, a może nawet cała banda.

- Nie wydziczaj się, Stan. I bez tego jest dość cyrku.

- Mówię poważnie. Zaczniemy od początku. Po pierwsze, ten zamazany wojak, którego Wilkins położył trupem. Założmy, że miał on pełnić to samo zadanie, co strach na wróble, z kawałkiem papieru na końcu lufy w charakterze białej flagi. Pamiętaj, że na ziemi koło trupa leżała kartka papieru.

- Słuchaj no, Shutzer, w tym zespole ja jestem specjalistą od spraw sztuki i wyobraźni. Ty jesteś od handlu. Pisać i ilustrować bajki będę ja.

- Nie zapominaj, Won't, że ostatnio przekwalifikowałem się na rzeźbiarza. Zapoczątkowałem nawet nowy trend w sztuce - widzisz, jak szkopy naśladowują moje dzieło? Więc jeżeli się nie mylę, to te dwa szczone nieboszczyki w mundurach - Amerykanin i szop. - też miały nam coś zakomunikować: to mianowicie, że oni chcą się z nami zjednoczyć. Dostę chamska metoda, przyznaję, ale pamiętaj, z jaką mentalnością mamy do czynienia. Trupy to dla tych skurwysynów to samo, co lalki dla dzieci.

- W porządku, słucham dalej.

- Dalej wyskakują z tym „Schlaf gut”, wczoraj w nocy, żeby nam dać do zrozumienia, że wiedzą, że tu jesteśmy, i nie mają nic przeciwko temu, zgadza się?

- Doskonale, Stan. Tylko kiedy zjawi się drwal i uratuje Śnieżkę przed złym wilkiem, który chce pożreć jej serce?

- Ja cały czas mówię poważnie, idioto. Słuchaj. Potrafisz wymyślić inny powód, dla którego nas nie wykosili albo przynajmniej nie wzięli do niewoli tam, na wzgórzu? Cały czas dają nam do zrozumienia, że chcą pertraktować. Nie widzisz tego?

Powoli zaczynam widzieć. Shutzer ma rację: tylko taka interpretacja wyjaśniałaby wszystko.

- W takim razie, Stan, to całe KIT LE FUJ jest z tej samej opery: zrobili stracha na wróble na drodze, żeby nam pokazać, że popierają braterskie przesłanie, które im zostawiłeś na wzgórzu.

- Tak jest. Wszystko pasuje. A teraz, jeżeli mam rację, chcą, żebyśmy się z nimi spotkali koło tej szopy, czy tam stodoły, którą sprawdzaliśmy na patrolu. Patrz!

Garbi się nad mapą, a ja z nim. Zapala kolejną zapalną. Ma ich chyba jeszcze z pięćdziesiąt, i to tylko w tym jednym pudełku. Nie pamiętam, czy racje oficerskie zawierają zapalną. Może Shutzer ma je właśnie stamtąd.

- Patrz. Tutaj. Znak X i liczba dwanaście zero zero. To nie może znaczyć nic innego.

Zapalną gaśnie, prostujemy się. Niebo rozwidnia się niemrawo.

- Ja cię kręcę, Stan, Ale to może być pułapka. Powiem ci, że nie mam przesadnego zaufania do Niemców.

- Teraz ty włączysz w moją działkę, Won't. Twórcze podejście to twoja specjalność, ale od nienawiści do szkopów jestem tutaj ja. Nie zapominaj o tym. A zresztą, jak zgarniemy tę bandę, też nie będzie źle.

- Mam pietra, Stan. Nie możemy ryzykować drużyną na podstawie takiego wariackiego założenia.

- Słuchaj! Przecież gdyby oni nas chcieli zabić, mogli to z łatwością zrobić wczoraj. Albo dzisiaj w nocy, jak rzuciłeś granatem. Skoro mogli rzucać kulami ze śniegu, co by im szkodziło użyć w zamian granatów ręcznych?

- Może to są po prostu równe chłopaki, Stan. Może nie wszyscy Niemcy są źli.

- Chryste Panie, gędzisz jak Mundy!

- Dobra, wspomnę o twojej propozycji przy okazji meldunku. Ware nam powie, co robić.

- Najpierw się sami zastanówmy, co? Po co jakiś oficer ma nam spieprzyć sprawę? Może jak chwilę pogłównujemy, okaże się, że wszyscy mogą na tym skorzystać.

- Co proponujesz? Żebyśmy równocześnie poddali się sobie nawzajem i na zmianę odbyli uroczyste defilady jeńców? To brzmi jak zagadka o lisie, kurze i ziarnie.

Shutzer zapala dwa papierosy od jednej zapalną: oszczędza. Według skali Gordona, cała drużyna schodzi na psy. Napięcie wszystkim daje się we znaki. Przysięgłbym, że w ciszy dobiega mnie głos skrzypiec. Brzmi jak muzyka sfer niebieskich. Zdejmuję hełm i nadstawiam ucha w różne strony, chcąc zlokalizować źródło dźwięku. Chwilami wydaje się on dobiegać z wierzchołków drzew. Waham się, czy powiedzieć o tym Stanowi: pomyśli, że całkiem zbzikowałem.

- To tylko Gordon, Won't. Matka znalazł w tych śmieciach na górze skrzypce, w ręcznie

rzeźbionym drewnianym futerał. Gordon, jak otworzył ten futerał, mało nie padł na kolana i nie zaczął wznosić modłów w stronę Mekki. Mówi, że w życiu nie oglądał piękniejszych skrzypiec i że nie jest godzien na nich grać. Odbyliśmy, jak spałeś, wnikliwą dyskusję na ten temat: tłumaczyłem mu, że przedmioty nie mają pamięci i że tym skrzypcom jest wszystko jedno, czy Gordon będzie na nich grał, czy nie - nawet ja mógłbym na nich zagrać. Gordon twierdzi, że na dobrych skrzypcach powinien grać tylko wirtuoz, bo inaczej coś się robi z pudłem rezonansowym, czy ze strunami, nie pamiętam. Ciekawe, czy w końcu doszedł do wniosku, że skrzypce nie są aż takie świetne, jak z początku myślał, albo że on nie jest takim kiepskim grajkiem, jak mu się zdawało.

Nie wkładam hełmu. Stoimy, słuchamy, nie odzywamy się. Malarstwo, koncerty skrzypcowe - prowadzimy tu wysoce kulturalny styl życia. Może istotnie mamy do czynienia z bandą porządnych Niemców, którzy chcą zawrzeć z nami pokój. Teraz już we wszystko jestem skłonny uwierzyć.

- Won't, a może byśmy tam poszli we dwóch, tak tylko, sprawdzić, co jest grane? Będziemy bardzo uważać, tylko my dwaj. Ryzyko biorę na siebie, ty tylko ustawisz się na grani, w tamtym miejscu, gdzie wtedy zesłaliśmy, i będziesz mnie osłaniał. Co nam szkodzi sprawdzić? A jak tam siedzi banda zasrańców, którzy tylko marzą o tym, żeby się poddać? Co ty na to?

- Powinienem najpierw zameldować Ware'owi. Powiedzieć mu przynajmniej tyle, że mamy szansę wziąć jeńców.

- A co Ware wtedy zrobi, jak sądzisz?

- Pewnie powie Love'owi...

- A wtedy Love spadnie tu na nas jak jastrząb i tak zachachmęci całą sprawę, żeby wyjść na generała Pattona, który w pojedynkę wygrywa całą wojnę. Możliwe nawet, że zmontuje jakiś dęty patrol tygrysów. Nie mam racji?

Wiem, że ma rację. Max Lewis sprawdzał kiedyś most w pojedynkę na okoliczność min i złapali go dwaj Niemcy. Podczas bombardowania obaj mu się poddali. Prowadzę jeńców, Max Lewis przechodził obok kapitana Endersa z batalionu, który zadzwonił z radosnym meldunkiem do dowództwa pułku. Love wskoczył w jeepa, wyjechał im na spotkanie, po czym wparadował do obozu, wiodąc jeńców za szlabanem lewego ramienia. Lewis zarobił trzy dni przy kuchni, ale Brązową Gwiazdę dostał Love.

- Masz rację, Stan, ale tak to już w wojsku jest. Nic na to nie poradzimy. Czekać no, która to godzina? Trzeba dzwonić do chłopaków.

Mamy pięć minut opóźnienia. Kręcę. Odbiera Matka.

- Wszystko w porządku, Wont?

- Jasne, Vance, coraz lepiej. Shutzer dopracowuje szczegóły zawarcia pokoju z Niemcami. Oddaje im Teksas, Missisipi, Luizjanę, Georgię, Alabamę oraz Północną i Południową Karolinę za całe Niemcy, z Francją włącznie.

- Ale poważnie, Wont, co tu się twoim zdaniem dzieje? Może Niemcy wiedzą, że mają nas w saku, i bawią się nami jak kot myszką. W pewnej chwili, jak było tak cicho, zdawało mi się, że słyszę odgłosy ciężkiej artylerii, gdzieś od południa, a nawet z tyłu. Uważasz, że Niemcy mogą szykować atak?

- Nie gorączkuj się, Vance. Jedyłą rzeczą, którą ja słyszałem, było pitolenie Gordona na skrzypcach. Mnie się wydaje, że ta twoja wojna traci parę.

- Daj Boże. Ja już mam dosyć.

- Prześpij się. I żebyś mi więcej nie brał podwójnej warty, ale dzięki za tamto. Teraz idź spać.

- I tak bym nie zasnął. W kółko myślę o tym szaleństwie. Nie mogę przestać.

- No dobrze, Matka, to przynajmniej się wyciągnij i popróbuj. Posłuchaj, jak Gordon gra, i wyobraź sobie, że siedzisz na koncercie z Lindą. Ani się obejrzysz, a będziesz z powrotem w domu. Trochę luzu.

- Dobra. Dzięki. Spróbuję.

Matka znowu spięty. Nie dowcipkuje, nie dostrzega komizmu sytuacji. Ze mną też nie jest najlepiej, ale to co innego. Musimy coś z tym zrobić. Odwieszam słuchawkę. Shutzer dalej wygląda przez mur: jest takim kurduplem, że ledwo sięga łokciami do krawędzi.

- Słuchaj no, Won't. Co powiesz na taki scenariusz: udamy, że to jeden z nas, w pojedynkę, jak sierżant York, pojmał ten cały szwabski gang. Następnie otoczmy go legendą drugiego Audie Murphy'ego. I Srebrna Gwiazda jak nic, a może nawet wyjazd do domu w roli bohatera wojennego, dla podbudowania miejscowego morale. Będzie wygłaszał pogadanki dla młodzieży w szkołach i stanie się ozdobą jakiejś komisji poborowej, strojny w czysty, odprasowany mundur, kapiący medalami. Co ty na to?

- Trąci sądem wojennym.

- Ciekawe, jak się dowiedzą.

- Musielibyśmy mieć rekomendację oficera.

- Ware by nam to załatwił. Możemy go tu nawet ściągnąć, jak już będzie po wszystkim, i przydzielić małą rolę w spektaklu - niech, na przykład, poprowadzi jeepa napakowanego szkopami. Zostaw to mnie, coś wymyślę. Powinniśmy chociaż spróbować, dla dobra Wilkinsa.

- Wilkinsa?

- No jasne, a kogo?

- Chryste Panie, Shutzer, ty masz łeb! Daj pomyśleć. Chłopie, to idealne rozwiązanie. Wszyscy zaświadczyliśmy, że Niemcy mieli nas w saku, a Wilkins spadł na nich jak jastrząb i uratował przedstawienie. Ware ciągle się musi tłumaczyć przed Love'em, dlaczego nie jesteśmy dość agresywni. To mu się spodoba. A poza tym, nie będzie miał wyjścia. Całą drużynę zarzuci kłamstwo, czy co? A jeszcze jak banda autentycznych niemieckich wrogów poprze naszą wersję? Ware słowa nie piśnie. To jest rozwiązanie. Jak słowo honoru.

Shutzer zapala dwa papierosy, dla siebie i dla mnie, znowu od jednej zapalki. Palę i obracam w głowie jego projekt. Shutzer siedzi cicho. Będzie z niego wzorowy szef reklamy albo dyrektor. Wie, kiedy naciskać, a kiedy popuścić.

- OK, Stan. Posłuchaj, co ja wymyśliłem. Powiem Ware'owi, że patrol idzie jeszcze raz sprawdzić szopę, bo dobiegły nas stamtąd jakieś hałasy. Powiem mu nawet, że dzisiaj w nocy Niemcy znowu tu byli.

- Tylko nie mów nic o bałwanie ani o strachu na wróble, ani o bitwie na piguły.

- Pewnie, że nie. Wilkinsowi na razie też nie mówimy, co?

- Nikomu nic nie mówimy, dopóki nie zbierzemy więcej danych. Może na przykład ja się myślę i oni wcale nie chcą się poddawać. Może to ty masz rację, że w ten podstępny, barokowy sposób chcą wziąć nas do niewoli, tak żeby było przy tym jak najmniej szumu.

- Jezu, Shutzer! Ja się zaczynam przekonywać do twojej koncepcji, a ty zaczynasz od nowa!

- Sorry, chciałem tylko, żebyśmy mieli jasność sytuacji. Idziemy tylko we dwóch. Jak się nie uda, będzie, że chociaż próbowaliśmy. Przecież inaczej żadna wojna by się nigdy nie skończyła. Ktoś musi zaryzykować.

- Dobra, na razie tylko my dwaj.

Rozmawiamy o tym jeszcze chwilę. Najfajniejsze jest wymyślanie podstaw do pochwały. Matka wyjdzie na istnego tygrysa Lasu Ardeńskiego, stanie się legendą. Kto wie, czy nie zarobimy na Order Honoru Kongresu. Nazwisko Wilkinsa znajdzie się na banknocie dolarowym. Najważniejsza rzecz to wciągnąć do akcji Ware'a - ale to już sprawa Shutzera. Z pomocą Millera i Gordona fabułę napiszemy jednym palcem. Może i Ojciec Mundy da się namówić na dołożenie tu swojej cegielki. Stać go chyba na parę umiarkowanych kłamstewek w zbożnym celu.

O dziesiątej zgłaszam się przez radio do pułku. Tym razem trafiam na Flynna, który charakterystycznym wrednym, kabotyńskim tonem każe mi zgłosić się jeszcze raz za pięć minut. Ware życzy sobie rozmawiać ze mną. Gaszę radio i wyciągam się na materacu. Postanawiam w ramach ćwiczenia woli przeczekać te pięć minut bez papierosa i bez zegarka.

Może nawet przeciągnę czas do dziesięciu minut, zafunduję im chwilę napięcia?

Zaraz po powrocie z warty dałem Shutzerowi jedno z używanych rozdań brydżowych. Zdołali oderwać Gordona od skrzypiec i już grają.

Skrzypce, w otwartym futerale, stoją oparte o skrzynkę z granatami. Piękna rzecz. Chętnie bym je narysował. Wydobyć takiej zdecydowanej, a zarazem subtelnej krzywizny nie dopuszcza żadnych machlojek: albo potrafisz, albo nie. Narysowałbym je tak, jak teraz stoją, w futerale z otwartą pokrywą i ze smykiem leżącym w poprzek strun.

W przyklepionej tam kulce jakiejś pomarańczowej substancji widać wyraźnie wyskrobany rowek. Podchodzę bliżej i wącham to pomarańczowe: pachnie sosną. Futerał jest wybity ciemnozielonym aksamitem, taka sama ciemnozielona poduszeczka przytwierdzona jest z jednej strony do pudła skrzypiec. Pod strunami, na czerwonym drewnie, zebrał się drobny pył. Na pudle widnieją dwa wycięte esyfloreasy, jak elementy zapisu muzycznego.

Po raz pierwszy w życiu przyglądam się skrzypcom z bliska. Nic dziwnego, że Gordona tak ruszyło. To musi być wspaniałe uczucie, trzymać taki piękny przedmiot pod brodą i wydobywać z niego muzykę. Narysuję te skrzypce na dużym kartonie; te, których na ogół używam, są za małe.

Zanim wracam do radia, mija co najmniej dziesięć minut. Ware zgłasza się natychmiast.

- Co u was? Odbiór. De mu mogę powiedzieć?

- Mieliśmy małe zamieszanie na warcie około dwudziestej drugiej zero zero, ale już po wszystkim, panie poruczniku. Odbiór.

Brak odpowiedzi. Po dziesięciu sekundach powtarzam meldunek.

- Coś dużego się szykuje, Knott. Otrzymujemy niewiarygodne meldunki. Szkopy, kurwa ich mać, atakują ze wszystkich stron. Kto wie, czy nie zanoszą się na największą bitwę w tej wojnie. U nas wszyscy chodzą na rżęsach, mówi się o wycofaniu całego pułku. Odbiór.

- Wilkins mówi, że słyszał coś jakby ciężką artylerię od południa i z tyłu, ale nikt poza nim tego nie słyszał. Poza tym chyba coś się działo w nocy koło szopy. Sprawdźmy to z Shutzerem. Odbiór.

- Major Love skierował pierwszą drużynę na zwiad celem ujęcia języka. Odbiór.

Cholera! W taką pogodę Edwards z całą drużyną poszukuje języka! Pierdolony Love!

- U nas spokój, sir. Odbiór.

- OK. Trzymaj swoją drużynę na posterunku, Knott. Za dwie godziny mamy posiedzenie sztabu. W następnej rozmowie podam wam sytuację. Odbiór.

- Zrozumiałem, sir. Odbiór.

- Odbiór. Koniec.

- Odbiór. Koniec, sir.

Nikt nie zwrócił większej uwagi na moją rozmowę radiową. Chłopcy są całkiem pochłonięci grą. Tylko Shutzer podnosi na chwilę głowę i puszcza do mnie oko. Wyciągam się na materacu i próbuję myśleć. Te pułkowe świrusy panikują z byle powodu, pewnie nic takiego się nie dzieje. Mało to razy widziałem, jak te dupki z łączności potrafią spieszyć sprawę?

Ale i tak strach mnie obleciał. Boję się iść i - nie daj Boże - gadać z tymi Niemcami. W końcu zapadam w sen. W dzień trzymamy teraz warty w pojedynkę, więc teoretycznie mógłbym spać ile wlezie, ale jeżeli mamy nawiązywać kontakt z Niemcami, oznacza to najwyżej godzinkę snu. Zасыpiając słyszę, jak Mundy namawia Millera na rozmowę o Pożegnaniu z bronią. Miller odmawia dyskusji. Jeden Mundy u nas uważa, że ta książka jest coś warta. A teraz już w ogóle nie mamy co czytać, została nam tylko jedna książka, pod tytułem *Foreuer Amber*, a i to w drużynie Edwardsa. Nigdy nie doczytają jej do końca. Z tego, co słyszałem na temat tej książki, nie spodoba się ona Mundy'emu. A nawet jeżeli mu się spodoba, nie będzie się mógł do tego przyznać. Z tą myślą zapadam w sen.

Wydaje mi się, że minęło raptem parę minut, a tu już Shutzer szarpie mnie za ramię. Mundy i Miller śpią jak zabici. Wilkins znowu siedzi na górze. Gordon trzyma wartę.

- Może byśmy się ruszyli, Won't? Jak wyjdziemy teraz, zdążymy tam w sam raz na dwunastą w południe.

Jestem półprzytomny; z początku w ogóle nie rozumiem, o czym on mówi, zaraz jednak sobie przypominam. Turlam się w śpiworze na brzeg materaca, w ustach mam gęsty niesmak, jakbym wymiotował. Z wysiłkiem spuszcza nogi na podłogę. Nie przychodzi mi do głowy żaden wykręt od tego idiotycznego patrolu na ochotnika. Mijając Gordona, powiemy mu, dokąd się wybieramy. Jemu musimy powiedzieć: jest zastępcą dowódcy drużyny, gdzieś w kieszeni nosi nawet naszywki, którymi może tego dowieść. Kaprałskich naszywek jakoś w zaopatrzeniu nie zabrakło.

Nie wkładamy kombinezonów maskujących; zdaje się, że obaj przestaliśmy już wierzyć w mordercze zamiary Niemców. Ja też przekonałem się do interpretacji Shutzera. Mimo wszystko jednak bierzemy broń, pasy, granaty i resztę - jeszcze nie zabrnęliśmy w pacyfizm tak daleko, żeby iść bez nich.

Po drodze odwiedzamy Gordona.

- A wy dokąd? Idziecie lepić grubego bałwana - Göringa, żeby dzisiaj w nocy było GER RINK FUJ? To idealny model dla Shutzera.

Stoję z boku, a Stan wyjaśnia Gordonowi, do czego doszedł drogą dedukcji, i pokazuje napisy na mapie.

- Czy chcesz przez to powiedzieć, że wy dwaj zamierzacie się tam udać i odbyć konferencję o zawieszeniu broni z watahą Niemców? Za kogo wy się uważacie, za Churchilla i Roosevelta? Chyba wam na mózg padło. A pan, panie Shutzer, mój ulubiony biczu Boży na Niemców - co też panu odbiło, żeby nadstawiać karku dla ulokowania bandy szkopów w zaciszu obozu jenieckiego, kiedy my tu sobie odmrażamy tyłki? Nic z tego nie rozumiem!

Patrzę na Shutzera. Bądź co bądź, to jego spektakl. Ja sam właściwie dalej nie wiem, za co my się, u diabła, bierzemy.

- Słuchaj, Mel. Załóżmy, że oni naprawdę chcą się poddać. Załóżmy, że da się pograć tak, żeby Ware i Love uwierzyli, że Wilkins zrobił to solo, pod ogniem sześciu luf. Załóżmy, że każdy z nas zarekomenduje Wilkinsa na piśmie do wszystkich odznaczeń przewidzianych dla tak zwanych bohaterów wojennych. Oprócz niego nie mamy tu właściwie kandydata na bohatera. I co ty na to?

Mel wytrzeszcza gały na Shutzera. Mel ma to do siebie, że potrafi wszystkiego wysłuchać nie pokazując nic po minie. Jest w nim coś nie do ruszenia.

Założę się, że Mel jest dzisiaj pierwszorzędnym doktorem. Może kiedy się zestarzeję i dopadną mnie poważne kłopoty ze zdrowiem, odszukam go, przeniosę się do New Jersey i pozwolę, żeby właśnie doktor Melvin Gordon, starannie i z wszelkimi wygodami, złożył mnie do grobu, z minimalną dozą wrzasków i wyrzekań, krótko mówiąc - w miarę godnie. On by to dla mnie zrobił.

Na razie tylko kręci głową z niedowierzaniem. Ale widzę, że pomysł do niego trafił.

- Na jakiej podstawie sądzicie, że Ware albo Love zgodzą się wziąć udział w tej farsie? A ci Niemcy - nie wyobrażam sobie, żeby się mieli poddać ot tak, bez niczego. Poza tym, niezależnie od waszych dyplomatycznych projektów, Wilkins za nic w świecie nie pójdzie na coś takiego.

Tego istotnie nie przemyśleliśmy do końca: jak nakłonić do projektu Wilkinsa. Milkniemy i oparci o mur, bez papierosów, rozważamy w głowach tę kwestię. Pierwszy odzywa się właśnie Mel.

- Można by, oczywiście, zaaranżować jakąś rozgrywkę, której zwycięzcę mianowalibyśmy bohaterem tygodnia. Na to może by i poszedł. Wiadomo, że Wilkins wygra we wszystko: w brydża, w pokera, w szachy, w łapki - co kto chce. Na wszelki wypadek, cała reszta mogłaby grać trochę poniżej poziomu.

Shutzer patrzy na mnie i ukradkiem puszcza oko.

- Diabła tam, Wilkins przecież wygra, żebyśmy grali nie wiem jak świetnie. Szczególnie w szachy. Nie pamiętam, żeby kiedyś przegrał w szachy, nawet z Evansem z pierwszej drużyny,

a to jest przecież chodzący kalkulator. On chyba nawet kolory widzi numerycznie.

Patrząc to na jednego, to na drugiego. Mel i Stan różnią się zasadniczo w spojrzeniu na życie, a jednak coś ich łączy. I nie jest to tylko żydowskie pochodzenie: ma raczej związek z miłością - nie obmierzłą miłością dwóch mężczyzn, ani nawet miłością braterską, tylko z miłością własną: każdy z nich kocha sam siebie i przenoszą to uczucie na innych ludzi. Nawet nie wierzę, że Shutter tak naprawdę nienawidzi Niemców. Nienawidzi tego, co robią niektórzy Niemcy - tak samo jak Bud nie znosi niedoróbek.

Czekają, co ja powiem.

- No to mówimy Wilkinsowi, czy nie? Jest taki podminowany, że nie zgodziłby się nawet na nasze wyjście teraz i rozmowę z Niemcami. Uważa, że jesteśmy otoczeni i zamknięci w pułapce.

I wtedy opowiadam Stanowi i Melowi, co się stało tam, na kwaterze: o gonitwie przez las i tak dalej. Próbuję mówić jak najprościej, niczego nie opuszczając, ale i nie ubarwiając. Słuchają uważnie, wymieniają spojrzenia, jakby nie wierzyli w to, co mówię, wiedząc jednocześnie, że nie mam powodu kłamać. Kończę. Pierwszy przerywa ciszę Stan.

- Uważam, że lepiej będzie nic mu nie mówić. Jak już ujmiemy szkopów, będziemy mieli ich tutaj jako jeńców, wtedy przeprowadzimy turniej szachowy. Idąc po szkopów, zostawimy Wilkinsa do pilnowania pałacu i radia. Wyjdzie całkiem naturalnie.

Gordon przyjmuje to w swój zwykły sposób: jakby nie słyszał, bez zmiany wyrazu twarzy.

- Mimo wszystko uważam, że trzeba Matce powiedzieć. Inaczej mamy nad nim straszną przewagę, to nie fair. Chociaż rozumiem twoje racje. Trzeba się będzie jeszcze zastanowić. Na razie, jeżeli nie odechciało wam się ryzykować, skoczcie we dwóch sprawdzić, czy „pod umówionym jaworem” rzeczywiście czekają jacyś Niemcy. Ja tu nadstawię ucha i jak tylko usłyszę coś podejrzanego, skoczmy wam na odsiecz. W razie potrzeby oddajcie dwa szybkie strzały, odliczcie wolno do trzech i wypalcie jeszcze raz. OK?

Shutter patrzy na zegarek i obaj kiwamy głowami. Naprawdę mamy to zrobić.

- Jeżeli nie wrócicie do pierwszej trzydziści, zadzwonię do pułku i powiem, że wyszliście na patrol zwiadowczy.

- Ware siedzi na odprawie sztabowej. Gdyby zadzwonił przed naszym powrotem, mów, że odbywamy małą misję rozpoznawczą.

- Tak jest.

Odchodzimy z Shutterem tą samą drogą, którą za pierwszym razem szliśmy we trzech z Gordonem. W odległości jakichś dwustu jardów od szopy Shutter każe mi gestem trzymać się

w odstępnie pięćdziesięciu jardów od niego, tak że ledwo go widzę między drzewami. Cała ta eskapada jest bardziej niesamowita, niż się spodziewałem. Bardzo skutecznie wpojono mi brak zaufania do Niemców. Oni pewnie też nie za bardzo nam ufają; chyba nas nawet nie szanują, ani jako żołnierzy, ani w ogóle. Muszę powiedzieć, że ja ich dla odmiany szanuję - przynajmniej jako żołnierzy. Gdyby ich było tylu co nas w tej zakichanej wojnie, wolę nie myśleć, czym by się to skończyło.

Na samej grani, skąd widać stojącą w dole szopę, Shutzer przykłęka gwałtownie na jedno kolano. Robię to samo i czekam. Po chwili Shutzer kciukiem i palcem wskazującym wysłał mi znak OK. Rusza powoli na drugą stronę wzgórza, z bronią w pogotowiu. Ostrożnie posuwam się za nim, też z odbezpieczonym karabinem w pogotowiu. Ta kotłowanina w śniegu czegoś nas jednak nauczyła.

Kiedy wychodzę na szczyt wzgórza, wyraźnie widzę dwóch niemieckich żołnierzy u wejścia do szopy. Wyglądają na nie uzbrojonych. Jeden z nich, chyba podoficer, to ten wczorajszy, od schmeissera. Rozmawia z Shutzerem.

Shutzer przewiesił karabin na plecy. Schodzę tuż za grzbiet wzgórza, żeby mnie nie widzieli. Po trzech, czterech minutach Shutzer gramoli się z powrotem do mnie pod górę. Spociał się jak wtedy w Shelby, w łazience, kiedy czekał na swoją kolejkę z dziewczyną.

- Widziałeś. Są tam. Ten ich główny, podoficer, chce rozmawiać z naszym dowódcą. Nawet nieźle się rozumiemy, w pół drogi między moim jidysz a jego niemieckim.

- Ja tam nie rozumiem tego szwargotu, Stan. A poza tym, nie mam żadnych naszywek, i w ogóle. On nigdy nie uwierzy, że jestem oficerem.

- Może jemu jest niezręcznie rozmawiać z Żydem, szczególnie o kapitulacji. Daj, pójdę jeszcze raz. Powiem im, że przyszliśmy bez dowódcy. Tam jest poza tym drugi facet, młodszy. Nie wiem dlaczego, ale wydaje mi się, że on trochę rozumie po angielsku. Wyglądają na nie uzbrojonych, chyba że pochowali broń za szopą.

- Chryste Panie, Shutzer! Co my robimy? Mówili coś o poddawaniu się?

- Nic. Tylko o tym, że chcą gadać z naszym dowódcą. Chwilę stoimy i rozmyślamy.

- Wiesz co, Won't, chodź tam ze mną. Powiemy im, że nasz oficer został w pałacu. Ja będę tłumaczył, co on gada, a ty spróbuj przyuważyć tego drugiego, czy on rzeczywiście coś kapuje z tego, co mówisz po angielsku. Masz wygląd stuprocentowego goja, może przy tobie puści więcej pary.

Ruszamy obaj w dół, starając się kroczyć tak nonszalancko, jakby pertraktacje z Niemcami były dla nas chlebem powszednim. Podchodzimy bliżej i wtedy widzę, że to nie są ci sami Niemcy, których spotkaliśmy koło domku myśliwskiego. To muszą być ci, którzy nas

zaskoczyli na wzgórzu. Żołnierz opierający się o ścianę szopy pali ręcznego skręta w żółtej bibułce.

Walimy prosto do tego, z którym Shutzer już rozmawiał. Jak Boga Kocham: wykapany typ niemieckiego żołnierza z hollywoodzkich filmów antyfaszystowskich, może tylko trochę sfatygowany, obszarpany. O głowę wyższy od Shutzera, głęboko osadzone bladoszare oczy i jasne brwi, tak gęste, że facet musi chyba oglądać świat przez żywopłot włosów. Może specjalnie szesał je na oczy, żebyśmy nie mogli odgadnąć wymyślnych tortur, jakie dla nas wyszykowali.

Skóra ciasno opina kości twarzy, a wzdłuż policzków, od zewnętrznych kącików oczu, biegną głębokie zmarszczki, prawie jak blizny: takie same bruzdy znaczą się od nosa do podbródka. Wiek trudno odgadnąć: między dwadzieścia pięć a czterdzieści. Kiedy otwiera usta, widać złamany w klin przedni ząb i lukę w miejscu jednej dwójki. Jest w nim coś z zawodnika sportowego, który często przegrywa. Mimo mrozu ma na sobie tylko szarozielony polowy mundur, bez szynela i bez hełmu, tylko z wystrzępioną, wytłuszczoną czapką polową, która ściśle przylega mu do głowy. Odnoszę wrażenie, że jest łysy, albo prawie.

Zaczynają rozmawiać z Shutzerem. Ciężko im idzie, ale pomagają sobie gestykulacją i sondowaniem skuteczności różnych słów. Kiedy Shutzer nie rozumie jakiegoś słowa, Niemiec najpierw powtarza to samo, tylko głośniejsze, za to Shutzer rozgrywa wręcz szarady, szukając za każdym razem nowych sposobów na wyrażenie tego, o co mu chodzi. Szkop wskazuje palcem jego paski na rękawie i insygnia na naramiennikach. Zdaje się, że w dalszym ciągu obstaje przy rozmowie z naszym oficerem.

Shutzer wyciąga dwie paczki po cztery sztuki papierosów, do tego zapałki, i częstuje wszystkich obecnych. Żołnierz opierający się dotąd o szopę odchodzi od budy, która według moich podejrzeń stanowi ich tajny arsenał, i zbliża się do nas po papierosa. Shutzer zapala wszystkie cztery fajki od jednej zapałki, chociaż wieje wiatr. Przysuwamy się bliżej do szopy, od wiatru. Drugi Niemiec uśmiecha się do mnie. Odpowiadam mu uśmiechem.

Ten jest młodszy: ma bladą, wychudłą twarz i podłużne, ciemne oczy, wilgotne dołem, całkiem jakby płakał albo za chwilę miał się rozpłakać. Wilkins też miewa czasami takie oczy. Obaj Niemcy mają na nogach tradycyjne niemieckie czarne skórzane buty z cholewami, o grubych, podkutych ćwiekami podeszwach, ale buty tych naszych są popękane, przemoczone i zniszczone.

Pierwszy Niemiec zaczyna wygłaszać dłuższą mowę, która trwa i trwa. Mówi równym tonem i nawet specjalnie na nas nie patrzy, jakby recytował wyuczony tekst. Nadaje prawie tak długo, jak my palimy. Inna rzecz, że Schutzer przerwał mu kilka razy, bo nie zrozumiał tekstu,

co też przedłużyło wystąpienie. Shutzer odwraca się do mnie.

- OK, chyba wszystko wiemy. Po pierwsze, on chce rozmawiać z naszym oficerem. Mówi nam teraz to, co mówi, tylko po to, żeby nasz dowódca przekonał się, że to żadne dowcipy. Ci faceci mają dość wojny. Przerzucili ich do Niemiec z frontu rosyjskiego, gdzie strasznie dostali po dupie. On mówi, że szkopy otwierają wielką nową ofensywę tu, na zachodzie, zaraz na południe od nas. Oni sami też są ze zwiadu; twierdzą, że wojna skończy się lada dzień. Nie chcą zginąć w ostatnim dniu, skoro jakoś udało im się przeżyć te pięć lat. Są zdania, że ich jednostka ruszy się stąd za dzień, dwa i nie chcą mieć z tym już nic wspólnego. Są przekonani, że nawet gdyby przeżyli ten atak, zostaną odesłani z powrotem na front wschodni, a nie palą się do niewoli u Rosjan.

- Czy powiedział wprost, że chcą się poddać?

- Nie dosłownie, ale całe jego przemówienie do tego się sprowadza. On się upiera przy rozmowie z naszym dowódcą. Tłumaczę mu, że mamy tylko takiego samego podoficera jak on. Mówi, że to starczy. Ich jest siedmiu.

- Co ty myślisz, Stan?

- Zawsze możemy wrócić do drużyny i obgadać sprawę. Jemu powiem, że idziemy się porozumieć z dowódcą.

- Dobra, tak zrób.

Niemcy stoją, czekają i palą po drugim papierosie od Shutzera. Podoficer zaciąga się ostatni raz, głęboko, i obcasem dusi peta w śniegu. Shutzer zaczyna do niego szwargotać. Ja obserwuję tego drugiego: nadal nie umiem powiedzieć, czy on nas rozumie, czy nie. To, co Shutzer wydaje z siebie w jidysz, nie brzmi w ogóle jak mowa ludzka, tylko jak jakieś śpiewne trele. Po angielsku Shutzer wysławia się szybkimi kanonadami, jakby jego język nie nadążał za myślą. Wraca do mnie.

- Dobra, jesteśmy umówieni. Obiecałem mu, że pojutrze o dziesiątej rano sprowadzimy tu naszego dowódcę. Zaczekaj, jeszcze raz potwierdzę czas.

Stan idzie z powrotem do Niemców i jeszcze chwilę z nimi szprecha.

- Zgadza się, dziesiąta rano, z dowódcą, w tym samym miejscu, pojutrze. Chciał jutro, ale przecież musimy się przygotować.

Niemcy już odchodzą z powrotem pod górę. Nie wiem, skąd wytrząsnęli mauzera i schmeissera. Młodszy odwraca się z uśmiechem i macha ręką na pożegnanie. Odwracamy się i odmaszerowujemy tą samą drogą, którą przyszliśmy.

- Skąd my im weźmiemy oficera, Stan? Przecież nie ściągniemy tu Ware'a?

- Coś ty, wariat? Przecież mamy w drużynie istny model oficera, lepszego nie wydałaby

cała armia niemiecka. Będą się czołgać na brzuchach przed naszym oficerem.

- Miller?

- No jasne! A kto!

Kiedy wracamy, na warcie, szczęściem, stoi właśnie Wilkins. Chyba go siłą ściągnęli ze strychu. Zwołuję wszystkich chłopaków, a Shutzer referuje, co się działo. Miller przerywa mu w środku.

- Nie zalewasz? Naprawdę poszliście w krzaki gadać z Niemcami?

- I ja tam byłem, szwabskie piwo piłem, jadłem prele i korniszony pod starym Tannenbaumem. Tak jest, sir, jak bonie dydy.

Mundy przez całą opowieść Shutzera z niedowierzaniem kręci głową i szczyrzy się od ucha do ucha.

- Poszaleliście obaj, ale okazja jest przednia. Wyobraźcie sobie Wilkinsa obwieszzonego medalami! Srebrną Gwiazdę zatknijcie sobie na czubku choinki. Moim zdaniem, medal należy mu się już od dawna, co najmniej od tego dnia, kiedy poskromił Hunta w koszarach. Świeć Panie nad jego duszą.

- Hunta? Hunt nie miał żadnej duszy. Beton na wskroś.

- Cicho, Shutzer, przepraszam, że w ogóle o nim wspomniałem. Nie wypada źle mówić o zmarłych.

Mundy żegna się krzyżem.

Przez dziesięć minut, albo i kwadrans, bawimy się pomysłem. Snujemy wizje Wilkinsa prowadzącego jeńców. Musimy się pilnować, bo powstanie nam z tego cała powieść. Zatytułowalibyśmy ją na przykład: *Na Zachodzie kociokwik*.

- Ty, Miller, będziesz naszym oficerem dowodzącym. Takiego oficera jak ty nigdy nie było, nie ma i nie będzie.

- Wypchaj się. Ty jesteś oficerem, Won't. Tobie za to płacą. Graj swoją rolę.

- Nie wygłupiaj się, Miller - to Shutzer spieszy mi na odsiecz. - Żaden szkop nie uwierzy, że taki stutrzydziestofuntowy mizerak jak Won't jest oficerem. Poza tym, Won't ma piwne oczy. Oficer nie ma prawa mieć piwnych oczu. Jedyнным liczącym się kandydatem jesteś ty.

- A Mundy? Wysoki, zwalisty, pulchny - jak przystało na oficera. I starszy ode mnie. Ja jestem za młody.

- Daj spokój, Miller. Ty jesteś młody? Ty się urodziłeś stary, pewnie ledwo wyjrzałeś na świat, sprawdziłeś instrumentarium położnika: dawałeś mu rady, jak trzymać kleszcze.

- A tobie co brakuje, Gordon? Jesteś wysoki jak trzeba i masz ten wieczny uśmiezek Buddy, który gównem by przełknął bez mrugnięcia okiem. Sprawiasz wrażenie naturalnego

przywódcy. Poza tym nosisz w kieszeni kaprałskie naszywki. Widziałem, bo ci wypadły, jak wyciągałeś granaty. Przestań się chować, chłopie: pierś do przodu, trochę zadęcia, szpicruta też nie zawadzi.

- Słuchaj no, Miller. Niemcy takich Żydów jak ja mają rozpracowanych co do joty. Po całych Niemczech rozesłali zdjęcia, mapy, schematy - żydowskie nosy, żydowskie usta, żydowskie oczy, żydowski sposób mówienia, plucia, czesania włosów, wiązania butów. Byle szkop przejrzy mnie w dwadzieścia sekund. Nie, nie: jedynym czysto aryjskim typem jesteś ty. Zostałeś wybrany głównodowodzącym przez aklamację.

Miller w końcu ulega. Robimy go na bóstwo. Ze wszystkich czystych rzeczy, które na niego pasują, klecimy jeden porządny mundur; są to głównie rzeczy Gordona. Od Gordona pożyczamy też naszywki, a sami pozbawiamy się wszystkich pasków szeregowców, po czym przy użyciu niezbędnika krawieckiego Wilkinsa obszywamy mundur Millera konglomeratem pasków: po trzy na górze i trzy na dole na obu rękawach. Trójkątnych naszywek nie robimy. Stopnia, do jakiego awansowaliśmy Millera, nigdy nie było i nie ma: jest on naszym „podsierżantem z nieprawego łoża”. Shutzer wykręca soczewkę z lornety, żeby Miller mógł ją nosić jako monokl, ale cholerna soczewka nie chce się trzymać.

Opróżniamy wszystkie kieszenie połówki Millera ze szpargałów i z tyłu zakładamy fałdy, przez co bluza sprawia wrażenie dopasowanej. Wielka szkoda, że nie mamy tu miarowej koszuli i portek Love'a. Ale Miller i tak sto razy bardziej przypomina oficera, niż to się kiedykolwiek uda Love'owi. Po skończeniu zabiegów wygląda naprawdę imponująco.

Każemy mu kroczyć dumnie po pokoju i ćwiczyć wysuwanie dolnej szczęki oraz wyraz ogólnej pogardy. Stan zapewnia go, że nie będzie musiał się w ogóle odzywać: wystarczy jak od czasu do czasu kiwnie albo pokręci przecząco głową i zachowa postawę ostatniego skurwysyna.

Przed powrotem Matki z warty chowamy swoje ogołocone z naszywek ciuchy i wytworą połówkę Millera z insygniami. Wszyscy wciągnęliśmy się w robienie z Wilkinsa bohatera. Mel dalej się upiera, że powinniśmy mu powiedzieć, ale nas już tak pochłonęły tajne machinacje i chęć zrobienia Matce niespodzianki, że Mel nie jest w stanie nic wskórać.

Noc mija szybko. Jak w dzień przed Gwiazdką, kiedy się chowa prezenty. Po warcie śpię jak zabity, a kiedy się budzę, udaje mi się nawet zesrać na twardo.

Zaczynam jaśniej patrzeć na świat. Około dziesiątej dzwonię do pułku. Tym razem Ware już na mnie czeka.

- Jak tam u was, Knott? Odbiór.

- Spokojnie, sir. Odbiliśmy dwuosobowy patrol do szopy i przeprowadziliśmy pobieżne rozpoznanie, ale nic tam nie zauważyliśmy. U nas bez zmian, sir. Odbiór.

Gordon, Shutzer i Miller siedzą mi na karku. Brakuje tylko Ojca, który pełni rolę, i Matki, który jest na strychu. Gordon odłożył nawet skrzypce na czas meldowania. Ware'owi mogłoby się nie spodobać, że słyszy muzykę w tle.

- A u nas ciężko. Przygotowujemy się do odwrotu. Możliwe, że jesteśmy całkiem odcięci. Na tych nowych zwiadowcach nie można polegać. Pojedziemy na wschód, razem z trzecim batalionem, jako szpic manewru. Nikt nic nie wie. Nie możemy ustalić miejsca pobytu pierwszego batalionu, a pierwsza drużyna jeszcze nie wróciła. Pewnie się na coś natknęli. Odbiór.

- Cała drużyna nie wróciła, sir? Odbiór.

- Tak jest, już wam przecież mówiłem, Knott, że u nas niewesoło. Pierdolone szkopy lada chwila przypuszczają atak. Mówi się tutaj o dywizjach czołgów i piechoty ciągnących dwunastomilowym martwym pasem: przemieszczają jednostki z południa dla zatkania luki. Ale nic nie wiemy na pewno, łączność zdechła. Niemcy poprzebierani w amerykańskie mundury, w amerykańskich jeepach, przecinają linie telefoniczne, zmieniają oznakowania dróg, myślą ruchy naszych wojsk. Najwiarygodniejsze są jeszcze raporty z jednostek odizolowanych. Odbiór.

- Czy pierwsza drużyna wzięła drugą 506 - kę? Odbiór.

- Nie wiemy. Sekcja łączności próbuje to ustalić, ale jak na razie bez rezultatu. Odbiór.

- Może dołączyli do innej jednostki i na razie nie mogą wrócić, sir? Odbiór.

- To nie ma znaczenia. Love chce, żeby wasza drużyna nie ruszała się z miejsca: jakby się coś zaczęło, dacie nam znać. Trzymajcie jeepy w pogotowiu. Przede wszystkim jednak Love potrzebuje języka. Wskoczcie do tego domku myśliwskiego i weźcie jeńca. Najlepiej, żeby to był oficer albo podoficer. Ponieważ pierwsza drużyna nie wróciła, musimy koniecznie zdobyć informacje od Niemca, i to szybko. Odbiór.

Waham się, czy wspomnieć mu o tym wielkim planowanym ataku bożonarodzeniowym, o którym mówili Niemcy. Ale jak wyjaśnię, skąd to wiem? Zwłaszcza że Niemcy mogli kłamać.

- W porządku, sir. Skoro jest nas tak mało, trzeba będzie zorganizować nocny patrol, ująć wartownika, albo co. Odbiór.

- Wszystko jedno, meldujcie zaraz, jak go będziecie mieli. Albo sami przyjedziemy po skurczybyka, albo wy go nam dostarczycie jednym z jeepów. Odbiór.

- Zrozumiałem, sir. Odbiór.

- Odbiór. Koniec.

- Odbiór. Koniec.

Przez dobre dziesięć sekund żaden z nas się nie odzywa. Miller zakrył oczy dłonią.

- Ale bagno! Cała pierwsza drużyna!

Shutzer chodzi tam i z powrotem, waląc pięścią na zmianę to w otwartą dłoń drugiej ręki, to w skroń.

- Ta zasrana wojna nigdy się nie skończy!

Gordon siada, potem kładzie się na materacu. Wbija wzrok w wysokie sklepienie komnaty.

- Pomyślcie. Bergman, Kelly, Moser, Evans, Edwards - cała pierwsza drużyna. Może oni się tylko gdzieś zadekowali? Uznali, że skoro Love dostaje białej gorączki, a Ware lata jak kot z pęcherzem, najrozsądniej będzie wleźć w cichy kąt i przeczekać. Zakład, że schowali się w lesie.

Shutzer dalej chodzi tam i z powrotem. Wędruje od kominka aż do najdalszej ściany komnaty.

- Co tu jest grane, do jasnej cholery? Myślałem, że ta cała zakichana wojna już się kończy, a ona znów zaczyna kipieć na całego!

Gordon odzywa się nagle spokojnym głosem:

- Co zrobimy z planem ujęcia jeńców i Wilkinsem? Może trzeba wszystko odwołać? Love, jak widać, pozbył się skutecznie już prawie całego plutonu zwiadowczo - rozpoznawczego.

Walę się na materac. Ogarnął mnie strach. Nie podobał mi się ton głosu Ware'a: było w nim coś rozpaczliwego, na granicy paniki. Próbuję się uspokoić, opanować łaskotanie w żołądku. Przypominam sam sobie, jak Love, pewien, że jesteśmy otoczeni, chciał wycofywać się z Metz, kiedy w rzeczywistości do zrobienia było tylko jedno: brać tysiące jeńców na pęczki. Właściwie trzeba mieć pierdolca, żeby zostać szefem zwiadu: wojskowe urzędaszki właśnie na tej funkcji upychają oferty sztabowe. Może to tylko fałszywy alarm.

Z drugiej zaś strony, niewykluczone, że pakujemy się w pokretną pułapkę. Może najlepiej byłoby maksymalnie rzecz uprościć: dać sobie spokój z Wilkinsem i po prostu wziąć jeńców. Love skakałby z radości, mając siedmiu języków do zabawy, a my wyszlibyśmy na zwycięskich herosów. Może nawet popuściłby nam cugli na jakiś czas. Wilkins z Gordonem odwieźliby mu jeńców, a my, reszta, zostalibyśmy sobie w pałacu, czekając na dalszy rozwój wypadków.

O drugiej znowu mam wartę. Czuję się skacowany, brudny. Od dymu z naftówek i z kominka szczypią mnie oczy i drapie w gardle. Sraczka nawet mnie nie goni, ale czuję ostry ból w lewym oku, a bebechy mam jak związane w supel. Przydałoby się więcej głębszego, spokojnego snu. Ciekawe, czy śnieg ciągle pada.

4. TFU, LICHE ŁAJNO

Ślizgając się i potykając, schodzę w dół. Wieje nowy wiatr, wiatr ze wschodu. Cienkie okruszki śniegu polatują w mroźnym powietrzu, ale to chyba tylko śnieg z gałęzi drzew albo podwiewany z ziemi.

Mel stoi na posterunku, czeka na mnie. Ściemnia się. Następna warta będzie dwuosobowa. Głowię się nad kolejnym hasłem rozpoznawczym. Boże mój, jakież to wszystko absurdalne - jak zdobywanie sprawności skautowskich. Chwilami wszystko traci dla mnie sens: jest to problem, który mi towarzyszy przez całe życie.

Gordon stoi i czeka, karabin zwisa mu z ramienia. Nawet on wygląda, jakby miał dość.

- Kurczę, Wont, ta zreumatyzowana stopa boli mnie z wierzchu jak diabli. Jakby mi ktoś tam wkręcał śrubę. A w cieple jeszcze gorzej.

Chodzi w kółko i przytupuje. Nie pomyślałem, jak te mrozy muszą fatalnie działać na jego chore nogi. Gordon rusza pod górę.

- Mel, zaczekaj chwilę. Wraca.

- Powiedz chłopakom, że hasło na dzisiaj brzmi: „Przybieżeli”, odzew - „do Betlejem”.

- OK. „Przybieżeli - do Betlejem”. Tylko po to mnie wołałeś?

- Nie tylko. Jak ty myślisz, Mel, co się dzieje? Mam taki mętlik w głowie, że sam nie mogę myśleć. Nie chcę myśleć.

- Ta wojna to jest taki bigos, że nie oplaca się dużo myśleć. Spróbuj się rozluźnić. Niewiele możesz tu zrobić - najwyżej dać się zabić, zostać rannym albo nawiać i schować się w mysiej dziurze. Nic więcej. Zamartwianie się nic tu nie pomoże.

- Ale ja myślę o projekcie Shutzera na „rozwiązanie problemu wojny”. Jak to się ma do zapotrzebowania Ware'a na języka i do tego amoku, który ogarnął główną kwaterę?

- Zostawmy to na później. Mnie się mimo wszystko wydaje, że Matce trzeba powiedzieć. Powinien wiedzieć. A na razie zmarzłem na kość i noga nie daje mi żyć. Idę na górę. Nie przejmuj się, odsapnij.

Opieram się o mur. Przyjemnie jest na chwilę zostać samemu. Tyle się dzieje naraz, a ja tak bym chciał postąpić słusznie. Obracam w myślach wszystkie możliwości, ale mózg jakoś słabo pracuje. Coś mi się stało od tego zimna; od zimna, strachu i zmartwienia. Kiedy zamykam się w sobie przed zimnem, umysł odmawia myślenia. Chcę pamiętać najwyżej o tym, jak przeżywałem sprawdziany z geometrii albo zawody na bieżni. Zdarzenia jak sprzed dziesięciu tysięcy lat - w mojej wstędze czasu powstała wielka wyrwa.

Co pół godziny dzwonię do pałacu i najczęściej trafiam na Millera. Snujemy

przypuszczenia na temat losów pierwszej drużyny. Ta sprawa wszystkim nam chodzi po głowie: żaden nie chce wierzyć, że spotkało ich coś złego. Wszyscy bronimy się przed myśleniem.

Patrzę i nasłuchuję, jak nadchodzi noc. Wszystko, co miękkie i płynne, zaczyna zamarzać - i to słycać, w postaci trzasków i pstryknięć. Próbuję ustalić dzisiejszą datę: może przesilenie zimowe już nastąpiło, może dzień będzie teraz z każdą dobą dłuższy. Ile tych dni upłynie, zanim przestaniemy je liczyć? Nie minęło nawet pół roku, odkąd jesteśmy na tej wojnie - a co mają powiedzieć te nieszczęsne niemieckie smutasy?

Wartę po mnie obejmują Miller i Shutzer, tak mi się przynajmniej wydaje. Drużyna, jak zwykle, dowodzi się sama. Chłopaki wiedzą wszystko lepiej ode mnie, a mnie zbytnio nie zależy. Czas upływa, jest już całkiem ciemno. Zimno mi.

Kiedy Miller z Shutzerem nadchodzi, wołam do nich: „Przybieżeli”, żeby wyglądało na jaki taki wojskowy porządek. Shutzer ripostuje: „do Betlejem, tylko po kiego?” Schodzą do mnie pod mur. Shutzer bez wstępów pyta:

- Jak ty uważasz, Won't? Rozmawialiśmy o tym z Millerem. Doszliśmy do wniosku, że damy radę we trzech. Wyszlibyśmy jutro o dziesiątej i załatwili sprawę. W ostateczności zdobędziemy przynajmniej języka dla Love'a. Można by nawet poprosić tych szwabów, żeby dali na początek jednego ochotnika, a resztę dobierze się później.

- A co z Wilkinsem?

- Nie ma sensu zawracać mu głowy bardziej niż to konieczne. Siedzi na swoim strychu, zadowolony, przestawia graty, a na mnie i Millera skacze z pazurami, ile razy wejdziemy po opał. Ja, Stanford Shutzer, czuję się przez niego jak barbarzyński Hun, tylko dlatego że chcę spalić stare łóżko albo połamany fotel, żeby nam było ciepło. Lepiej zostawmy go w spokoju. Tego tylko brakowało, żeby nam facet akurat teraz wysiadł.

Patrzę na Millera. Już zdążył zapalić papierosa. Przygląda się swoim butom na tle śniegu. Podnosi wzrok. Mam wrażenie, że popiera zdanie Shutzera. Jeżeli o mnie chodzi - niech i tak będzie, w końcu nie łamiemy żadnych przepisów.

- Dobrze, Stan, ustalone. Jeżeli ty i Miller jesteście za, to i ja też.

Wchodzenie do pałacu jest coraz mniej przyjemne: wypełniliśmy go już swoim zapachem. Już nie pamiętam, jak to było, kiedy tu wszedłem po raz pierwszy. Teraz panuje nieprzytomny bajzel. Odkąd Wilkins większość czasu spędza na górze, nikt już nie dba o porządek w sali kominkowej.

Wszędzie walają się pootwierane puszki po naszych konserwach i po niemieckich sardynkach; ciuchy i części ekwipunku piętrzą się na materacach i na podłodze. Staram się na

to nie patrzeć. Zbieram trochę własnych rzeczy; swój karabin i sprzęt lokuję przy drzwiach.

Niosę dwie lampy - butelki do jeepa i tam napełniam je paliwem. Na dworze jest może i zimno, ale przynajmniej czysto i nie śmierdzi. Powiem Millerowi, żeby obejrzał jeepy i sprawdził, czy da się je uruchomić; może należałoby obłożyć akumulatory poduszkami, żeby je rozgrzać. Nie, to idiotyzm. Sprawdzam kanistry: jak dotąd, nie zużyliśmy nawet połowy zawartości jednego, paliwa mamy w bród. Bez przerwy się czymś martwię. Wdycham czyste powietrze, ale czuję przede wszystkim zapach benzyny.

Wróciwszy pod dach, układam się na jednym z materacy. Zamykam oczy i próbuję nakazać sobie przeniesienie się w inny świat. Nie urodziłem się na podoficera, to pewne. Na niczym nie zależy mi do tego stopnia, żebym miał zmuszać innych do roboty. Ledwo wystarcza mi energii na to, co robię sam dla siebie. I Max, i Louis stale biegali, sprawdzali, doglądali wykonania zadań, karcili za niewykonanie. Edwards tak samo. Byli urodzonymi dowódcami. Daj Boże, żeby pierwszej drużynie nic się nie stało.

I znowu o tym myślę! Czasami nie da się odizolować, wyłączyć.

Ja i Gordon pierwsi doszliśmy do Maxa. Zaraz po tym, jak oddaliśmy Morrie'ego w ręce sanitariuszy. Z początku nie zauważyliśmy niczego niepokojącego, przynajmniej nie za bardzo. Max klęczał, zwinięty w pół. Widać było tylko, że ręce przyciska do brzucha, a broń leży obok niego. Hełm też leżał na ziemi, tuż przed twarzą Maxa. Max nie krzyczał, ani nawet nie jęczał. Tylko kurczowo zaciskał powieki.

Moździerz walił bez przerwy i było to chyba coś grubszego niż osiemdziesiąt osiem. Przypadliśmy z Gordonem do ziemi: boimy się ruszyć.

Max nie wygląda jak ranny, raczej jak piłkarz, który oberwał piłką w brzuch i go zatkało albo któremu ktoś podstawił nogę na boisku. Gordon podczołguje się do niego. Lewis tylko kręci głową i wcale się nie rusza. Nagle wyskakuje w górę jak na sprężynie, prawie się prostując, i pada na bok. Krew tryska gwałtownie, dwa, trzy razy, obryzgując Mela od stóp do głów, a potem płynie już wolniej, coraz gęstszym strumieniem.

Prędko ściągamy Maxowi spodnie - jest: kawał szrapnela, wielkości połowy rakiety pingpongowej, tyle że wygięty, wbił mu się głęboko w podbrzusze i częściowo w nogę. Max trzymał go dwoma palcami tak długo, jak mógł, ale w końcu nie utrzymał.

Wszelkimi sposobami próbujemy zatamować krew. Blokujemy nawet ranę manierką, przytwierdzając ją z całej siły zaciśniętym paskiem, ale i to na nic.

Max nic nie mówi, tylko jęczy i krzyczy na zmianę. Obaj z Gordonem widzimy przeciętą tętnicę, która przypomina odcinek plastikowej rurki, ale nie możemy jej ani zacisnąć, ani utrzymać. Gordon próbuje podawać Maxowi tabletki przeciwbólowe, ale Max nie jest w stanie

przełknąć: zaszedł już spory kawał w stronę śmierci. Na pewno wykorkuje, zanim go doniesiemy na miejsce.

Niosąc go, widzimy nagle drugiego Louie, Corrollo. I to nie dalej jak trzydzieści jardów od nas, tyle że w kotlinie, tak że leżąc na ziemi nie mogliśmy go zobaczyć. Gordon przebiega tam sprintem zgięty w pół i wraca zielony. Odniósłszy Maxa, wracamy po drugiego Louie. Między jego otwartymi oczami tkwi poszarpany kawałek litego metalu.

Niezły patrol rozpoznawczy, nie ma co - zrobiła się z niego wojna całą gębą. Love chyba czytał mapę do góry nogami albo po lewej stronie. Już nawet nie pamiętam, co tam mieliśmy robić wtedy rano, nad skrzyżowaniem, na śliskiej mokrej łące ze starą białą krową ze stoickim spokojem żującą ubłoconą trawę.

Obiecywałem sobie, że nie będę mówił o tym głupim dniu, ale stało się. Nie mogę sobie ufać.

Dzwoni telefon, a ja dalej nie śpię. Odbiera Mundy.

- Nie, tu Mundy. Dobra. OK, zaczekaj chwilę.

Ojciec przesuwa skrzynkę z baterią i popycha telefon do mnie.

- To Shutzer, chce mówić z tobą.

Wyłuskuję się z pierdziworka, odbieram telefon. Żołądek już mi się ścisnął: co tam nowego, do cholery?

- Co jest, Stan?

- Nasi niemieccy kumple znowu tu są. Na szosie, koło stracha na wróble. Może chcą nam teraz ulepić bałwana z papierosem w długiej cygarnicze, na siedząco? Chłopaki, nareszcie wiemy, co to za wojna: wojna bałwanów! RUSS WELT FUJ!

- Tego już za wiele. Poddaję się. - Opanuj się, Won't, wszystko ci się pochrzało. To przecież oni mają się poddać. Jasny gwint, oni sobie całkiem bimbają na to, czy my ich widzimy, czy nie, a na moje oko są bez broni.

- Tak? A pamiętasz, jak wtedy mieli schowany karabin i schmeissera? To, było nie było, „wróg”, faszystowscy oprawcy.

- Wiem, wiem. Zaczekaj.

Odsuwam mikrofon od ust. Gordon uniósł się na łokciu, a Mundy oparł oba łokcie na kolanach i wpatruje się we mnie pytająco. Wyjaśniam sytuację. Wilkins już wciąga buty i oporządzenie. Znowu wygląda na śmiertelnie przerażonego.

- Spokojnie, Matka, to tylko nasi okoliczni pierdolnięci Niemcy wymyślili nową zabawę.

Mam nadzieję, że mówię prawdę. Czekam.

- Won't?

- Tak? Co jest?

- Jest za ciemno, żeby dokładnie stwierdzić, co oni tam robią, ale jest ich co najmniej pięciu albo sześciu i zasuwiają jak szaleni. Mają ze sobą coś dużego i to nie jest bałwan. Może moździerz! Lepiej wyznacz kogoś na górny posterunek, żeby nas osłaniał.

Gordon wyskoczył ze śpiwora i ubiera się w te pędy. Mundy wkłada buty.

- Mel, ty i Matka idźcie na górę. Stan mówi, że ich jest z pięciu, sześciu, i coś tam majstrują - kto wie, czy nie instalują moździerza!

Matka i Gordon łapią karabiny i wypadają za drzwi, zanim Stan zgłasza się ponownie.

- Won't, Miller mówi, że oni ustawiają na drodze coś wysokiego.

- Stan! Gordon z Wilkinsem już idą na górne stanowisko. Mam do was zejść?

- Nie, mnie się mimo wszystko nie wydaje, żeby to było coś poważnego. Tylko że to takie niesamowite. Jeszcze chwilę poczekamy i damy ci znać. Miller skrada się do nich pod murem.

Rozłącza się. Dzwonię na górny posterunek. Całe szczęście, że zostawiliśmy tam telefon. Odpowiada Gordon.

- Co widzisz, Mel?

- Na razie niewiele, czekamy, aż oczy przywykną do ciemności, ale wygląda, jakby przy moście uwijała się ekipa drogowców. Matka chyba zaraz narobi w gacie.

- Widzicie, co robią?

- A gdzie tam! Widać tylko, że jest ich cała banda, może i komplet. Wilkins pyta, czy mamy otworzyć ogień, gdyby oni wykonali manewr w stronę Shutzera i Millera.

- Daj no mi Matkę, dobra?

W słuchawce coś skrzeczy, słychać, jak uderza o hełm Wilkinsa. Wilkins odzywa się szeptem.

- Sierzancie! Nasi chłopcy są w kiepskim położeniu. Niemcy mogą ich teraz zaatakować i zmieść jak chcą!

- Nic się nie martw, Vance. Obaj mają granaty, a ja jestem z nimi w kontakcie. Shuter się nie przejmuje; mówi, że Niemcy nawet nie mają broni i że chyba chcą ulepić bałwana, który by dorównał jego bałwanowi. Shuter uważa, że to jest wojna bałwanów.

- Nie rozumiem, Wont. Co tu się, do diabła, w ogóle dzieje? Matka na ogół przestrzega zasady czystości języka, nawet w sytuacjach stresowych. Poza Ojcem, jest jedynym, który naprawdę stosuje tę zasadę.

- Spokojnie, Matka, nie denerwuj się. Daj mi jeszcze raz Gordona.

- Wont, przed chwilą widziałem światło. Ktoś zapalił zapalną w otwartym polu i nawet jej nie osłonił. Poczekaj! Jeszcze jedna się zapaliła, i jeszcze jedna. Co jest, do cholery? Teraz

jest już co najmniej sześć świateł. O Jezu, jeszcze jedno! Czekać, nie rozłączaj się, masz tu z powrotem Wilkinsa.

Chciałbym teraz pilnie porozmawiać z dolnym posterunkiem. Sprawa zaczyna wyglądać poważnie. Ale słucham, co Wilkins ma mi do powiedzenia.

- To jest choinka! Ci Niemcy stoją w śniegu na środku drogi i zapalają świece na choince. Nie wierzę własnym oczom - co tu jest grane?

- Chyba Boże Narodzenie, Matka. Wyłącz się teraz, daj mi pogadać z Millerem i Shutzerem.

Dzwonię na drugi posterunek. Jest Shutzer.

- Widzisz ich, Won't? To choinka, kurwa jej mać! Te szajbnięte szkopy ustawiły na śniegu choinkę, na samym środku drogi, i ozdobiły ją świeczkami. Teraz wszystkie świece się palą: widać, że na gałęziach wiszą jabłka i kartofle. Powycinali nawet gwiazdy z tektury! Złaź tu do nas! Zaczekać! Teraz jeden z nich coś układa na śniegu koło drzewka. To ten podoficer, z którym gadaliśmy wczoraj. Reszta szkopów stoi po drugiej stronie drogi i uśmiechają się rozanieleni, jakby im kto w kieszeń nasrał. Mój Boże, oni są naprawdę w opłakanym stanie: my przy nich wyglądamy wprost elegancko. Musisz to sam zobaczyć, Won't, bo nie uwierzysz.

- Zaraz tam będziemy. Nie róbcie nic na własną rękę. I nie postrzelcie nas.

Wyłączam telefon. Mundy'emu nareszcie udało się włożyć buty. Zarzuca karabin na ramię.

- Co jest? Co tam się odbywa na dole? Uświadamiam sobie, że on jeden nie wie, co się dzieje. Przez telefon słyhać, tylko kiedy ma się słuchawkę przy uchu, to nie to co 506 - ka.

- Nasi niemieccy kumple przynieśli nam choinkę, Ojciec. Będziemy śpiewać kolędy, a może nawet urządzimy Pasterkę na twoją część. Chodź, idziemy tam do nich.

Pasem z nabojami kręcę młynka nad głową i biorę swój karabin. Przechodzi mi przez myśl, że może powinienem raczej usiąść w jeepie za pięćdziesiątką i trzymać całą sytuację pod kontrolą, ale to byłoby jakoś nie w porządku. Chyba nigdy się nie wsławię jako pogromca Hunów.

Dopiero na dole, u Staną i Buda, uświadamiam sobie, że Mundy nie przyszedł ze mną. Może to i lepiej: przyda się ktoś koło telefonu. Inaczej chłopcy z góry byliby odcięci. Należało wcześniej o tym pomyśleć.

Kiedy się zbliżam, Stan i Bud nie wywołują hasła, tylko odwracają się do mnie i przynaglają ruchami rąk. Od świeczek bije tak silny blask, że widzę ich bez trudu. Widzę też Niemców, ustawionych pod sznurek koło drzewka. Zdaje się, że w tym momencie wszyscy kwalifikujemy się pod sąd wojenny: za spoufalanie się z nieprzyjacielem.

Później, już po wojnie, wymyślono słowo „fraternizacja” na potępienie wszelkich niepożądanych kontaktów z Niemcami. Dotyczyło to przede wszystkim kobiet, ale i niejednemu żołnierzowi rzucono z tego powodu w twarz książeczką wojskową. „Fraternizacja” była zawsze brzydkim słowem i niewiele miała wspólnego z „braterstwem”. W moim odczuciu chodziło jednak właśnie o „spoufalanie się”. W ową noc wigilijną, niewątpliwie spoufalaliśmy się z wrogiem.

Miller, Shutzer i ja podchodzimy do krawędzi mostu. Znajdujemy się w korycie rzeczki, czyli podstawę drzewka mamy teraz na poziomie oczu. Karabiny wiszą nam na plecach, a ja nawet zapomniałem wziąć granat.

I wtedy oni zaczynają. Z początku nieśmiało, tylko jeden czy dwa głosy, ale już po chwili chórem: śpiewają kolędę. Śpiewają po niemiecku, ale melodia jest znajoma - *O, Tannenbaum*, czyli *Choinko ma*. Kończą śpiewać i zapada cisza, tylko świece dalej płoną. Za chwilę znowu śpiew. Tym razem słyhać *Adeste Fideles*. Miller nachyla się do mnie.

- Pod choinką leżą prezenty - widzisz? Bochenek chleba, butelka wina i jeszcze coś, co mi wygląda na kiełbasę Corrolla.

Po tej pieśni podoficer występuje na środek drogi i staje przed choinką. Podnosi butelkę wina i chleb, wyciąga je w naszą stronę. Nie wiem, jak się zachować. Nie potrafię zdobyć się na to, żeby wystąpić na szosę i na oczach wszystkich przyjąć prezenty od Niemca. Niemiec stoi sam jeden, z rozpostartymi ramionami, i wpatruje się w ciemność: wygląda nas.

W tej samej chwili widzę Ojca Mundy, który sady susami przez środek drogi, na całe gardło wyśpiewując *Adeste Fideles*. W rękach trzyma jakieś przedmioty i jeszcze coś pod pachą. O karabinie nie pamiętał. Wali prosto do Niemca i wręcza mu naszą ostatnią butelkę wina, biorąc od niego jednocześnie bochen chleba. Następnie podaje mu wiązkę małych paczuszek, a bierze ich butelkę. Niemiec pochyła się i podnosi kiełbasę spod choinki. Ją też podaje Mundy'emu. Przez cały czas trajlują coś do siebie i uśmiechają się.

I wtedy - nagle - Niemiec sięga pod bluzę i wyciąga lugera! Usiłuję przymierzyć się do strzału, ale już za późno. Niemiec przekazuje lugera Ojcu, kolbą do przodu - czy też raczej stara się to uczynić. Mundy odpycha broń. Wyławiam uchem jego dobitne: „No, sir!”

Czy to szkop mówi po angielsku, czy Mundy od początku maskował się z płynną znajomością niemieczyny - może nawet zna i jidysz, może to irlandzki Żyd infiltrujący Kościół katolicki? Nie, tego już za wiele!

Mundy odczepia z kieszeni połówki jeden granat. Czasami zapomina je wyjąć nawet do spania; mówiłem już, że Mundy jest mało ostrożny. Podaje pieprzony granat Niemcowi. Niemiec odwraca się i zawiesza granat na choince. Gałąź ugina się aż do ziemi. Niemiec i

Mundy rzą ze śmiechu.

Reszta Niemców ani drgnie przez cały czas trwania spektaklu. Teraz dopiero wala chórem *Cichą noc*, po niemiecku. Miller, Mundy i ja śpiewamy to samo po angielsku.

Po tym wszystkim Mundy podaje Niemcowi rękę i przeskakuje przez mur na dół, do nas. Niemiec przyłącza się do swojej bandy po drugiej stronie. Wszyscy cały czas śpiewamy. Przydałaby się Judy Garland w różowej sukience z falbankami albo Sonja Henie, która przejechałaby na łyżwach po zamarznętej rzeczce. Za plecami słyszę nagle jeszcze jeden głos: to Gordon. Domyślam się, że Wilkins został na górze, żeby nas osłaniać. Telefon, bądź co bądź, milczał, więc Wilkins nie ma pojęcia, co się tu dzieje, chociaż przecież musi słyszeć, jak śpiewamy.

Świecek na choince powoli się dopalają. Wieje zdrowy wiatr, palą się szybko, niektóre od razu zostały zdmuchnięte. Patrzę na świecek i gubię się gdzieś w zakamarkach własnych myśli. Bez żadnego sygnału Niemcy wycofują się powoli w las, pną się pod górę i nikną nam z oczu.

Już tylko parę świecek płonie na choince. Oglądamy się i odchodzimy na górę, do pałacu. Miller i Shutzer mają jeszcze pół godziny warty. Nie gadamy wiele - oniemieliśmy, jak to się mówi.

W pałacu Mundy rozkłada na materacu prezenty od Niemców. Gordon odstawia karabin i siada na sąsiednim materacu. Dopiero teraz uświadamiam sobie, jaki byłem przez cały czas zdenerwowany: trzęsę się jak galareta. Jakoś nie potrafię gładko przeżywać zdarzeń tak jak inni ludzie. Może osobowość twórcza nie nadaje się do zabawy w wojnę, a może jestem po prostu cieplarnianą odmianą tchórza.

Cieszę się, że wróciłem pod dach i mam jeszcze przeszło dwie godziny do ponownego wyjścia. Oddycham głęboko. Szkoda, że Gordon nie jest teraz na warcie, chętnie bym zapalił. Gordon zdejmuje buty.

- Przyznaj się, Mundy, jak to jest: uczyli was niemieckiego w seminarium, żebyście mogli pojechać do Berlina z nuncjuszem papieskim nawracać bezbożników jako misjonarze? A może ty jesteś niemieckim szpiegiem, którego nam wsadzili, żeby kościelną gadką rozmiękczał morale amerykańskiego żołnierza? O czym wyście tam we dwóch gadali? On przecież nie zna angielskiego, co?

Mundy gmera przy butach. Przeciąga się, ziewa, unosi wełnianą czapeczkę na jakieś dwa cale i skrobie się po głowie.

- No, wiecie, ja w kółko powtarzałem: „Wesołych Świąt i szczęśliwego Nowego Roku”. Z pięćdziesiąt razy powiedziałem: „Wesołych Świąt i szczęśliwego Nowego Roku”.

- A on, co do ciebie mówił? Cały czas coś szprechał.

- Coś jakby „tfu, liche łajno”. Powtarzał to w kółko. A potem, jak mi dawał chleb, mówi: „Daj nogę, szenk”. Tak przynajmniej usłyszałem. Nic nie kapuję z tej niemieckiej mowy. Umiem powiedzieć parę słów po irlandzku, sporo pamiętam z łaciny, ale po niemiecku ani dudu.

Dopiero po latach, spędzając z rodziną Boże Narodzenie nad jeziorem Starnberger See, w okolicach Monachium, zrozumiałem, co wtedy usłyszał Mundy. „Fröhliche Weihnacht” znaczy „Wesołych Świąt”, „Weihnachtsgeschenk” to „prezent gwiazdkowy”. Czyli byliśmy bardzo blisko. Ciekawe, co, zdaniem Niemca, mówił do niego Mundy.

Jakiś hałas za drzwiami. To nie mogą być Shutzer i Miller, za wcześnie na nich, więc skaczę na równe nogi. Wchodzi Matka Wilkins. Przez cały czas sterczał na górnym stanowisku, za» pomnieliśmy o nim na śmierć. Twarz ma ściągniętą i bladą, a na końcu czerwonego nosa wisi obowiązkowa perełka wilgoci.

- Wszystko OK? Co tam się działo? Ani rusz nie mogliśmy się z Melem do was dodzwonić. Ktoś tam śpiewał, czy co?

Gordon zrywa się z miejsca, podchodzi do Matki i pomaga mu zrzucić dwa pasy z nabojami, karabin i granaty.

- Rany boskie, Matka, strasznie cię przepraszam. Zapomniałem, że siedzisz na górze. U nas było fajnie. Niemcy chcieli tylko wspólnie z nami poświętować Boże Narodzenie. Nasz nieoceniony Ojciec Mundy odbył z nimi nawet wymianę prezentów gwiazdkowych.

Aż żał patrzeć na Matkę, jak z niedowierzaniem wybałusza gały na Gordona. Odwraca się do mnie.

- On się nie zgrywa, Wont? Naprawdę tak było?

- Jak słowo honoru, Vance. Zdaje się, że mamy do czynienia z tą odnogą armii niemieckiej, która co jakiś czas odwołuje wojnę - coś jak rycerskie „niedziele bez walki” w czasach średniowiecznych.

Matka przysiada na skraju legowiska koło Mundy'ego. Mundy usiłuje otworzyć butelkę, którą dostał od Niemca. Matka jeszcze się nie uspokoił; mam ochotę wyznać mu w tym momencie całą prawdę. Może by się zgodził, może Mel ma rację.

- Kurczę blade, Wont, nie wiem, czy wytrzymam tę wojnę w chowanego. Wolałbym, żebyśmy sobie nawzajem zeszli z drogi, chyba że trzeba się bić. Tego nie wytrzymam.

Gordon mocuje się z grubą skórą na kiełbasie. Wyciąga bagnet.

- Przyznaj się, Mundy, coś ty tam dał tym Niemcom, oprócz naszej ostatniej butelki wina?

Zerkam na zegarek Mela. Czas na zmianę warty. Postanawiam, że jeżeli wszyscy się zgodzą, ograniczymy warty do jednego na posterunku. Nie pamiętam, czyja teraz kolej. Chyba Mundy'ego i Wilkinsa.

- Niewiele. Tu nie ma wiele wartościowych rzeczy, przynajmniej nie z tego, co do nas należy i co możemy rozdawać. Dałem im trochę tej jajecznicy w proszku, której nikt z nas nie je, sześć konserw rybnych, tych znalezionych tutaj, i wszystkie paczuszki lemoniady. Aha, i jeszcze dziesięć pudełek papierosów po cztery sztuki. Do diabła, jest Gwiazdka, czy nie? Przynajmniej w przybliżeniu. I jeszcze dałem mu granat. Chciałem, żeby zrozumiał, że nie będziemy już rzucali w nich granatami. To wszystko. Taka ofiara w imię pokoju.

Mel podchodzi do Mundy'ego i podaje mu rękę. Śmieje się.

- Trzeba przyznać, Mundy, że chytry to ty jesteś - dać im te fajki, coś podobnego! Chociaż z drugiej strony, zabijanie w dzień Bożego Narodzenia nie bardzo licuje z duchem chrześcijańskim, nie uważasz?

Mel podaje Mundy'emu kielbasę.

- Daj spokój, Gordon, parę papierosów jeszcze nikomu nie zaszkodziło.

Gordon bierze od Mundy'ego niemiecką butelkę. Wyciąga korek. Mundy wyciąga szczyryk i zaczyna kroić kielbasę w plasterki. Gordon ostrożnie wacha zawartość butelki.

- Hej, to coś porządnego, jakby gin albo wódka, naprawdę mocne, siekiera.

Jeszcze raz pociąga nosem, po czym próbuje mały łyk. Patrzymy, jak kręci głową, a oczy zachodzą mu łzami. Dopiero po kilku sekundach może wydobyć z siebie głos.

- Ja się zabiję! To potrafi rozgrzać nieboszczyka! Skąd oni biorą coś takiego?

Przekazuje butelkę Mundy'emu. Mundy rozdaje salami. Każdemu po plasterku, jak przy komunii - hostia z płatków salami. Krew przemieniona w sznapsa.

- Uważaj, Ojciec! To nie jest wino mszalne. Założę się, że ma najmniej sto procent. Ale ci będzie od tego cieplutko po ciemku na dworze!

Mundy patrzy na zegarek.

- Psiakość, czemu nic nie mówicie? Mamy pięć minut spóźnienia. Chyba czekałem, aż zadzwonią z dołu.

Wstaje i zbiera swoje rzeczy. Wilkins też się podrywa.

- Ty zostań, Vance. Dosyć się nasiedziałeś na mrozie. Dzisiaj będziemy czuwać pojedynczo. Zgadzasz się, Ojciec? Jeżeli wolisz nie być sam, zejść z tobą.

- Coś ty, będzie mi dobrze. I tak chciałem trochę pomyśleć. U nas, księży, nazywa się to medytacją, ale tak naprawdę to jest myślenie, taka specjalna, prywatna odmiana myślenia. Siedź spokojnie. Przypomnij mi tylko, jakie jest hasło?

- „Przybieżeli - do Betlejem”. Ale wystarczy parę taktów *Cichej nocy*, po angielsku.

Po powrocie Shutzera i Millera puszcza myślenie wokół butelki i kroimy jeszcze trochę kiełbasy. Kielbasa jest przepyszna, lepsza niż ta, którą Corrollo dostawał od mamy, i ta, którą wykradał trupom. Jakiś Niemiec musiał ją dostać prosto z domu, to nie może być przydziałowy towar. Shutzer wprost nie może się nachwalić.

- Słowo honoru, autentyczne koszerne salami. Nie gorsze niż od Katza. Chyba zacznę obchodzić Boże Narodzenie.

Gordon jeszcze raz zdrowo pociąga z butelki. Jak tak dalej pójdzie, wszyscy zalejemy się w trupa. Może taki jest właśnie chytry niemiecki plan: spiją nas, a potem wygarną jak chcą. Gordon przekazuje butelkę Wilkinsowi.

- Jasne, Shutzer. To mi wszystko wyjaśnia. Aż dziwne, że wcześniej o tym nie pomyślałem. To w ogóle nie są prawdziwi Niemcy, tylko żydowski szpieg poprzebierani w niemieckie mundury, którzy chcą się tędy przemknąć z ważną informacją. A to żarcie to są ich ostatnie racje żywnościowe, które sobie przywieźli z domu, z getta.

- Uważaj z tym salami, Wont: tam w środku może być rolka z mikrofilmem pokazującym rozmieszczenie tajnych baz niemieckich. Dno butelki też trzeba sprawdzić.

Shutzer pociąga z butelki i zagląda przez szyjkę w jej głąb.

- Trele morele, tramwaj w oku. Zresztą, Gordon, całą tę twoją teorię o kant dupy połuc. Wyobrażasz sobie bandę starozakonnych, którzy robią taką bożenarodzeniową szopkę, bezbłędnie, co do świeczki? Niemożliwa historia. Nie, nie, to są zwyczajne pospolite szkopy, tyle że mają dobry gust w salami - to im trzeba przyznać.

Połowę zawartości butelki i większą część salami zostawiamy na później. Z takimi dodatkami codzienne racje stają się nawet zjadliwe. Shutzer nastawia wodę na kawę. Miller pakuje się w śpiwór równo ze mną. Wszystko jedno, jaki to naprawdę jest dzień, czuje się, jakby była Wigilia. Po raz pierwszy spędzę Boże Narodzenie z dala od domu - jeżeli go, naturalnie, dożyję. A może już dożyłem?

5. NIE MÓWCIE MATCE

Miller szarpie mnie za ramię. Podskakuję jak na sprężynie, siadam na krawędzi legowiska. Jestem nieprzytomny. Rozglądam się: ogień na kominku buzuje z głośnym pohukiwaniem. Ostatnio palimy ramami od obrazów. Shutzer właśnie jedną przytaszczył, łamie ją na rogach, dzieli na szczapy i jedną szczapę z miejsca rzuca w ogień. Wilkins musiał bardzo spuścić z tonu, skoro poświęca takie ramy - dębowe ręcznie rzeźbione. Podkreślał ich zalety, kiedy oglądaliśmy obrazy. Patrząc tam, gdzie stały skrzypce: stoją nadal, a więc jeszcze nie do końca przeistoczyliśmy się w barbarzyńców.

- No i jak, Won't? Nie rezygnujemy? Mam iść do zielonej komnaty i przebrać się? Matka siedzi na górze. On już ledwo wyrabia, te ramy musieliśmy mu wydzierać siłą. Nazwał Staną zdrajcą wszystkich wartości, o które walczy „jego naród”. Musimy coś zrobić, zanim całkiem pęknie.

- A ty, Stan?

- Silny, zwarty, gotowy do akcji.

- Dobra, zaraz wracam.

Wychodzę na dwór, żeby się odlać. Mógłbym pójść do łazienki, ale chcę przy okazji sprawdzić, jaka jest pogoda. Godzinę oceniam na jakąś dziewiątą rano. Dojście do szopy zajmie nam najwyżej pół godziny, więc mamy kupę czasu.

Zachmurzyło się. Śnieg nie pada, ale ciężkie chmury mogą puścić lada chwila. Jestem zdumiewająco spokojny; może znalazłem się w sytuacji zająca osaczonego przez psy i przestałem walczyć. Widziałem, jak coś takiego zrobiło się z Jenkinsem. Przestało mu na czymkolwiek zależeć. Potrafił spacerować jakby nigdy nic po odsłoniętym wzgórzu, pogryzając czekoladę. Bogu dzięki, że Edwards szybko się połapał i odesłali Jenkinsa do domu. Nie wydaje mi się, żeby Jenkins symulował: jemu naprawdę zaczęło zwisać, sam nie wiedział, co robi i po cholere.

Wracam pod dach. Biorę Millera za puls i patrzę na jego zegarek. Jest później, niż przypuszczałem, za dwadzieścia pięć dziesiąta. Shutzer i Miller już czekają. Gordon odpicował Millera, że mucha nie siada. Gdybyśmy mieli przybory do makijażu, wymalowałby mu jeszcze pewnie bliznę po pojedynku w poprzek policzka. Miller tak idealnie odpowiada filmowemu wizerunkowi okrutnego niemieckiego żołnierza, że ciarki mnie przechodzą, kiedy na niego patrzę. Aż nie chce mi się wierzyć, że ten facet jest po naszej stronie. Bezbłędnie wszedł w rolę: może on jest naprawdę faszystowską wtyką?

Po chwili mam już na sobie cały chłam. Wygląd żołnierza idącego na patrol to też

pantomima sama w sobie.

Dzisiaj w Paryżu, jako malarz uliczny, często doznaję déjà vu, kiedy pakuję się do malowania. Marsz ze sztalugami na plecach, z butelką terpentyny i poutykanymi po kieszeniach farbami, z płótnem przypiętym do sztalug, niewiele się różni od marszu z obciążeniem wojskowego ekwipunku, który przygniata człowieka do ziemi. Używam nawet tego samego określenia: kiedy wychodzę malować, choćby tylko na promenadę albo na dziedziniec, mówię, że idę „w pole”.

A jednak różnica jest zasadnicza. Malowanie potrafi być trudne i wyczerpujące fizycznie, ale jest wolne od zagrożenia. Nawet jeżeli ludzie wchodzą mi na głowę i zadają głupie pytania, nigdy nie czuję, że stoi mi za plecami ktoś, kto trzyma w rękach moje życie. Pstrykanie, które słyszę, pochodzi z aparatów fotograficznych, a nie z odbezpieczonego nagle magazynku.

Maszerujemy, nie przestrzegając nawet regulaminowych odstępów. Karabiny dyndają nam na ramionach i idziemy sobie spacerkiem, jak do szkoły albo na łyżwy po szkole. Jak na prymusów, wyjątkowe z nas tumany. Zastanawiam się, czy nie powinienem zrobić użytku ze swoich trzech pasków, ale rezygnuję. Bądź co bądź, w tej rozgrywce jestem zdecydowanie graczem wychodzącym.

Do szopy docieramy tuż przed dziesiątą; oni już czekają. Ci sami co wtedy: podoficer i ten błady, z firankami na oczach.

Ja i Miller zostajemy na wzgórzu, a Shutzer spacerkiem schodzi na dół. Miller powinien jeszcze założyć dłoń między pozapinane guziki połówki. Istny Napoleon obserwujący bitwę pod Borodino. Nawet jedną stopę wystawił lekko do przodu. Doszliśmy do wniosku, że lepiej, żeby nie miał przy sobie karabinu, jest więc nieuzbrojony, z wyjątkiem granatu zawieszzonego u pasa pod kurtką, który ma udawać pistolet.

Shutzer odwraca się i gestem przywołuje nas na dół. Trzymam się z tyłu za Millerem, mniej więcej w osłonie, z karabinem nadal zwisającym z ramienia, ale w każdej chwili gotowym do przerwania i strzału. Przy Niemcach nie widać żadnej broni - tak samo jak poprzednim razem.

Shutzer z wielką pompą dokonuje ceremonii prezentacji Millera. Cud, że nie dygnął. Niemiecki podoficer reaguje na ten cyrk nieznacznym skinieniem głowy, co Miller skrzętnie i bezbłędnie imituje. Musimy uważać, bo go jeszcze wciągną do armii niemieckiej. Shutzer wycofuje całą naszą ekipę o kilka kroków w tył.

- Czuję, że jesteśmy o krok od sedna sprawy. Ty, Miller, masz tylko zachować surowy wygląd i potakiwać albo kręcić głową, kiedy będę do ciebie mówił. Moim zdaniem, Won't, Miller będzie musiał podjąć decyzję na miejscu. Nie wyobrażam sobie innego rozwiązania.

Dalej mam podejrzenia co do tego drugiego faceta: zdaje się, że to on wszystkim kieruje, ale wątpię, czy rzeczywiście mówi po angielsku.

Niemcy stoją niedaleko, Shutzer mówi półgłosem, jakbyśmy odbywali towarzyską pogawędkę. Miller oparł ręce na biodrach.

- W porządku, Shutzer, bierzcie się do dzieła.

Jeeezu! Przemawia jak urodzony generał. Ani cienia uśmiechu. Shutzer wraca do Niemców, a Miller kroczy dostojnie w ślad za nim. Ja zamykam tyły, cały czas czujny.

Shutzer i podoficer zaczynają gadać. Niemiec cały czas gapi się na Millera. Miller patrzy mu w oczy, jakby wszystko rozumiał, ale na koniec odwraca się do Shutzera. Shutzer trzyma kamienną twarz.

- Streszczam. Oni rzeczywiście chcą się poddać. Dokładnie mówiąc, chcą to zrobić jeszcze dzisiaj wieczorem. Jest tylko jeden szkopuł. Mówią, że jakby się poddali bez walki, ich rodziny w kraju będą szykanowane już teraz albo dyskryminowane po wojnie. Chcą, żebyśmy ich pojmali w sfingowanej strzelaninie. Tak go przynajmniej zrozumiałem. Teraz, Miller, kiwnij parę razy głową z powątpiewaniem albo potrzyj brodę jak Platon odbywający dialog z Arystotelesem.

Miller posłusznie kiwa i pociera - może to wpływ brydza i innych gier? Oni naprawdę nie widzą różnicy między grą a sprawą życia i śmierci. W to, co teraz robimy, też grają. Shutzer znów pierwszy zwraca się do podoficera. Ciągle nie mogę pogodzić tego Shutzera, który kręci głową i wyśpiewuje każde słowo, z naszym Shutzerem, którego dobrze znam. Który z nich jest prawdziwy? Który Miller jest prawdziwy? Który ja? Przecież wiem, że tak naprawdę to wcale nie jestem sierżantem w plutonie zwiadowczo - rozpoznawczym autentycznego bojowego pułku piechoty.

Patrzę i słucham, jak Shutzer z Millerem rozgrywają swój skecz. Shutzer tłumaczy słowa Niemca na użytek Millera, a potem odwrotnie. Najkrócej rzecz ujmując, Niemcy bez entuzjazmu odnieśli się do projektu oddania nam jednego swojego na jeńca już teraz. Jednak nie ufają nam do tego stopnia. Shutzer tłumaczy im, że nasi zwierzchnicy koniecznie domagają się języka, którego chcą wypytać o to, co się szykuje na południu.

Na takie dictum drugi Niemiec zbliża się do nich i we dwóch z kumplem odbywają burzę mózgów. Shutzer otwiera paczkę papierosów, częstuje.

Wreszcie Niemcy komunikują nam, co postanowili: mamy podejść do nich dzisiaj wieczorem, popukać z karabinów, byle głośno, może rzucić też parę granatów i wziąć ich do niewoli. Mówię, że większość sprzętu będą musieli zostawić w domku myśliwskim, bo inaczej nikt nie uwierzy, że zostali zaskoczeni. Twierdzą, że wielka ofensywa niemiecka przetoczy się

tędy lada dzień.

Jeszcze trochę ceregieli i Shutzer z Millerem wracają do mnie. Scena pojmania jeńców ma się rozegrać dzisiaj o północy. Niemcy ustawią się w szeregu na dziedzińcu przed domkiem myśliwskim, a my będziemy na wzgórzu, skąd pierwszy raz przyfilowaliśmy ich przez lornetę. A więc będziemy mieli nad nimi miażdżącą przewagę. Z opisu nie wygląda mi to ha pułapkę, tylko rzeczywiście na zawikłany scenariusz kapitulacji. Nadal jednak się boję, chociaż nie widzę ku temu powodu: wszystko układa się przecież jak najlepiej. Więc nie wiem, dlaczego tak się boję. Chciałbym teraz przeczytać wiersz Millera o strachu. Zdaje się, że potrafiłbym go miejscami uzupełnić.

W drodze powrotnej Shutzerowi i Millerowi gęby się nie zamykają: jeszcze raz odtwarzają całą scenę, jakby szczegółowo analizowali rozdanie brydżowe. Szkoda, że to nie ja wymyśliłem to rozdanie - dużo bym dał, żeby lepiej wiedzieć, co się może stać i jakie kto trzyma karty.

Wracamy do pałacu i szczęście nas nie opuszcza. Wilkins znowu zaszył się na strychu, więc możemy bez trudu odbyć naradę drużyny. Ściągam nawet Mundy'ego z warty. Miller już przebrał się z powrotem w zwykłe ciuchy; Shutzer opowiada, co się działo. Mundy patrzy na niego błędnym wzrokiem.

- Naprawdę poszliście tam i gadaliście z nimi jeszcze raz i oni się zgadzają pójść do niewoli, ot tak, bez niczego?

- Jakbyś zgadł. Tylko najpierw musimy odstawić cyrk ze strzelaniną. W świetle scenariusza sztuki pt. *Matka Wilkins wygrywa wojnę*, to nawet lepiej. Element realizmu. Potem sprowadzimy ich tutaj i dopiero wtedy rozegramy turniej szachowy o tytuł głównego bohatera spektaklu.

Mundy wstaje i odbywa swoją tradycyjną rundkę wzdłuż materacy i z powrotem, po parę razy.

- Mnie się zdaje, że Vance na to nie pójdzie metodą wygranej w szachy. W jego pojęciu byłoby to niesportowe wykorzystanie własnej przewagi. Musimy zrobić tak, żeby wyglądało, że o wszystkim zdecydował ślepy los - i ja już wiem, jak to zrobić.

Wszyscy wstrzymujemy oddech, ciekawi, co Ojciec dalej powie. Ma rację. Wilkins wygra z palcem w nosie, nawet grając przeciwko nam wszystkim równocześnie, obojętne, czy na jednej szachownicy, czy na kilku.

- Powiem wam, co zrobimy: będziemy ciągnąć słomki. Z tym, że my wszyscy, jak tutaj jesteśmy, będziemy wiedzieli, która słomka wygrywa, i tej nie pociągniemy - na przykład druga od końca. Trzymać słomki będę ja: mnie Vance ufa. Tak zachachmęcę, żeby on ciągnął ostatni i

na pewno wygrał. Dzięki temu nie będziemy się musieli bawić w turniej szachowy w chałupie pełnej Niemców, w sytuacji, kiedy Ware albo Love mogą nam lada chwila spaść na kark. Co wy na to?

Wymieniamy spojrzenia. Shutzer podchodzi do Mundy'ego na palcach.

- Daj, Mundy, pocałuję cię w piętę. Widzę, że przez cały czas grubo się myliłem: rozrzedzona atmosfera nie nadwątlila twojego intelektu. Zrobimy dokładnie tak, jak mówisz. Wiadomo, że na to Matka się zgodzi. Chyba sam czuje, jak z nim kiepsko. Moim zdaniem, chwyci się tej szansy.

Mel dalej kręci głową z powątpiewaniem, ale nic nie mówi. Zaczynam rozgrzewać 506 - kę: chcę wiedzieć, co jest z pierwszą drużyną, jeżeli w ogóle są o niej jakieś wiadomości. Chłopaki tłoczą się wokół mnie. Ależ my tworzymy koktajl zapachowy! Niestety, dość obrzydliwy. Chyba najgorzej śmierdzą nogi, a wszyscy pozdejmowaliśmy buty. W myślach praktycznie pożegnaliśmy się już z wojną.

Kiedy wróciliśmy z patrolu, na szachownicy trwała właśnie rozgrywka, jeden ruch na minutę”, ale przerwano ją na czas mojej rozmowy przez radio.

Ware zgłasza się natychmiast.

- Co z pierwszą drużyną, sir? Odbiór.

- Jeszcze nie mamy informacji. Odbiór.

Mam nadzieję, że nie doszedł go chóralny jęk spoza moich pleców.

- Nie wrócili? Ani jeden? Odbiór.

- Ani jeden. Tutaj sprawy wyglądają tak kiepsko, że kuchnia i park maszynowy już stoją spakowane, gotowe do drogi. Nikt nie wie, w jakim kierunku. Nawet trzeci batalion tkwi na południu. Nie możemy ich wycofać, bo padłaby cała flank. Ni cholery nic nie wiadomo. Macie już tego języka? Odbiór.

- Wczoraj w nocy przeprowadziliśmy rekonesans, sir. Wygląda na to, że może jeszcze dzisiaj uda się pojmać jeńca. Uderzymy na ich posterunek około dziesiątej, tuż przed zmianą warty. Odbiór.

Odwracam się i puszczam oko do chłopaków.

- Byłe na pewno. Podjadę tam do Was w nocy, może z Love'em, i zabierzemy tego jeńca. Odbiór.

- Z Love'em, tutaj, sir? Odbiór.

- Tak jest. Tak sądzę. Odbiór.

- To widzę, że sytuacja naprawdę musi być poważna, sir. Odbiór.

- Nawet nie macie pojęcia, jak poważna. Love wykombinował, że szwabski oddział na

tak wysuniętej placówce może mieć coś do czynienia z wywiadem i znać plany. Love wychodzi z siebie, pułkownik wali w niego jak w bęben. Tu jest jak w domu wariatów: w kółko odprawy sztabowe, a nikt nie ma zielonego pojęcia, co robić. Major Hennessee zniknął jak kamfora, od blisko dwudziestu czterech godzin nikt go tutaj nie widział. Wokół całego korpusu sztabowego trzymamy podwójny kordon warty, a obwód tego kordonu stale się zacieśnia. Odbiór.

- Zrozumiałem, sir. Uważam, że nie musicie do nas przyjeżdżać. Proszę powiedzieć majorowi Love, że języka będziemy mieli gdzieś po dwudziestej czwartej i natychmiast przetransportujemy go jeepem do kwatery. Nie ma sensu, żeby major Love ryzykował i jechał tu taki kawał. Po lasach szwenda się kupa patroli. Odbiór.

- Przekażę to majorowi Love. Mnie też się nie pali dojazdy tymi drogami, po nocy, po śniegu, bez świateł. Odbiór.

- Jeepy trzymamy w pogotowiu, sir, z łańcuchami. Miller co jakiś czas obraca silniki, żeby akumulatory i woda nie pozamarzały. Jakoś sobie radzimy. Zdobędziemy wam tego języka, sir. Odbiór.

Tego tylko brakowało, że Ware z Love'em zaczęli nam się tutaj pętać. Wtedy już na pewno nic byśmy Wilkinsowi nie załatwili.

- Dobra. Zróbcie, co się da. Jeżeli ten numer wam wyjdzie, zasłużycie się u Love'a dla całego plutonu, bankowo. Odbiór. Koniec.

- Odbiór i koniec sir.

Wyłączam radiostację i patrzę, jak skala powoli gaśnie. Podnoszę wzrok. Koło mnie stoi Mel i wciska pięści pod boki.

- Cała pierwsza drużyna przepadła? Jezu, to nas zostało tylko sześciu w plutonie. Jak w pierwszej wojnie: końca nie ma. Nie chce mi się wierzyć, że sam biorę w tym udział.

- Słuchaj, Mel, idziemy na patrol, odwalamy strzelaninę, zgarniamy siedmiu krasnoludków i wracamy w te pędy do pałacu, zanim smoki wkroczą do akcji. Wilkinsa zasadzimy przy radiu. Moim zdaniem, taki scenariusz ma sens.

Gordon odwraca się i patrzy gdzieś w bok.

- Tu nic nie ma sensu. Jak można dopatrywać się sensu w czymś, co jest z gruntu bezsensowne - jak na przykład wojna?

Miller, Mundy i Shutzer słyszeli każde słowo. Więcej mówić nie trzeba. Najchętniej skoczyłbym tam zaraz, tylko z Shutzerem, i mielibyśmy problem z głowy. Tak by było najprościej. Tylko że Niemcom zależy na odgłosach strzelaniny: będzie lepiej brzmiało, jak pójdzie cała drużyna.

Czyli Wilkins zostaje sam przy radiu. A my się uwiniemy raz, dwa, wrócimy, odwalimy

ciągnięcie słomek według koncepcji Ojca Mundy'ego - i jedziemy wolni do domu.

Obliczam, że musimy wyruszyć o jedenastej: wtedy powinniśmy mieć dość czasu na załatwienie wszystkiego, zanim ewentualnie zjawi się Ware. Mimo wszystko nie wierzę, że Love tłułby się jeepem po ciemku, dopóki istnieje prawdopodobieństwo napotkania żywego, autentycznego niemieckiego patrolu.

Dochodzi wpół do jedenastej. Zaczynamy się szykować. Matce mówię, że idziemy zapolować na języka i że jakbyśmy nie wrócili w dwie godziny, ma dzwonić do pułku. Matka jest wyraźnie uradowany, że nie musi iść na patrol. Takie tygrysie patrole na pół gwizdka są najgorsze.

Żaden z nas nie wspomina o pierwszej drużynie. Co tu gadać. Zdjąłem wartę, więc Wilkins zostanie w pałacu zupełnie sam. Przez chwilę mam ochotę powiedzieć mu, żeby objął posterunek przy moście - chodzi o zachowanie pozorów na wypadek, gdyby Ware jednak przyjechał. Ale rezygnuję z tego pomysłu. Jeżeli wszystko pójdzie jak należy, niedługo będziemy z powrotem.

Tym razem wszyscy ubieramy się w białe kombinezony. Pokój wygląda jak przedsionek piekła. Może Matka trochę posprząta pod naszą nieobecność. Nie będzie miał nic innego do roboty, a skoro ma pilnować radiostacji, i tak nie będzie się mógł schować na strychu. Szczerze mówiąc, niepokoję się o niego: Mel ma rację, że Matka jest w znacznie gorszej sytuacji niż my. Jak w grze salonowej, w której całe towarzystwo, prócz jednego, zna sekret czy hasło, a ten jeden wychodzi na durnia, bo go nie zna. To nie w porządku, ale mam nadzieję, że wszystko dobrze się skończy.

Sprawdzam broń i granaty, zarzucamy pasy z amunicją, jakbyśmy wychodzili na poważny patrol. Chodzi głównie o przedstawienie na użytek Matki, a poza tym nigdy nic nie wiadomo. Gordon i Mundy nie mieli na przykład jak dotąd do czynienia z tymi Niemcami - tyle że pośpiewali z nimi kolędy pod choinką - mają prawo nadal się bać. Na dobrą sprawę, wszyscy powinniśmy się bać, ale sytuacja jest tak absurdalna, że działamy wbrew wszelkim regułom. Mam cichą nadzieję, że dadzą nam najpierw tego języka, a wielką szopkę odłożymy na później. Ale może oni wiedzą coś, czego my nie wiemy? Może rzeczywiście przejdzie tędy zmasowany atak? Ware był, sądząc po głosie, nieźle wystraszony.

A jednak denerwuje się bardziej niż myślałem. Dopiero kiedy wychodzimy z pałacu, robi mi się trochę lepiej. Śnieg nie pada, księżyc świeci jasno. Jest tak samo jak tamtej nocy, kiedy Niemcy wystawili stracha na wróble: niskie chmury tak jak wtedy pędzą po niebie, na przemian to zasłaniając, to odsłaniając księżyc, po ziemi wiją się białe, niebieskie i czarne cienie. W księżycową noc, kiedy śnieg leży na ziemi, jest prawie tak jasno jak w dzień -

zamarznięte kryształki śniegu skrzą się w blasku księżyca. Polecam chłopakom zachować dziesięciojardowe odstępy. Shutzer idzie pierwszy, ja za nim, za mną Mundy, potem Miller, Gordon zamyka tyły. Regularny szyk patrolowy, tyle że skrócony. Tuż przed grzbietem wzgórza zatrzymujemy się, żeby przebrać Millera w kostium.

Śnieg jest głęboki i sypki, z każdym krokiem nasypuje mi się do butów. Widać gwiazdy, wieje mroźny wiatr. W takie wieczory najlepiej się jeździło na łyżwach, zbierając przy tym chrust z zamarzniętej powierzchni strumienia, a potem paliło się ognisko. Dzisiejszy wieczór wydaje się cichy, niegroźny i pełen oczekiwań.

Kierujemy się w dół rzeki, ku szopie. Postanawiam, że znajdziemy ich w ten sam sposób, jak za pierwszym razem, kiedy szliśmy do domku myśliwskiego. Tę trasę już znamy. Wychodzimy na zbocze powyżej ich posterunku. Wiem, że na nas czekają, a jednak denerwuję się na myśl o spotkaniu z niemiecką wartą. Staramy się schodzić powoli, żeby nikogo nie przestraszyć. Jestem niespokojny, spodziewam się najgorszego.

Kiedy stajemy na dnie ostatniej kotlinki, daję znak reszcie drużyny - to znaczy Gordonowi i Mundy'emu - żeby się zatrzymali. Miller pojawia się przed nami w swoim kostiumie. Shutzer zgadza się podejść do posterunku sam, a my zaczekamy na wzgórzu. Wszelkie pertraktacje prowadzić będzie on i Miller. Chwilowo prawie nic nie widać, bo księżyc znurkował za wielki wał chmur. Z trudem wyróżniamy białą, połyskliwą linię szosy na samym dole, między nami a domkiem myśliwskim. Nigdzie nie widać posterunku, na który trafiliśmy za pierwszym razem. Może przestali go obsadzać. Może są tacy jak my - mniej przestraszeni, a bardziej zajęci przygotowaniami do wielkiej kapitulacji. Shutzer nachyliła się do mnie bardzo blisko:

- No to raz kozie śmierć. Nie wiem, co mam mówić, żeby nie zaczęli do mnie strzelać. Będę schodził w dół i wołał: „Comrade!”

Miller stoi za moimi plecami.

- Mówisz, jakbyś to ty miał się poddawać. Czy ty na pewno wiesz, co tu robisz, Stan?

- Nie podpuszczaj mnie, Miller.

Miller zostaje za mną, a Shutzer rusza zboczem na dół. Idąc, powtarza głośno: „Comrade!” - ale nie krzyczy. Z ciemności dobywa się głos, który mu odpowiada: „Kamerad”. Daję reszcie znak, żeby wspięli się trochę wyżej, skąd będziemy mieli dobre pole ostrzału ponad domkiem myśliwskim. Każdemu z osobna nakazuję osłaniać Shutzera i być gotowym do strzału, gdyby coś poszło nie tak. W razie prawdziwej strzelaniny, mamy zdecydowaną przewagę. Z każdą chwilą jednak umacniam się w przekonaniu, że Niemcy nie robią żadnych sztuczek.

Nie spuszczałem Shutzera z oka. Podchodzi do tego miejsca, gdzie poprzednim razem był posterunek. Widzę sylwetkę Niemca gramolącego się z okopu. We dwóch z Shutzerem ruszają w dół, w stronę domku myśliwskiego. Patrzę pilnie, czy Shutzer nie daje nam jakichś znaków, ale nie. Przecinają drogę i zaczynają się wspinać na drugie wzgórze. Księżyc znów wyjrzał: kiedy Shutzer przemierza płaski plac przed domkiem i wchodzi do środka, jest jasno jak w dzień.

Czekamy. A co innego mamy robić? Shutzer cały czas siedzi z karabinem przez plecy, czyli że musi czuć się bezpiecznie.

Po jakichś pięciu minutach Shutzer staje w drzwiach domku i macha na nas, żebyśmy schodzili. Sprawdzam, czy Gordon i Mundy są na swoich pozycjach.

Kiepska to osłona ogniowa na wypadek, gdyby coś się potoczyło wbrew scenariuszowi, ale nic więcej nie możemy zrobić. Mógłbym wysłać tam Millera samego, ale chcę wiedzieć, co się dzieje i jakie będą ustalenia.

Miller patrzy na mnie. Też już dostrzegł Shutzera i czeka, co teraz zrobimy. Daję mu znak ręką i obaj zaczynamy schodzić w dół. Niemiec z posterunku, ten, który zaprowadził Shutzera do domku, teraz wraca w naszą stronę. Mijamy się na skraju drogi. Dziwne to uczucie, mijać się z nim tak blisko w blasku księżyca, w pełnym rynsztunku bojowym. Wymieniamy uśmiechy jak współnicy. Naprawdę jest prawie tak, jakby wojna się skończyła.

Podchodzimy na plac przed domkiem. Shutzer czeka na zewnątrz, wszyscy Niemcy są w środku.

- Jak nasze układy, Stan? Dalej wszystko w porządku?

- Chcą mówić z naszym oficerem, Herr Mullerem. Założę się, że to tylko dlatego, że ja jestem Żydem.

Miller demonstruje wzorowe wysunięcie szczęki.

- Nie pierdolcie, Shutzer.

Wszyscy tłumimy chichot. To było pierwsze jawne wewnętrzzdrużynowe „pierdolenie” od miesięcy.

- Dobrze, ty obrzezańcu, przedstawicielu wybranego narodu, prowadź mnie do ich przywódcy. A w ogóle to ilu ich tam jest?

- Sześciu, plus ten jeden, który poszedł na wartę. Jeżeli rzeczywiście chcą się poddać, to po cholere trzymają wartę? Przed kim się pilnują?

- Może przed innymi Niemcami, kto to wie? Może i oni mają swojego majora Love, Ubergruppenfuhrera Liebe, czy coś w tym stylu?

Rozglądam się i biorę głęboki wdech. Byle nie stracić opanowania. Najchętniej albo

odwaliłbym wszystko raz, dwa, albo wycofał się rakiem z całej afery.

- Siedmiu. To by się zgadzało. OK. Idziemy. Zobaczymy, jak nam pójdzie. Tylko gdzie ta księżniczka i pół królestwa?

- O tym jeszcze pogadamy. Ty, Miller, jesteś drugi w kolejce. A Won't i tak nie wie, do czego służą kobiety.

Wchodzimy do domku. W środku jest nadymione i śmierdzi, ale nie tak jak u nas. Wzdłuż ścian stoją prycze. Właściwie gdyby nie brak okien, byłoby tu jak w koszarach. W nogach każdej pryczy leży porządnie poskładany sprzęt. Hunt uradowałby się, jakby to zobaczył: całkiem jak przed sobotnią inspekcją. Ciekawe, czy zawsze mają taki porządek, czy posprząтали specjalnie na nasze przyjscie. Ci Niemcy nawet poddawać się umieją jak należy. To jest wojsko!

W odległym końcu pomieszczenia pali się ogień. Niemcy stoją wokół niego i coś szwargoczą. Kiedy wchodzimy, oglądają się przez ramię. Blask księżyca, który razem z nami wtargnął do środka przez otwarte drzwi, jest błękitnawy i stalowo chłodny, jaskrawy przez kontrast z żółtopomarańczowym półmrokiem wnętrza. Podoficer odłącza się od grupy i podchodzi do nas. Wymieniają z Millerem charakterystyczne krótkie skinienia głową i Niemiec zaczyna mówić do Shutzera.

My z Millerem przybieramy takie miny, jakbyśmy świetnie rozumieli, co mówią. Reszta Niemców przysunęła się bliżej. Słuchają gadki swojego podoficera, kiwają głowami i pomrukują do siebie. Ciekawe, nad czym tak długo debatują. Myślałem, że już wszystko ustalone, tylko działać. Shutzer odwraca się do Millera i patrzy na mnie znacząco.

- Coś się popsuło w sygnalizacji. Ich cały czas dręczy sprawa oddania języka. Przestraszyli się tego. Upierają się, żeby całe przedstawienie odwalić już dzisiaj. Ale ja jestem twardy, wszystko będzie dobrze, nie martwcie się. Miller, zachowuj się bez entuzjazmu: potrzyj brodę i przyjmij gniewny wyraz twarzy. Tego się chyba teraz spodziewają.

Miller przybiera postawę „sztabową”. Ciekawe, co by było, gdybym parsknął śmiechem. Może Niemcy zażądaliby postawienia mnie przed sądem wojennym i powieszenia za kciuki. Ale Shutzer gra va banque. Koncentruje się jak na turnieju brydżowym.

- Oni mówią, że jak nam teraz oddadzą jeńca, będą musieli to zgłosić, a wtedy ktoś od nich może tu przyjechać. Ale to chyba austriackie gadanie, bo nie widzę, żeby tu mieli jakąś radiostację.

Podoficer ogląda się na nas, więc Shutzer wraca do niego gadać dalej. Miller daje dwa kroki do przodu. Ja otwieram paczkę gówna wartych Chesterfieldów i częstuję wszystkich po kolei. Jeden z Niemców zdejmuje z półki butelkę i cynowe kubki. Nalewa dla wszystkich. To ta

sama siekiera, którą nas uraczyli wczoraj w nocy. Facet wręcza mi pełen kubek. Jeszcze się urznię i przyładuję któremuś, jak się zacznie nasza wojna na niby. Shutzer wraca do mnie, holując Millera.

- Oni się wszyscy trzęsą przed tym spodziewanym wielkim uderzeniem. Chcą jak najprędzej odbębnić spektakl. Moim zdaniem to bardzo dobrze. Miller wyraził zgodę. Teraz oni zbiorą rzeczy i zaczynamy. Jeden z nich wyskoczył rano po prowiant i widział całe sznury wozów pancernych i czołgów. Może zalewają - nie mam pojęcia. Nie wyobrażam sobie, żeby wtedy mogło iść natarcie, a wy?

- Ja już nic nie wiem, Stan. Uwierzę we wszystko. Ci Niemcy też mają swoich generałów, pułkowników i kupę innych typów przywódczych. Wszystko jest możliwe.

Daję Stanowi łyk sznapsa. Niemcy rozleźli się po całym pomieszczeniu, pakują sprzęt; nie biorą go dużo. Widzę, jak podoficer chyłkiem ściąga zegarek, podskakuje i chowa go na belce pod powalą. Zdaje się, że ja jeden to zauważyłem. Może zamierza po niego kiedyś wrócić, jak ja po swoje rysunki. Każdy próbuje uchronić w tej wojnie coś własnego.

Niemcy ustawili się w szeregu przy drzwiach. Gaszą obcasami niedopałki i sprawdzają karabiny. Jak na komendę, wszyscy otwierają małe skórzane futerały na naboje, które im zastępują nasze pasy amunicyjne. Mają okropnie zniszczony sprzęt: spod czarnej sztucznej skóry przeświecają placki brązu, wszystkie kanty są pościerane na okrągło i wyświecone.

Sądząc po tempie przygotowań, w prawdziwej walce nie mielibyśmy z nimi szans. Przerażenie mnie ogarnia, jak na to patrzę: żadnych sentymentów, spokojnie wpuszczają naboje w karabiny. Podoficer przewiesza schmeissera przez ramię i bierze luger. Odciąga zamek dla sprawdzenia ładunku. Spogląda na Shutzera i Millera, kiwa głową.

Shutzer wprowadza mnie w szczegóły ostatnich ustaleń.

- Ma być tak: oni ustawią się szeregiem na polance przed domem, ja i Miller też tu zostaniemy, a ty wrócisz na górę, do chłopaków. Na jego znak wszyscy zaczynamy strzelać. Niech każdy wystrzela ze dwa magazynki, powinno starczyć. Potem reszta naszej drużyny schodzi na dół, spotykamy się na drodze, bierzemy ich do niewoli i rozbijamy. Ich podoficer chciał sobie zachomikować schmeissera, ale mu powiedzieliśmy, że nic z tego. Na cholerę mu taka spluwa po wojnie? Chyba nie na zające? Kiedy Niemiec i ja podniesiemy ręce do góry, będzie to oznaczało, że koniec strzelania. To tyle. Na moje oko, wszystko gra.

- Chyba tak, Stan. Skoczę na górę streścić wszystko Mundy'emu i Gordonowi. Wy z Budem uważajcie tu na siebie.

- Nie martw się, pójdzie jak po maśle. To będzie najdonioślejsza chwila w mojej wojnie.

Wychodząc mijam ustawionych w szyku Niemców. Wszyscy trzymają broń w

pogotowiu; czuję się jak pan młody na oficerskim weselu. Na dworze jest srebrzyście, księżyc jasno świeci, chmury gnają po niebie. To chyba trzecia kwadra księżycy; na zewnątrz jest jaśniej niż w domku. Pnąc się pod górę, mijam niemieckiego wartownika, który schodzi w dół. Ciekawe, jakim sposobem przekazali mu sygnał? Może na posterunku jest jednak telefon? Zerkam po drodze do okopu, ale nic nie widzę. Porządny okop, z podpórką strzelecką. Korzenie w ścianach wyglądają, jakby je ktoś poobcinał bagnetem.

Gramolę się do Gordona i Mundy'ego. Biorę Mundy'ego za rękę i sprawdzam czas. Chwilowo żadna chmura nie przesłania księżycy: obie wskazówki na zegarku Ojca wskazują równo do góry - północ. Na przeciwległym wzgórzu śnieg połyskuje w rozproszonym blasku księżycy, nikiłe błyski błękitu, fioletu i purpury, unoszące się w jasnym snopie, drwią z czerni nocy. Mundy'ego wysyłam na prawo, ponad drogę wiodącą do pałacu. Sam zostaję pośrodku. Gordon schodzi niżej, kierując się nieco w lewo, o jakieś dwadzieścia, trzydzieści jardów. Widzę wszystko doskonale, ich dwóch też. Czekamy. Panuje kompletna cisza.

Widząc ich wychodzących z domku myśliwskiego - czuję tylko przemożny, niesamowity spokój. Pierwsi wychodzą Shutzer i podoficer. Niemiec ustawia swoich ludzi w szeregu, w równych odstępach. Miller ustawia się za nim i Shutzerem. Stoją na skraju polanki, plecami do nas, siedzących na wzgórzu.

Shutzer spogląda do góry, czy wszyscy jesteśmy gotowi. Macham do niego, że tak. Shutzer i Niemiec podnoszą ręce nad głowy. Niemieccy żołnierze wznoszą karabiny, lufami do nieba. Przerzucam broń w pogotowie i celuję ponad dach domku. Gordon i Mundy czynią to samo. Wcale nie patrzą na mnie: wzrok mają wlepiony w Shutzera.

Shutzer i Niemiec gwałtownie opuszczają ramiona. Niemcy strzelają wszyscy równocześnie, jakby oddawali salwę honorową na wojskowym pogrzebie. Najpierw wojskowy ślub, teraz pogrzeb. Wystrzeliwuję zawartość magazynku, po jednym naboju w nieregularnych odstępach czasu. Mundy i Gordon tak samo. Niemcy ładują ponownie. Przynajmniej w jednym jesteśmy lepsi od nich: w pozorowanej strzelaninie.

W drugiej rundzie Niemcy strzelają już nie tak równo - zależy, który pierwszy załadował komorę. Z daleka musi to brzmieć jak regularne starcie zbrojne.

Zakładam właśnie drugi magazynek, kiedy jeden z Niemców pada na ziemię! Jak Boga kocham, że przez ten cały cyrk w pierwszej chwili myślę, że figluje, zgrywa się, jak dzieciaki przy zabawie w Indian i kowbojów, albo w policjantów i złodziei. Ale zaraz widzę, że to nie zabawa: Niemiec wierzga, tarza się po ziemi, a z szyi tryska mu krew! Wrzeszczę do Gordona i Mundy'ego, żeby natychmiast przerwali ogień. Shutzer podniósł w górę obie ręce. Strzelanina zamiera i przez jakieś dwie sekundy panuje cisza. Wtem rozlega się pojedynczy strzał; drugi

Niemiec pada, podrywa się na chwilę i ląduje twarzą o ziemię.

Widzę, jak Mundy zbiega z naszego wzgórza i wyskakuje na drogę. Teraz jest najbliżej Niemców z nas trzech, biegnie i coś wrzeszczy. Karabin trzyma nad głową, wymachuje rękami, drze się na całe gardło.

- Wilkins! Matka! Przestań, na litość boską, nie strzelaj!

Pada następny strzał. Mundy wali się na drogę. Tym razem to był luger. Niemiecki podoficer odwraca się i strzela do Shutzerera, który dalej stoi z karabinem na plecach. Miller przykłęka i oddaje strzał, podoficer wyskakuje w górę, okręca się w powietrzu i pada. Następuje parę sekund ciszy, ale zaraz reszta Niemców zaczyna strzelać w kierunku wzgórza, w naszą stronę. Klamka zapadła. Walę kolejno wszystkie siedem pocisków z magazynku, Gordon koło mnie też strzela. Miller leży płasko na ziemi. Shutzer siada raz, wypręża się i turla z powrotem na bok. Wobec naszej pozycji i półautomatów, Niemcy nie mają szans. W dziesięć sekund wszyscy leżą na ziemi, tylko jeden się rusza. Próbował wiać w górę, do latryny. Porzucił karabin, ale zaraz oberwał i wrzeszczy leżąc na stoku.

- Mel, sprawdź, co z Shutzerem i Millerem! Ja lecę do Mundy'ego! Uważaj, czy żaden Niemiec nie udaje trupa!

Krzyczę, płaczę i biegnę. To się stało tak nagle. Zanim docieram do Mundy'ego, dwa razy przewracam się na zboczu, bo jest ślisko. W pierwszej chwili nie widzę, gdzie go trafili. Mundy leży na plecach, podkurczył nogi, obejmuje kolana rękami i kolebie się w tył i w przód. Oddycha, ale chrapliwie, z trudem. Z kącików ust zaczyna sączyć się krew. Mundy nie płacze, nie krzyczy. Powtarza tylko stłumionym głosem: „Jezus, Maria, Józefie Święty, Jezus, Maria, Józefie Święty”.

Udaje mi się rozprostować mu nogi i przewrócić go na brzuch. Oberwał w plecy, chcę się dostać do rany. Na oświetlonym księżycem śniegu powstała czarna, głęboka kałuża krwi. Mundy podciąga się na kolana. Pośrodku pleców ma wielką dziurę, z której płynie krew.

Zdejmuję bagnet, rozcinam kurtkę polową Mundy'ego. Mundy klęczy wsparty na łokciach, z głową na przedramionach. Cały czas się kołysze.

- Trzymaj się, Ojciec. Zrobię ci opatrunek.

Ściągam z niego apteczkę, odcinam krawiec koszuli. Plecy Mundy'ego są białe - czarne. Tuż na lewo od rdzenia pacierzowego widnieje otwór o średnicy mniej więcej pół cala. Z każdym oddechem Mundy'ego powietrze wsysa się i wychodzi tamtędy, wydymając krwawe bańki. Ledwo słyszę, co Mundy szeptem w śniegu.

- Są jeszcze ranni?

- Wszystko w porządku, Paul, nie martw się.

Patrzę w stronę Shutzera i Millera. Miller stoi i wygląda, jakby mu nic nie było. Obaj z Gordonem robią coś koło Shutzera. Shutzer siedzi. Mundy próbuje znowu, niewiele głośniejszy niż szmer oddechu i bardzo powoli, jeszcze wolniej niż zwykle:

- Wszyscy Niemcy zabici?

- Tak mi się zdaje. Nie myśl o tym teraz. Obandażujemy cię i zabierzemy stąd. Uspokój się, nie myśl za dużo. Nie zimno ci?

- Nie, ciepło. Niech się Pan Bóg zlituje nad tymi nieszczęsnymi Niemcami i nad nami wszystkimi. Spieprzyliśmy sprawę.

Spieprzyliśmy? Mundy? O, cholera! Zaczopowałem ranę, założyłem ją opatrunkiem z mojego bandaża, a teraz owijam z wierzchu bandażem Mundy'ego i wiążę końce pod spodem, na jego piersi. Macam, czy pocisk wyszedł drugą stroną, ale nic nie czuję. Częściowo dlatego, że ręce mam lepkie i mokre. Wsypałem mu w tę ranę dwa pakiety sulfatiazolu. Na moje rozeznanie, ma połamane żebra i przestrzelone płuco - najmniej tyle. Ojciec odwraca głowę, patrzy na mnie.

- Tylko nie mów Matce.

- Dobra, Paul. Nikomu nie powiemy.

A teraz mówię wszystkim. Ale bardzo długo trzymałem to w tajemnicy.

Podnoszę wzrok, ciekaw, gdzie właściwie jest Wilkins. Może też oberwał. Może któryś z Niemców pokapował się, skąd padają strzały, i posłał Matce kulkę. W tej samej chwili widzę go nadchodzącego drogą. Posuwa się ostrożnie, od drzewa do drzewa. Zdaje się, że strzeliłby teraz do każdego, kto by się poruszył. Nadal nie ma o niczym zielonego pojęcia.

- Nie martw się, Paul, nic Matce nie powiemy. Nigdy się nie dowie.

Zdejmuję pasy z siebie i z Mundy'ego. Spinam je razem i opasuję Mundy'ego na wysokości bandaża. Krew płynie jakby wolniej, ale jest gęstsza. Mundy zaczyna się krztusić.

Z każdym kasznięciem wypływa wielkie skrzepy krwi. Osuwa się policzkiem na śnieg, ale nadal klęczy z wypiętym tyłkiem. Próbuje coś mówić, chociaż usta ma pełne krwi. Zdejmuję hełm i zbliżam ucho do jego ust.

- Zdaje się, że te Pierwsze Piątki niewiele pomogły.

- I bez nich dasz sobie radę, Ojciec.

Nie mam pewności, czy mnie słyszy. Oczy ma cały czas otwarte i prawie przezroczyste, bo księżyc świeci mu prosto w twarz. Zanurzam koniec kciuka w mieszaninie śniegu, śliny i krwi, która zebrała się przy ustach Ojca i znaczę krzyż na jego czole, zamykam mu powieki i je też pieczętuję znakiem krzyża; jeszcze krzyżyk na ustach i po wewnętrznych stronach dłoni. Nie przychodzi mi do głowy nic, co mógłbym w tej chwili powiedzieć i potem się tego nie

wstydzić.

Wtedy Mundy, nie otwierając oczu, ledwo poruszając ustami tuż nad śniegiem, stara się jeszcze coś powiedzieć. Pochyłam się tak nisko jak mogę i łowię uchem ledwo słyszalne:

- Pamiętaj, nie mów Matce.

Przestaje oddychać; jeszcze chwilę bulgocze mu w piersiach; ostatnie westchnienie; gwałtowne szarpnięcie do przodu, Ojciec pada, kopie nogami - i koniec. Cisza. Podnoszę wzrok: nad nami stoi Wilkins i płacze.

- On nie żyje? Paul nie żyje?

- Chyba tak, Vance.

- Biegł, żeby mnie ostrzec. Słyszałem, jak wołał mnie po imieniu tuż przed tym, jak go trafili. Nic nie rozumiem. Usłyszałem strzelaninę, miałem idealną pozycję, mogłem wykosić tych wszystkich Niemców bez kłopotu, nawet nie wiedzieli, gdzie jestem. Nic nie rozumiem.

Matka zanosi się głośnym, urywanym szlochem, pada na kolana obok Mundy'ego.

- Vance, przecież wiesz, jaki jest Paul. Robi głupstwa z czystej bezmyślności. Zawsze taki był.

- Czuję się jak szmata. Jakby to była moja wina.

- Nic tu nie mogłeś poradzić, Matka.

Próbuję złożyć brzegi rozciętej bluzy Mundy'ego. Rana już nie krwawi. Upadając na twarz, Mundy trzymał ręce przed sobą, skrzyżowane na piersiach. Odwracam go na plecy i zbliżam twarz do jego ust, żeby się upewnić, czy nie oddycha. Nie żyje.

We dwóch z Wilkinsem ściągamy go za nogi i ręce ze środka drogi. Wiem, że powinienem iść pomóc przy Shutzerze. Gordon i Miller są cały czas przy nim. Z Niemców żaden się nie rusza, ale ten na górze dalej pojękuje.

- Vance, idź zobacz, czy można pomóc temu Niemcowi. Ja sprawdzę, co z Shutzerem. Upewnij się, czy tamten nie ma noża, rewolweru albo czegoś w tym stylu. Uważaj na siebie.

Biegnę w górę, na polankę przed domkiem myśliwskim, Boże! Istna jatka. Co najmniej siedem trupów w niespełna dziesięć sekund. Nie chcieliśmy tego, nikt nie chciał, a jednak się stało. Płaczę i mam trudności z oddychaniem, ale się nie trzęsę. Cały czas robię tylko to, co konieczne. Usilnie staram się nie myśleć. Wiem jedno: trzeba się stąd jak najszybciej zabierać. Skoro Niemcy mówili, że ich ludzie mogą usłyszeć naszą strzelaninę, to znaczy, że są niedaleko. Mogą nam w każdej chwili spaść na głowy.

Z bliska Shutzer jest białozielony na twarzy. Gordon trzyma manierkę i podaje mu tabletki. Rękaw bluzy Shutzera jest rozcięty aż po bark, dookoła pełno krwi, która wsiąka w śnieg. Krew jest prawie czarna, jak u Mundy'ego. Wcale nie wygląda jak ludzka krew: prędzej

jak olej silnikowy. Częściowo chyba dlatego, że jest jej tak dużo i że jest taka gęsta. Dwa bandaże owijają bark Shutzera, a wykręconą rękę ma przymocowaną w pasie. Cały przód bluzy posypany jest żółtym proszkiem sulfatiazolowym.

- Jak tam, Stan?

- Won't, Boże kochany, ale heca! A tak to prosto wyglądało. Do głowy by mi nie przyszło, że Wilkins może tak ostro wkroczyć do akcji.

- Jak z nim jest, Mel?

Nachylałam się nad Stanem. Ma zmiażdżony bark, a rękę jakoś dziwnie wykręconą w ramieniu - chyba przemieszczenie. Gordon zatamował krew turnikiem.

- Powiedziałbym, że koledze Shutzerowi trafił się postrzał za milion dolarów. Dopełniły się twoje dni w roli żydowskiego mściciela, Stan.

- No i gdzie tu sprawiedliwość? Ja jeden chcę walczyć z nazistowskimi bękartami, i to właśnie mnie trafia się postrzał za milion dolarów!

Shutzer z trudem przełyka ślinę, krzywi się. Chyba zaraz dozna szoku.

- Co z Mundy?

- Mundy nie żyje, Stan. Krótco umierał. Nic się nie dało zrobić.

Nie umiem się powstrzymać: znów płaczę.

- Pierdolony szwab!

- Daj spokój, Stan. A co on miał zrobić? To musiało wyglądać na pułapkę.

- Cholera, co za pieprznik!

- To samo mniej więcej powiedział Mundy. Prosił też, żeby nie mówić Wilkinsowi.

- Pieprzony Mundy.

- Wersja oficjalna jest taka, że Niemcy już nas mieli, a wtedy Matka wyciągnął nas z opresji. Kapujesz?

Shutzer i Gordon wymieniają spojrzenia, kiwają głowami. We dwóch z Melem układamy Staną na ziemi. Powinniśmy już ruszać, a ze mną właśnie teraz zaczyna być kiepsko. Idę pod górę, tam gdzie jest Wilkins z Niemcem. Najlepiej, żebyśmy wszyscy zeszli drogą do pałacu. To będzie sztuka przetransportować we czterech dwóch rannych i ciało. Niemca tu przecież nie zostawimy, a Mundy'ego tym bardziej.

Mijam niemieckiego podoficera. Leży na plecach z rozrzuconymi kończynami, jak nieżywy aktor. Zdarło mu hełm: nad prawym okiem widnieje sinawe zagłębienie wokół małej dziurki, krwi niedużo. Niemiec jest łysy. Miller nieźle się spisał. Śnieg dookoła nawet nie jest skopany: Niemiec pewnie do końca nie wiedział, kto go trafił. Strach zgadywać, co on sobie myślał tuż przed śmiercią. Gdyby przeżył, stałby się pewnie jednoosobowym zarzewiem

trzeciej wojny światowej.

Podchodzę do Wilkinsa. Niemiec opiera się na jednym łokciu, leży z głową pod górę. Ma otwarte oczy i wpatruje się prosto we mnie, w spust mojego karabinu. Uświadamiam sobie, że cały czas biegłem z palcem na spuście. Sprawdzam karabin: okazuje się, że jest zabezpieczony, chociaż nie pamiętam, żebym go zabezpieczał. Na pewno popełnię jeszcze w życiu niejedną błąd, ale czy po czymś takim można popełnić większy?

Niemiec robi w portki ze strachu. To ten, którego widziałem, jak rąbał drzewo, wtedy na pierwszym patrolu, ten podobny do Maxa.

- Ciężko ranny, Matka?

- Ma złamaną kość tuż nad kolanem i kula wychodząc wyrwała mu ochłap z boku. Założyłem ucisk, dlatego już tak nie krwawi. Nie chce połknąć żadnej tabletki. Nawet sulfatiazol wytrącił mi z ręki.

- Nie dziwię mu się.

- Wont, może Shutzer by z nim pogadał, żeby się tak nie bał?

- Chyba nic z tego, Vance, ze Stanem też kiepsko.

- Trzeba go stąd szybko zabrać, bo zamarznie.

- Zostań z nim, Matka. Skoczę do domku po płaszcz albo cokolwiek, czym dałoby się okryć jego i Shutzera.

Wyraźnie tracę sprawność działania. Miejsce jest niebezpieczne, a ze mnie z każdą chwilą uchodzi para. Pędzę sprintem do domku myśliwskiego, chcąc chociaż trochę ożywić cyrkulację krwi. W domku ogień już dogasa. Zapieram otwarte drzwi: w blasku księżycy widzę szynel zawieszony w nogach wszystkich łóżek. Ciężkie, długie szynel Wehrmachtu z wysokimi kołnierzami. Wyglądają na jeszcze grubsze od naszych. Po powrocie z frontu rosyjskiego tutejsza pogoda wydaje się chyba istną wiosną.

I nagle przychodzi mi do głowy jeden jedyny dobry pomysł tej nocy. Zgarniam sześć szyneli i potykając się pod ich ciężarem wychodzę na śnieg. Wołam Gordona i Millera, tłumaczę im, co mają robić. To chyba jedyny sposób, żeby się stąd ewakuować za jednym zamachem. Wracam do Wilkinsa i daję mu dwa płaszcze. Głupio to będzie wyglądać, ale może zadziała.

Koszmarne jest ta droga powrotna. Ułożyliśmy Mundy'ego, Shutzera i Niemca na szynelach, z góry nakryliśmy każdego drugim szynel i ciągniemy ich jak na saniach. Dopóki się nie zatrzymujemy, nie jest źle, ale przy każdym najmniejszym postoju szynel przyklepiają się do śniegu. Śnieg gromadzi się na ich spodach i przednich krawędziach. Ponieważ jest nas czterech, ciągniemy na zmianę: zawsze jeden odpoczywa. Ten, który nie ciągnie, uważa, żeby

nikt nie spadł, i strzepuje śnieg z szyneli. Nigdy jeszcze nie szliśmy tą prostą drogą, ale wydaje mi się, że do pałacu mamy jeszcze z pół mili, albo i więcej.

Wilkins tłumaczy, dlaczego przystąpił do akcji. Powinien był się domyślić. Ware i Love przyjechali do pałacu po swojego języka. Właściwie mamy go dla nich, jeżeli wyżyje. Matka założył mu turnikiet, używając w tym celu pasa z inskrypcją „Gott mit uns”. Nawet jeżeli Gott rzeczywiście jest z nimi, to dzisiaj zrobił sobie wolne.

Shutzer jest nadal przytomny: boli go coraz bardziej. Niemiec z początku jęczał, ale już leży cicho. Za każdym razem, kiedy zatrzymujemy się, żeby zrobić zmianę przy ciągnięciu szyneli, Gordon popuszcza obie opaski uciskowe. Patrząc na Mundy'ego. Rzeczywiście wygląda jak trup, z rękami skrzyżowanymi na piersiach - tylko że uśmiecha się przy tym. Pewnie wskutek skurczu mięśni twarzy.

Już ledwo wytrzymujemy, przystanki i zmiany są coraz częstsze - aż tu nagle z ciemności dobywa się głos:

- Stój! Kto idzie?

Najpierw padam na ziemię, a dopiero potem uprzytamniam sobie, kto to może być. Woła po angielsku - to Love.

- To my, sir. Druga drużyna. Sierżant Knott.

- Rytm?

- Nie znamy odezwu, sir.

Zapada cisza. Słyszę głos Ware'a, a po chwili znów Love'a. Jestem bliski załamania. Może lepiej byłoby płakać, wrzeszczeć, wyrzucić to z siebie. Może wtedy nareszcie by zrozumieli, że ja się do tego nie nadaję.

- Podchodźcie wolno, żebyśmy mogli was rozpoznać. Ręce na głowach. .

Gramolę się do pozycji stojącej z łapami na głowie. Dłonie mam zgrabiałe i pościerane od szorstkich rękawów szyneli. Idę środkiem drogi. W blasku księżyca widzę ich dwóch przycupniętych w korycie rzeki.

- W porządku, Knott, możecie opuścić ręce. Dlaczego nie znacie hasła?

Ware odpowiada za mnie. Gdybym się w tej chwili odezwał, musiałbym napyskować. Nie wyrabiam.

- Oni są na tej placówce od pięciu dni, sir. Uznaliśmy, że lepiej będzie nie przekazywać hasła przez radio.

- Słusznie, poruczniku, ostrożności nigdy dość. Tu w okolicy roi się od niemieckich szpiegów w amerykańskich mundurach, mówiących płynną angielszczyzną.

- Tak jest, sir.

- Gdzie reszta waszej drużyny, sierżancie?

- Z tyłu, na drodze, sir.

- Pojmaliście jeńca?

- Tak jest; sir, ale jest ciężko ranny.

Ware robi krok naprzód. Karabin trzyma w lewej ręce.

- Słyszeliśmy strzelanie, w jakiś kwadrans po tym, jak wysłaliśmy po was Wilkinsa.

Nawiązaliście kontakt?

- Tak jest, sir. Mundy nie żyje, a Shutzer jest ciężko ranny. Proszę o zezwolenie na przeniesienie ich do pałacu, sir. Shutzer i jeniec są w stanie szoku.

- Jezu Chryste! Dlaczego od razu nie mówiliście, sierżancie?

Love jednym szarpnięciem otwiera kaburę i wyciąga broń.

- Nieprzyjaciel może nam deptać po piętach. Lepiej wynośmy się stąd, poruczniku. I to zaraz.

- Z wyjątkiem naszego jeńca, sir, wszyscy Niemcy, którzy tu byli, ponieśli śmierć. Mieli nas pod ogniem, kiedy szeregowy Wilkins szczęśliwie wkroczył do akcji. Chciałbym go przedstawić do pochwały, sir. Uratował drużynę.

- Wilkins? Czy to ten żołnierz, którego zastaliśmy w pałacu, Ware?

- Tak jest, sir.

- Nie wyglądał mi na zbyt walecznego.

- Sir, stanął sam jeden w otwartym polu i ośmioma strzałami położył sześciu nieprzyjaciół.

Po co ja tyle gadam? Musimy zanieść Shutzera i jeńca do pałacu. Love'a i Ware'a trzeba za wszelką cenę usunąć z drogi.

- Mój ty Boże!

- Tak jest, sir.

- O pochwałę pogadamy później, jak już się cała sprawa wyjaśni i poznamy fakty.

- Tak jest, sir. Czy moglibyśmy teraz przenieść rannych do pałacu? Obaj silnie krwawią.

- Czy podaliście im tabletki przeciw zakażeniu, sierżancie?

- Tylko Shutzerowi, sir, jeniec nie chciał wziąć.

- W porządku, wnieście ich, ale migiem.

Love puszcza się truchtem w stronę pałacu, szuflując śnieg nogami. Przy skórzanej kaburze, która obija mu się o udo, dynda odpięty pasek. Love biegnie z pistoletem w rękę i karabinem na plecach. Ware został z nami.

- Jak trafili Mundy'ego?

- Jednym szybkim, prosto przez klatkę piersiową.

- A Shutzera?

- Postrzał barku, panie poruczniku. Chyba złamanie z przemieszczeniem. Gordon nastawił. Założyliśmy opatrunek i opaskę uciskową.

Boję się, że znów zacznę płakać. Jakie to wszystko głupie.

Kiedy wracam do chłopaków, wszyscy uwijają się jak w ukropie. Miller okrywa Niemca, który jest nieprzytomny, może i martwy. Gordon i Wilkins zajmują się Shutzerem. Shutzer ma oczy otwarte, ale nie odpowiada, kiedy do niego mówię. Oddycha bardzo ciężko, prawie jakby chrapał. Spoglądam na Mela: kręci głową. Ciekawe, czy jestem tak samo blady jak on. W blasku księżyca, na tle śniegu, wyglądamy jak zielonkawe, prawie przezroczyste duchy.

Ruszamy, Ware zamyka tyły. Idzie przy Mundym i nie odzywa się. Mundy cały czas się uśmiecha jak idiota.

Wejście pod górę do pałacu kosztuje nas sporo wysiłku. Ogień prawie wygasł, ale dwie lampy jeszcze się palą. Jak długo nas nie było? Najwyżej dwie, trzy godziny. Trudno uwierzyć, ile się przez ten czas zmieniło.

Przede wszystkim ostrożnie wnosimy do środka Shutzera i Niemca. Nawet Ware ruszył się do pomocy. Love stoi plecami do ognia, z rękami założonymi z tyłu, kiwa się na palcach i toczy wzrokiem dookoła. Rzeczywiście, mamy tu straszny bajzel. Widać, że Wilkins nie miał zbyt wiele czasu na sprzątanie przed przybyciem Ware'a i Love'a.

Kiedy we trzech z Gordonem i Millerem wnosimy Mundy'ego, Ware właśnie rozgrzewa radiostację. Mundy już zaczął sztywnieć. A może to tylko mróz. Miller łamie jeszcze kilka ram na opał. Kuca za Love'em i wrzuca szczapy w ogień. Love odwraca się, ciekaw, co Miller tam robi. Patrzy pytająco na mnie. Zaczyna przemierzać komnatę tam i z powrotem, z karabinem w dłoni. Pistolet schował z powrotem do kabury, ale jej nie zapiał.

- Sierzancie Knott, wystawcie wartę. Nieprzyjaciel mógł usłyszeć wymianę ognia i wysłać na nas patrol.

- Tak jest, sir.

Teraz mu powiem. Za wszelką cenę chcę to powiedzieć dobrze - nie dobrze w sensie „prawdziwie”, tylko tak, żeby dobrze brzmiało.

- Sir, jeniec przed zapadnięciem w szok powiedział Shutzerowi, że wkrótce spodziewane jest przejście przez ten sektor zmasowanego natarcia. Może już jutro.

- O kurwa! Dlaczego żeście, kurwa mać, od razu nie mówili? Podobno to jest pluton zwiadowczy, tak mi się zdawało.

Chociaż raz coś mu się dobrze zdawało. Rzeczywiście, to jest teraz cały pluton zwiadu:

Wilkins, Miller, Gordon i ja.

- Tak jest, sir.

- Poruczniku Ware, łączcie mnie z pułkiem. Love zarzuca mankiet bluzy i patrzy na zegarek.

- Ledwo zmieścimy się w czasie. O drugiej zero zero przerywają wszelką komunikację radiową.

Ware już włączył radiostację. Kiedy wszyscy skupiają się przy nim, ja podchodzę do Mundy'ego, klękam i zdejmuję mu z ręki zegarek. Nosił tego Benrusa na rozciągliwej bransolecie. Zsuwam zegarek z wielkiej łapy Mundy'ego i zakładam sobie na rękę. Mundy na pewno nie miałby nic przeciwko temu. Nie przypuszczam, żeby jego rodzice upomnieli się o zegarek, szczególnie że i tak by pewnie do nich nie dotarł.

Ware uzyskuje połączenie z Learym. Love przejmuje słuchawki.

- Kapralu, tu major Love. Zapiszcie meldunek, który wam podam, i przekazcie go natychmiast dowódcy pułku. Odbiór.

- Zrozumiałem. Odbiór.

- Kontakt z nieprzyjacielem nawiązany. Mamy jeńca. Jeniec ciężko ranny. Straty po naszej stronie: jeden zabity, jeden ranny. Stanowisko nieprzyjaciela zniszczone. Jeniec przekazał informacje o spodziewanym ataku nieprzyjaciela na ten sektor, być może jutro. Powtarzam JUTRO! Wyruszamy natychmiast z jeńcem i naszym rannym. Zgłoszę się do was w pułku. Podpisano: major Love. Powtórzcie meldunek, kapralu. Odbiór.

Leary odczytuje tekst.

- Zgadza się. Zanieście to pułkownikowi, ha jednej nodze! Gdyby spał, obudźcie go. Sprawa jest pilna. Odbiór. Koniec.

- Zrozumiałem. Odbiór. Koniec.

Ware przytyka wyłącznikiem. Żenująca scena. Shutzer pojękuje, a Mel otula go szczerzej kołdrą. Ściągamy śpiwory z pozostałych legowisk, żeby okryć Staną i jeńca. Obaj mają silne dreszcze. Chociaż to bez sensu, okrywam także Mundy'ego.

Love chodzi jak lew po klatce. Omija wzrokiem Shutzer'a i Niemca, a szczególnie Mundy'ego.

- Musimy się stąd jak najprędzej wydostać, poruczniku. Jeńca i rannego zabierzemy ze sobą.

Odwraca się do mnie.

- Sierzancie, proszę polecić, żeby przełożono łańcuchy z waszego jeepa na mój. Mamy daleko, a drogi są trudne. Ledwo tu do was dojechaliśmy.

- Tak jest, sir.

Patrzę, jaką minę ma Miller, ale on już jest w drzwiach. Cieszę się, że wychodzi, bo mam przeczucie, że mógłby powiedzieć coś, co urosłoby do rozmiarów zbiorowego sądu polowego. Jak znam siebie, przyłączyłbym się do niego, gdyby tylko zaczął. Mogłoby się skończyć tym, że pozabijalibyśmy Love'a i Ware'a na miejscu - tatatatata! Mamy alibi, nikt by się nie połapał. A wiem, że sam tego nie zrobię. Cechą chłopskiej mentalności jest nienawiść wyzuta z odwagi, inaczej: chęć jak najskuteczniejszego odpierania ciosów. Już się z tym pogodziłem.

- Sierzancie Knott! - Tak jest, sir.

- Jestem przerażony stanem waszej kwatery. Przecież to jest własność prywatna, odpowiedzialność za dewastację spadnie na rząd Stanów Zjednoczonych.

Ku mojemu zdumieniu, głos zabiera Ware. I na dodatek łże.

- Budynek był zaniedbany już w chwili, kiedy go objęli, sir.

- Mimo wszystko, poruczniku, widzę tu niezbite dowody zaniedbania obowiązków żołnierza i zachowania nie licującego z godnością amerykańskich sił zbrojnych. Ci ludzie chyba nie zdają sobie sprawy z tego, że wokół nich toczy się wojna. W tej właśnie chwili zagrożona jest obecność militarna Ameryki w całej Europie. Gdyby nie okoliczności łagodzące, dopilnowałbym osobiście, żeby ten żołnierz, sprawujący funkcję zastępcy dowódcy, postawiony został przed komisją wojskową i poniósł surową karę. A w ogóle to gdzie są wasze naszywki, sierzancie? Mieliście chyba dość czasu, żeby je poprzyszywać. Powinniście być dumni, że jesteście sierżantem Armii Stanów Zjednoczonych.

- Tak jest, sir. Zaraz to zrobię.

Jezu, mam nadzieję, że Miller pozrywał te wszystkie śmiecie z połówki Gordona! Jak Love to zobaczy, wyszykuje nam sąd polowy, jakiego świat nie widział.

- Teraz idźcie, sierzancie, i pogońcie tego żołnierza z łańcuchami.

Zarzuca mankiet. Jeszcze raz patrzy na zegarek.

- Nie mamy za wiele czasu. Poruczniku Ware, przygotujcie się do przeniesienia jeńca i rannego na tył mojego jeepa.

Robimy z Gordonem siodełko ze splecionych rąk. Matka sadowi na nim Stana, żebyśmy go mogli w ten sposób przenieść do jeepa Love'a. Dzięki Bogu, że Stan jest nieprzytomny, bo na pewno zadajemy mu ból. Pojękuje za każdym razem, kiedy trzymamy go nierówno albo przyspieszamy kroku. Po umieszczeniu go w wozie Gordon popuszcza opaskę uciskową. Krew płynie, a więc Shutzer jeszcze żyje.

- Jak myślisz, Mel? Wytrzyma?

- Miejmy nadzieję. Shutzer to silny chłop. Jak go będą ostrożnie wieźli i szybko udzielą

pomocy, wyliże się z tego raz dwa.

- Może lepiej by było zatrzymać go tutaj? Oni mu tam nie pomogą bardziej niż my.

- Trzeba mu przede wszystkim podać morfinę. Musi jechać. Żeby go tylko za bardzo nie wytrzęsło po drodze.

Wracamy po Niemca. Już się nie wrywa. Kiedy go podnosimy, jest przytomny, ale natychmiast znowu mdleje z bólu. Sadowimy go jak drugą kukłę obok Shutzera i Mel luzuje opaskę uciskową, Niemiec słabo krwawi.

Jeszcze raz wracam do środka, po jedwabną kapę z łóżka. Wypadam z nią, nie czekając, aż Love wymyśli kolejny temat na kazanie. Miller leży w śniegu na plecach, próbując po ciemku pozakładać łańcuchy na koła. Dzięki Bogu, pozrywał te naszywki. Ciekawe kiedy. Miller zawsze robi to, co trzeba, i to o wiele wcześniej, niż ja zdążę choćby o tym pomyśleć.

Drzemy kapę na pasy i przywiązujemy Shutzera do Niemca tak, że się nawzajem podpierają. Następnie obu tak związanych przymocowujemy jedwabną wstęgą do klamer przy ławkach i do zaczepów na kanistry. Wiążemy tak, żeby nie pospadali, ale i nie za mocno, żeby nie tamować krążenia krwi. Gordon to geniusz od tych rzeczy. Założę się, że dzisiaj zbiera najwyższe laury w dziedzinie opatrywania i bandażowania ran.

Resztkami jedwabiu z kapy obwiązuję dłonie Shutzera i Niemca. Obydwaj są już zimni jak lód. Gordon przynosi śpiwór Shutzera; przykrywamy ich i jak najstaranniej utykamy brzegi dookoła.

Love z Ware'em stoją przy jeepie i gadają. Love pali papierosa w krótkiej cygarniczce. Wilkins pilnuje stanowiska nad pałacem. Zdaje się, że to Love go tam posłał: nigdy nie zrozumie, że jest to drużyna samosterująca, pracująca na obwodzie zamkniętym.

Love przytupuje w miejscu i podniesionym po drodze patykiem oskrobuje śnieg z butów. Te jego buty polowe mają na sobie z dziesięć warstw pasty.

Miller kończy zakładanie łańcuchów i gramoli się spod samochodu. Love włązi na przedni fotel pasażerski. Ware obchodzi wóz od tyłu i zatrzymuje się przy mnie. Patrzy na Shutzera.

- Sir, nie powinni powypadać, jeżeli będziecie jechać ostrożnie, ale tak czy owak, będzie to dla nich ciężka podróż. Dobrze by było, żebyście się l co jakiś czas zatrzymywali i luzowali im opaski uciskowe.

- Zrobimy co się da, Knott.

- Proszę pamiętać o Wilkinsie, sir.'

- Zrobimy wszystko, co będzie w naszej mocy.

- Dziękuję, sir.

- Dobrzeście się spisali, Knott. O resztę się nie martwcie.

- Dobrze panu mówić, sir.

Ware zatrzymuje na mnie baczne spojrzenie. Ciekawe - czyżby to, co powiedziałem, kwalifikowało się jako niesubordynacja? Wszystko mi jedno.

- Major Love mówi, żebyście utrzymali drużynę tutaj, aż szkopy rozpoczną atak. Starajcie się być z nami w kontakcie radiowym, częstotliwość ta sama. Jak już uderzą - bierzcie dupy w troki i wiejcie stąd.

- A Mundy, sir?

- Jeżeli wam się uda, weźcie go ze sobą.

- Tak jest, sir.

- Sztab rusza o ósmej zero zero. Zostawię jeepa z radiostacją, żeby odebrał wasz meldunek, a potem was pilotował.

- Tak jest, sir!

Major Love odwraca się do nas, wyraźnie zniecierpliwiony.

- Co tam się dzieje, poruczniku? Nie możemy tu sterczeć całą noc. Jedźmy już!

- Tak jest, sir. Już idę, sir.

Ware przechodzi na przód wozu, wsiada i włącza silnik. Zjeżdżają z tarasu przed pałacem, w dół po zboczu i przez most na drugą stronę rzeki. Shutterem i Niemcem już rzuca na wszystkie strony, chociaż tu jeszcze wcale nie ma takich wyboi. Wyglądają jak para kochanków nie z tej ziemi, kolebiących się w ciasnym uścisku, jak pociągane jednym sznurkiem marionetki odgrywające scenę szaleńczej jazdy przez śnieżny krajobraz.

Strach na wróble dalej tkwi na swoim miejscu przy moście, rzucając długi cień w blasku księżyca. Ciekawe, co Love sobie pomyślał, jak go zobaczył. Pewnie wpakował mu serię z automatu. Szkoda gadać.

Księżyc przewędrował już całe niebo, zaczynają napływać chmury. Nogi i ręce zmarzły mi na kość, ale bardzo nie chcę wracać do pałacu. Czuję się pusty w środku, wypatroszony. Za moimi plecami stoi Miller. Zmęczenie to jeszcze nic, ale jestem taki brudny, ograniczony, głupi i bezwartościowy.

- Bud, zejdź na dół po Mela. Ja pójdę po Matkę. Nie będziemy wystawiać żadnych głupich wart, chyba że ty sam chciałbyś postać, albo któryś z nich. To wszystko nie ma sensu. Jeżeli Niemcy zamierzają tędy przechodzić, to usłyszymy ich tak czy owak. Może jutro z rana, jak już będzie coś widać, popilnujemy na zmianę górnego posterunku. I tyle.

Wilkins i Miller znoszą rzeczy na opał ze strychu. Nie mogę się zdecydować, czy zakryć Mundy'emu twarz, czy nie. Jednak nie zakrywam. Czuję, że zaraz pęknę, i nie wiem, jak temu

zapobiec. Najchętniej zagrzebałbym się w śpiworze, podciągnął zamek błyskawiczny do samej góry, schował głowę i oddychał własnym powietrzem. A jednocześnie mam ochotę wiać. Moje nogi rwą się do ucieczki.

Biorę lampę i idę na górę do toalety. Brzuch boli, ale nic nie robię: to początki moich późniejszych zaparć. Prawie płacząc siedząc na klozecie, ale nie z bólu. Wiem, że w tym stanie nie wolno mi zejść na dół.

Idę na strych, do kryjówki Wilkinsa. Pozbyliśmy się, przez spalenie, większości gratów. Wilkins ustawił pod ścianami to wszystko, czego, jego zdaniem, nie mamy prawa tknąć. Reszta rzeczy piętrzy się na kupie pośrodku. Wyjęte z ram obrazy stoją oparte o jedną ścianę. Rozkładam je w koło i zasiadam pośrodku jak kiedyś z Wilkinsem. Chcę, żeby znowu wsączył się we mnie tamten cichy spokój. Długo tak siedzę po ciemku, w pachnącym kurzem chłodzie strychu. Płaczę w samotności. Byłoby dla mnie - dla nas wszystkich - o wiele lepiej, gdybyśmy mogli dać sobie nawzajem pociechę i oparcie, którego tak potrzebujemy, ale młodzi mężczyźni nie potrafią dzielić wielkich emocji. Chyba między innymi dlatego na świecie stale wybuchają wojny.

W końcu wracam na dół. Patrzę na zegarek Mundy'ego: trzecia trzydzieści. Wilkins i Miller śpią, Gordon urzęduje przy kominku.

- Jak tam, Wont?

- Lepiej. Ale i tak parszywie.

- Myślę sobie, że może Mundy miał szczęście. Zdobył główną nagrodę.

- Tak, może.

- Myślisz, że całym światem kręcą takie wały jak Love? Czy po wojnie też będzie tak samo?

- Nawet nie umiem o tym myśleć.

Mel wpycha osmalone szczapy głębiej w ogień; płomień bucha jasno i oświetla jego twarz. Mel wygląda tak podle, jak ja się czuję.

- Mel, jak myślisz, czy Wilkins ma szansę?

- Na pochwałę? To chyba zależy od Ware'a: pewnie będzie musiał wpisać tam i Love'a. Słyszałeś, co Love nadawał przez radio: jest teraz Buffalo Billem i generałem Lee w jednej osobie. Sam sobie wypisuje pochwały. Ale może i Matce coś z tego kapnie.

Znowu klękam przy Mundym. Pamiętam to teraz, jak klęczałem i chciałem go dobrze zapamiętać, ale nic mi z tego nie wyszło. To jest tak jak z wypatrywaniem gwiazdy w bezksiężycową noc - musi przyjść samo albo wcale. Ślepy punkt znajduje się dokładnie w środku oka.

- Myślałeś kiedyś o tym, ilu jest na świecie nieboszczyków, Mel? Mundy przyłączył się do przytłaczającej większości. Na jednego żywego człowieka muszą przypadać tysiące martwych. Chciałbym jeszcze przez jakiś czas pozostać w mniejszości.

- Nie widać po tobie, żebyś się o to specjalnie starał. Po mnie też nie.

- Z niewiadomych dla mnie przyczyn za mało wszyscy dbamy o to, co jest naprawdę ważne. Mundy też taki był.

- A co jest naprawdę ważne?

- Życ i czuć, że się żyje. Tak myślę. Jeżeli uda mi się wyjść z tej wojny, będę robił tylko to, na co mam ochotę. Będę oglądał obrazy i słuchał muzyki - naprawdę słuchał, a nie tylko słyszał. Zawsze bardzo lubiłem rysować - może zostanę malarzem? Dla takich rzeczy warto żyć. Na pewno nie chcę zostać inżynierem. Mojemu tacie wydawało się, że musi ze mnie zrobić inżyniera, ale chyba sam nie był tego do końca pewien.

- Moi chcą, żebym został dentystą, przejął interes po starym i w ten sposób nadał sens jego życiu. Chyba bym nigdy nie mógł umyć zębów bez rzygania - jak tylko słyszę, że ktoś obok mnie szoruje zęby, robi mi się niedobrze. Spróbuję zostać lekarzem - to jest dla mnie ważna rzecz. Zresztą, co za różnica - czy my w ogóle mamy jakieś szanse?

- Mundy mi mówił, że mimo wszystko chciałby zostać księdzem. Wystąpił z seminarium tylko dlatego, że sam uznał się za niegodnego sutanny. Wariat, co?

Obaj mówimy teraz do Mundy'ego. Ja dalej kłęczę przy nim na podłodze. Zakrywam mu twarz. Pamiętam, pomyślałem wtedy, że każdy z nas powinien coś z tego wynieść. Chciałbym, żeby i mnie się to udało. I udało się.

Noc nie ma końca. Martwimy się o Shutzera. Mel mówi, że jeżeli Stan dojedzie żywy do pułku, może się to dla niego skończyć banalnym usztywnieniem barku. Lewe ramię. Próbujemy sobie przypomnieć, czy Shutzer jest praworęczny, i obaj jesteśmy prawie pewni, że tak.

Wilkins i Miller śpią jak zabici. Kładę się na materacu, ale kłębiące się w głowie myśli nie dają zasnąć. W każdej chwili mogą się tu zwalić Niemcy i wysadzić nas w powietrze. Ale nawet to mnie specjalnie nie wzrusza.

O ósmej, równo ze wschodem słońca, próbuję dodzwonić się do pułku, ale nic z tego. Love zapowiadał co prawda, że zwijają interes, ale mam nadzieję nawiązać łączność z tym jeepem obiecwanym przez Ware'a. Próbuję przez pół godziny, po czym daję spokój.

Wspólnie dochodzimy do wniosku, że ktoś powinien jednak stać na warcie. Miller zgłasza się na ochotnika. Nadal nie mogę myśleć o jedzeniu, ale, Bogu dzięki, zaczynam nareszcie odczuwać śmiertelne zmęczenie. Oczy same mi się zamykają, kiedy ściągam buty,

bluzę i hełm i pakuję się w śpiwór. Odkąd nas tu przysłali, jeszcze ani razu się tak nie porozbierałem. Zасыpiam w mgnieniu oka.

6. RAPORT O STRATACH

Budzę się: ciemno, nie wiem, gdzie jestem. Widzę ogień płonący na kominku, ale nic mi to nie mówi. Patrzę na swoją rękę: mam na niej zegarek Mundy'ego. Trudno uwierzyć, ale nadal nic a nic nie kapuję. Wskazówki ustawione są równo w górę i w dół. Nie mam pojęcia, czy to znaczy, że jest szósta rano, czy szósta wieczorem. Przykładam zegarek do ucha: nie tyka. A więc w ogóle nie wiem, która godzina. W ogóle nic nie wiem. Coś się we mnie buntuje przeciwko wszelkiej wiedzy.

Po raz pierwszy w życiu doznałem wtedy oddzielenia stanu fizycznego od duchowego.

Drugi raz zdarzyło się to o wiele później, w dniu narodzin mojego pierwszego dziecka. Żona przez czterdzieści osiem godzin miała ostre bóle. Wracalem do domu autostradą Pacific Coast w Kalifornii i nagle ocknałem się na środku plaży: jechałem prosto w fale Oceanu Spokojnego. I wcale nie zasnąłem - tylko mój duch oderwał się od ciała.

Przygodny gliniarz obserwował całą scenę, widział, jak przecinam w poprzek pas przeciwnego kierunku jazdy, krawężnik, parking, murek stanowiący granicę parkowania, a potem jak zjeżdżam na plażę i na grzęznących w piachu kołach pakuję się do wody. Gdyby nie to, że silnik stanął, zatrzymałbym się pewnie na Hawajach.

Na szczęście, gliniarz okazał się człowiekiem. Kiedy się już pozbierałem na tyle, żeby złożyć wyjaśnienia, odwiózł mnie nie proszony do domu policyjnym samochodem, po czym - sam nie wiem jakim sposobem - wyciągnął z piachu mój wóz i odholował go aż pod dom, do Kanionu Topanga. Kiedy się obudziłem, samochód stał przed domem. Nawet mi nie przysłali rachunku za holowanie. Właśnie tego typu zdarzenia dostrajały, mnie z powrotem do życia i ludzi.

Rozglądam się. Ktoś posprzątał komnatę i poukładał rzeczy: racje żywnościowe stoją w idealnym porządku na wysokim gzymsie nad kominkiem. Ten sam ktoś nie wyjaśnionym dla mnie sposobem przytaszczył z góry, z łazienki, miedzianą wannę i ustawił ją przy kominku. Na hakach nad ogniem wiszą wiadra buchającej parą wody. Oprócz Mundy'ego i mnie nie ma w środku nikogo.

- Hej tam, Ojciec, a gdzie reszta?

Dopiero mówiąc te słowa wszystko sobie przypominam. Nie wiem już, czy dopowiedziałem pytanie do końca. Za to wiem już na pewno, gdzie jestem. Wszystko wróciło, razem z obrzydliwym uczuciem, że gorzka, zielonkawa wydzielina kapie mi z mózgu na tył języka. Znowu płaczę.

Kiedy się wreszcie wziąłem w garść, jednym susem wyskakuję ze śpiwora, wciągam buty

bez sznurowania i wychodzę na dwór, żeby się odlać. Fakt, że człowiek musi się od czasu do czasu wysikać, bardzo skutecznie przywraca mu poczucie realizmu. Na dworze jest ciemno. Po księżycu poznaję, że to wieczór, a nie wczesny ranek. Przespałem prawie dziesięć godzin.

Wilkins z Millerem ślizgając się leżą pod górę od mostu: niosą we dwóch choinkę, którą nam sprezentowali Niemcy. Dopinam spodnie i czekam, aż do mnie podejda. Miller patrzy na mnie poprzez gałęzie drzewka.

- No, no, coś podobnego. Śpiąca królewna wstała bez całowania!

Wcale się jeszcze nie obudziłem. Przytrzymuję zasłonę przy weneckim oknie, żeby mogli wstawić choinkę do środka.

- Co się w ogóle dzieje? Czy ktoś stoi na warcie, czy już na wszystko sobie bimbamy?

Miller i Wilkins ustawiają choinkę w kącie przeciwległym do kominka. Miller otrząsa śnieg z gałązek.

- Kogoś tam wystawiliśmy. Wszystko w porządku. Nie ma strachu, Won't. Ciesz się, że żyjesz.

- Owszem, cieszę się. Kiedy moja kolej?

- Jeżeli rzeczywiście marzysz o tym, żeby posiedzieć przez dwie godziny w zimnej dziurze, to o ósmej. My w zasadzie doszliśmy do przekonania, że tędy nie chodzą żadne patrole. A z pełną siłą mogą ruszyć najwyżej rano.

- Po co ta choinka? Na opał?

Miller przelotnie patrzy na Matkę, a potem znów na mnie.

- Jakoś tak nam się zrobiło smutno, ustaliliśmy, że trzeba wnieść pod dach trochę świątecznej atmosfery. Dlatego posprzątaaliśmy. A teraz ustroimy choinkę, będziemy prażyć kasztany, wróżyć z orzechów i obżerać się indykiem w sosie borówkowym, ze wszystkimi dodatkami. Poza tym postanowiliśmy, że wszyscy się mają wykapać przed Bożym Narodzeniem.

Miller i Vance, w rękawicach, zdejmują wiadra z haków i przelewają parującą wodę do wanny, po czym wychodzą po następną porcję. Wstaję i zaglądam do wanny: wody jest na razie do pół łydki. Sprawdzam ręką: nie gorąca, ale dobrze ciepła, akurat. Wanna stoi tak blisko ognia, że ścianki od strony kominka ledwo można dotknąć. Słyszę, jak chłopaki wracają z pełnymi wiadrami. Omiatam wzrokiem całe pomieszczenie: naprawdę porządnie sprzątnęli, sala wygląda prawie tak, jak kiedy tu weszliśmy po raz pierwszy.

Wieszają kubły na hakach i obaj po kolei sprawdzają rękami temperaturę wody w wannie. Wilkins uśmiecha się do mnie całą gębą.

- Już prawie. Uchwaliliśmy, że będziesz pierwszy w kolejce. Co prawda nie górujesz nad

nami brudem, ale stopniem wojskowym tak. To prezent gwiazdkowy od drużyny.

- Wykluczone, Vance. Będziemy ciągnąć słomki, jak na wszystko. Nie podlizywać się dowódcy.

Ależ my się zgrywamy! Próbujemy udawać, że nic się nie stało, że Mundy nie leży martwy tuż obok nas, że Shutzer nie został ranny, że pierwsza drużyna nie przepadła Bóg wie gdzie, że nie ma żadnej pierdolonej wojny.

- Słyszałeś, co Love mi tu truł o sędzie polowym? Bydlak.

- Pierdolnięty facet, dupy sobie sam nie podetrze bez ordynansa. Nie przejmuj się nim, sierżant.

Matka odstąpił o krok do tyłu i podziwia drzewko, które sam ustawił w rogu przy kominku. To niesamowite, jak szybko taki zapach roznosi się po pomieszczeniu: rzeczywiście czuje się Boże Narodzenie, mimo wszystko. Zdaję sobie sprawę, że celowo omijam wzrokiem to miejsce, gdzie leży Mundy. Dobrze, że zasłoniłem mu twarz. Matka obraca choinkę o dziewięćdziesiąt stopni.

- Przydałoby się trochę ją ubrać, Bud. Same jabłka, kartofle i papierowe gwiazdki nie wystarczą.

- Cholera, żal mi tych szwabskich zasrańców. Miller odwraca się do mnie.

- Przestań, Won't. Na litość boską, stało się, nic już nie zmienimy.

Odkąd nie ma Mundy'ego, gadamy jak ostatnie koszarowe zupaki. Miller wychodzi na dwór. Wilkins rozpościera pod choinką jedną z jedwabnych kap. Miller wraca: niesie pełen hełm naboju kalibru pięćdziesiąt. Naboje są mosiężne, a końce mają pomalowane na różne kolory: pociski świetlne mają końce czerwone, a zwykłe - czarne. Wyłuskujemy naboje z pasa i wieszamy je na choince na kawałkach drutu, które Miller też przyniósł ze swojego czarodziejskiego jeepa. Refleksy ognia tańczą po mosiężnych łuskach. A ja dalej nie bardzo wiem, na jakim świecie żyję.

Ściągamy Mela z warty. Stańło na moim: będziemy ciągnąć słomki, czyli cienkie paski kartonu po racjach żywnościowych. A więc jednak realizujemy plan Mundy'ego, chociaż stawką nie jest pławienie się w chwale, tylko w miedzianej wannie. Wygrywam ja, drugi jest Gordon, „Wilkins trzeci, a biedny Miller, inżynier całego przedsięwzięcia - ostatni. Nie ma sprawiedliwości na tym świecie. Nie potrafię sobie wyobrazić, jakim sposobem oni staszcyli z góry ten piekielny szaflik, ale i w tym wyczuwam geniusz Millera. Nawet mydło skądś wytrzasnął.

Wchodzę do wanny i z miejsca czuję się jak Claudette Colbert. Nacieram całe ciało ciepłymi mydlinami. Miller, Wilkins i Gordon piętrzą opał w kominku, aż ogień buzuje na

całego: widać, że Matka bardzo spuścił z tonu. W sali po raz pierwszy jest naprawdę jasno. Moje brudne ciuchy leżą na materacu. Pranie zrobimy na koniec. Rzeczywiście wypisaliśmy się z tej wojny.

Kąpiemy się po kolei, cały czas dolewając gorącej wody, aż wychlapuje się górą. Miller wcale tak dużo nie stracił przez to, że jest ostatni: jego woda jest co prawda najbrudniejsza, ale za to najbardziej mydlana. I ma pełno. Żaden z nas nie ma ochoty ubierać się z powrotem w śmierdzące ciuchy, więc owijamy się kołdrami. Wilkins wkłada okulary, które zdjął do kąpieli, i patrzy na Mundy'ego.

- Paskudnie się czuję taki czysty przy Mundy'm.

Robi się cicho. Tę samą myśl i ja już dobrą chwilę odpychałem od siebie. Miller podchodzi do Mundy'ego. Przerzucił jeden róg kołdry przez plecy i zawiązał wysoko pod pachą.

- Najważniejsza rzecz to go rozebrać.

Bierze Mundy'ego za rękę. Mundy jest sztywny jak deska; razem z ręką unosi się całe ciało.

We czterech, w blasku ognia, obracamy Mundy'ego na wszystkie strony, ściągamy z niego bluzę, rozpinamy koszulę, zdejmujemy ją przez plecy, Gordon rozpiną klamry u spodni, ja rozsznurowuję buty, ściągam je, potem skarpetki. W obu skarpetach są dziury, i na piętach, i na palcach.

Rozebrany Mundy wygląda strasznie białą, jak posąg, i tak sztywno, że moglibyśmy go postawić bez podpórki. Jak lalkę na sztywnych nogach przenosimy go do wanny i stawiamy w wodzie. Chcę dolać ciepłej, ale Miller mówi, że to przecież bez sensu. Lepiej zaoszczędzić ciepłą wodę na pranie. Gordon oddziera kilka pasów z dolnego brzegu swojej togi. We dwóch z Millerem podtrzymują Ojca, a my z Wilkinsem go namydłamy. Krwi jest mniej, niż się spodziewałem: większość wsiąkła lepka mazią w koszulę i kurtkę. Myjemy Mundy'emu włosy i ogólnie doprowadzamy go do ładu. Vance zanurza ręce w wodzie i myje mu stopy oraz miejsca między palcami.

Mel przynosi z góry jeszcze jedną kołdrę. Wystawiamy Mundy'ego z wanny i kładziemy go na kołdrze, na materacu, gdzie sypiał. Wycieramy go i szczerze opatulamy kołdrą, po czym wsuwamy do śpiwora. W wojsku na śpiwór mówi się „mumia” - w tej chwili to wyjątkowo trafne określenie.

Zrobiło mi się jakoś źle. I reszcie chłopaków chyba też. To było jak zabawa lalką, kiedy się tę lalkę bardzo starannie ubiera w piżamkę i bardzo starannie otula kocykiem w lalczyńskim wózku.

Wlewamy do wanny cztery wiadra czystej wody i wrzucamy wszystkie ubrania, nawet

kurtki. Przez chwilę wyciskamy je rękami, aż nagle Miller każe mi się odsunąć. Zrzuca tokę, wchodzi do wanny i zaczyna z gołym tyłkiem skakać po naszym praniu.

- Oto pokaz zasady działania pralki automatycznej. Woda przepompowywana jest z wielką siłą przez włókna tkaniny.

Skacze i przytupuje w tej wannie, skąpany w blaskach odbitych od miedzianych ścian i mosiężnych nabozi z choinki stojącej za jego plecami. Wygląda jak szaman w rytualnym tańcu.

Wszyscy po kolei miesimy pranie nogami. Wylewamy kubłami brudną wodę - a dolewamy czystej, gorącej. Pranie trwa co najmniej godzinę: jeszcze nigdy w życiu nie mieliśmy takich czystych nóg. Gdyby tu teraz wkroczyli Niemcy, odwrócą się na pięcie i zwieją w popłochu, dla ratowania zdrowia psychicznego.

Po wypraniu, wyżęciu i rozwieszeniu ubrań po sali kładziemy się spać. Nigdy bym nie uwierzył, że potrafię spać tak głęboko. Z resztą chłopaków było chyba tak samo. Cokolwiek się teraz zdarzy, będziemy przynajmniej umyć i czysto ubrani.

Budzę się o siódmej trzydzieści i jeszcze raz próbuję połączyć się z pułkiem. Martwa cisza. Jeżeli Ware jednak nie zostawił jeepa do konwojowania nas, to wpadliśmy jak śliwka w szambo. Chłopcy jeszcze śpią.

Starając się zachowywać jak najciszej, szperam w kartonie z żywnością i gotuję siekane mięso z pokrojonym w kostkę serem. Zjadam też batonik owocowy, - pierwszy od miesiący. Żołądek jakby przestał się na mnie mścić: uspokoił się i nie boli. Na koniec wypijam kawę, cały kubek od manierki - jak szaleć, to szaleć. Może głodówka dobrze mi zrobiła. Ubrania prawie wyschły, zdejmuję swoje. Wyglądają całkiem jak nowe, tylko mankiety bluzy i spodni są jeszcze trochę wilgotne.

O ósmej wchodzę na górny posterunek. Chcę być sam, pooddychać chwilę świeżym powietrzem. To siedzenie w środku przy zamkniętych oknach i drzwiach, w dymie od kominka, w oparach suszących się ubrań, z Ojcem leżącym na materacu, stanowczo zbyt wiele mnie kosztuje.

Okolo dziewiątej zaczyna znów padać śnieg. Dzwonię do pałacu, odbiera Matka. Wszystko w porządku. Już wstali. Matka szykuje śniadanie.

- Wont, jak zabierzemy Paula, kiedy będziemy się stąd wynosić?
- Nie wiem, Vance, chyba weźmiemy go do jeepa, bo jak inaczej?
- On jest sztywny jak kołek.
- Wiem o tym.

- To może byśmy zdjęli jeden materac z łóżka na strychu i zamocowali go na tyle jeepa, a Ojca przypięłoby się do tego materaca?

- Dobra myśl.

Słabo mi się od niej robi.

- No to trzeba by to zrobić już teraz, bo jak mamy wyjeżdżać w pośpiechu, to potem nie będzie czasu.

- OK, Vance, jak tylko zejdem.

Rozłączam się. Wygląda na to, że śnieg jeszcze jakiś czas popada. Nad ziemią wisi niska mgła. Przez nią i przez ten śnieg nie widzę nawet pałacu, oddalonego o głupie dwanaście jardów. Nie wiedzieć czemu, znowu zaczynam się bać. Zdaje się, że coś we mnie strasznie chce żyć.

Okolo dziesiątej trzydzieści widzę, że ktoś brnie do mnie przez śnieg. Matka. Spuszcza się do okopu.

- Psiakrew, Wont, to czysta głupota tutaj siedzieć. Przecież ty i tak nic nie widzisz.

- To nic, Matka. Ja tylko chciałem chwilę pobyć sam.

- Mam sobie pójść?

- Nie. Dobrze, że przyszedłeś.

Siedzimy w milczeniu. Zapalam papierosa. Vance w ogóle nie pali.

- Matka, powiedziałem Ware'owi, żeby cię przedstawił do pochwały. Chyba nie masz nic przeciwko temu? Jakoś nie miałem czasu cię wcześniej zapytać.

- No coś ty, Wont, to przecież Mundy albo Shutzer powinni dostać pochwałę.

- Nie, Matka. To ty uratowałaś nasze tyłki, Niemcy mieli nas w saku.

Dobrze, że ten śnieg tak wali. Nie patrzę Wilkinsowi w oczy. Mówię do padającego śniegu. Nie pomyślałem, jak ciężko będzie łącać przed Matką. Skąd ten Gordon wie takie rzeczy?

- Wont, ja właściwie dalej nie rozumiem, dlaczego Mundy wtedy wybiegł na drogę. Nie rozumiem i już.

- Może wpadł w panikę? Może tylko to?

- Niby możliwe, ale to mało podobne do Paula. Uwierzyłbym, że czegoś nie zrobił, bo się zagapił, że zgubił karabin, że przespał się na granatach - ale nie, że wpadł w panikę.

- Dajmy temu spokój, Vance. Love na pewno będzie chciał upiec przy tym własną pieczeń, ale Ware o tobie nie zapomni. A my wszyscy przysięgniemy, że było tak jak było.

- Ale ja strzeliłem tylko dwa razy. Po tym, jak Mundy upadł, już więcej nie strzelałem. Okulary mi zaparowały w biegu, nawet nie wiem, czy kogoś trafiłem. W dodatku strzelałem w rękawicach.

- To nieważne, Matka, trzymajmy się jednej wersji: położyłeś trupem wszystkich

Niemców. Każdy z nas to potwierdzi. Tak powiedziałem Ware'owi. Może z medalem łatwiej się stąd wydostaniesz. Po tym bajzlu, o którym mówił Ware, będą na gwałt szukali bohaterów dla podbudowania morale. Załapiesz się z łatwością.

- Właściwie to ja już chciałem uczciwie zdawać na żółte papiery, Wont. Już prawie nie sypiam, a jak zasnę, śnią mi się koszmary, coś z Lindą, z dzieckiem, albo Max, albo Jim. Jim był chyba pierwszym przyjacielem, jakiego miałem. Nigdy się ze mnie nie śmiał, rozumiał, o co mi chodzi. Tak Bogiem a prawdą, Wont, to my nie mamy żadnych szans. Została jedna trzecia drużyny - będzie cud, jak chociaż jeden dożyje do końca.

Znowu muszę kłamać. Myślę dokładnie tak jak on, ale tak przecież nie wolno. Chyba za to właśnie' płacą sierżantom: za łgarstwa wobec podwładnych.

- Nie jest tak źle, Vance. Po prostu mieliśmy cholernego pecha. Może uda mi się namówić Ware'a, żeby coś dla ciebie wykombinował, dał cię na strażnika do bazy maszynowej albo do kuchni. Jak tylko nadejdą uzupełnienia, coś wymyślimy. A jak do tego jeszcze uzyskasz pochwałę, Ware nawet słówkiem się nie sprzeciwi.

- Daj Boże.

- Możemy się założyć, Matka. Najdalej za sześć miesięcy wrócisz do Lindy. A jak Linda znowu zajdzie w ciążę, raz dwa o tym wszystkim zapomnisz.

- Wątpię. Nigdy nie zapomnę:

- Wszystko się da zapomnieć, Vance. Zakład? O sto dolarów.

- O sto dolarów? A kto ma sto dolarów?

- Będiesz mi spłacał na raty, począwszy od pierwszego stycznia 1946 roku.

- Dobra, przyjmuję zakład.

Podajemy sobie ręce w rękawicach. Żeby tylko Ware, skubany, pomógł mi wygrać. Śnieg pada coraz gęściej. Już rzeczywiście nie ma sensu sterczeć na dworze; rozmowa z Matką dobrze mi zrobiła. Schodzimy obaj do pałacu. Świeży śnieg, który odkłada się na starym, jest mokry i śliski.

Przez dziesięć lat, od pierwszego stycznia 1946 do pierwszego stycznia 1956, Vance przysyłał mi karty świąteczne z załącznikiem w postaci banknotu dziesięciodolarowego. Bez adresu zwrotnego, bez słowa od siebie, bez prośby o odpowiedź. Potem się już więcej nie odezwał.

Po powrocie do pałacu idziemy z Vance'em na strych. Znosimy pojedynczy materac z ramą: jedne schody, drugie schody i na dwór. Drzemy jeszcze jedną kapę na pasy i przywiązujemy materac do naszego jeepa, tego bez pięćdziesiątki. I bez łańcuchów na kołach. Będziemy jechać z przodu, tak żeby drugi jeep, z łańcuchami, mógł nas popchać, gdybyśmy

utknęli w śniegu. Zanosi się na karkołomną jazdę.

- Jak uważasz, Wont, może byśmy już teraz przywiązali Mundy'ego?

- To obrzydliwe, Matka.

- Wiem, ale po pierwsze on może zacząć śmierdzieć, a po drugie potem możemy mieć mało czasu.

- Nie mogę, Vance. Wyniesiemy go, gdyby zaczął śmierdzieć, dobrze? Teraz możemy naszykować pasy. Przyczepimy je do materaca, tak żeby później tylko przerzucić przez Ojca i zamocować.

- Dobra. Rozumiem cię. Ciężko byłoby myśleć, że Ojciec leży tu sam, na takim zimnie.

Śpię, Budzi mnie nawała ogniowa. Dochodzi piąta rano. Chłopcy latają w kółko jak oparzeni, wskakują w buty, łapią broń, granaty. Jeszcze raz próbuję skontaktować się z pułkiem: Cisza kompletna. Sprawdzam na różnych częstotliwościach - wszystkie martwe.

Słysząc, że wałą nie byle czym: jęczydusze, osiemdziesiątki ósemki i jeszcze coś grubszego. Ale na las nic nie spada; przynajmniej nie w naszej okolicy. Sznuruję buty i pędzę na górny posterunek. Miller już tam jest; Gordona i Wilkinsa posłałem na dół, pod most. Każę Millerowi wracać do radiostacji: jeżeli on się nie połączy, to już nikt. Może przynajmniej złapie kontakt z innym oddziałem, powie, co się u nas dzieje, i dowie się, jak jest gdzie indziej.

Śnieg ciągle pada. Artyleria wali bez przerwy, jakby po szarawobiałym, pochmurnym niebie nad nami pędziły szybkie pociągi towarowe, prując ciężkie masy powietrza i oddalając się z przenikliwym wizgiem. Nic nie błyska, niczego nie widać, tylko ten dźwięk. Od naszej lewej strony dochodzi krótkie, burkliwe warknięcie wystrzału, a potem z prawej słysząc stłumiony grzechot padających pocisków. Co jakiś czas rozlega się też niezmiernie, przypominający syrenę alarmową gwizd odpalanych baterii rakietowych. Nie mam pojęcia, jaki to wszystko ma zasięg, ale nawet gdyby mierzyli w samego Eisenhowera, zawsze może się trafić jedna czy druga niedostrzelona sztuka.

Po pięciu minutach nabieram pewności, że zaporą ogniową, którą słyszymy, ma bardzo określony cel: tędy będą przechodzić oddziały. Telefonuję do Wilkinsa i Gordona, żeby spieprzali do pałacu. Zdaje się, że czas pakować manatki.

Kiedy wracam do pałacu, Miller dalej wisi na radiostacji; szuka po wszystkich częstotliwościach. Patrzę na niego pytająco: kręci głową. Mówię Gordonowi, żeby ściągnął kable i telefony z obu posterunków. We dwóch z Wilkinsem wynosimy Ojca na ramionach. Ojciec jest sztywny, twardy, ale jeszcze nie śmierdzi. Przywiązujemy go do materaca na tyłach naszego jeepa. Potem wracamy do pałacu i pakujemy resztę rzeczy, w tym białą farbę maskującą, kombinezony, resztki kabla. Wrzucamy to wszystko na tył, pod Mundy'ego.

Śpiwory też tam upychamy. Wszystkich nas obleciał strach i latamy w kółko jak kot z pęcherzem, ale to jeszcze nie panika.

Już kończymy pakowanie, kiedy uderza pierwszy moździerz. Najgorsze w moździerzu jest to, że najpierw spada pocisk, a dopiero potem słychać strzał. Po chwili wali drugi, zaraz po nim osiemdziesiątka ósemka. Trzy wybuchy, jeden po drugim. Ta osiemdziesiątka ósemka wyglądała mi na ogień bezpośredni. To nie są żadne niedostrzały: ktoś nas widzi i robi z tego użytek. Celują w nas.

Gordon i ja wskakujemy do jeepa z Mundym, tam, gdzie nie ma łańcuchów ani pięćdziesiątki. Ja prowadzę. Silnik zapala przy pierwszej próbie; słyszę, że Miller też rusza z tyłu za nami. Nie ma czasu na ceregiele: walę na przełaj przez grzbiet wzgórza i w dół do mostu. Już czuję, jak parszywie będzie się jechało bez łańcuchów: nawet na tym niewinnym pagórku rzuca nami jak workiem kartofli. Ciemno jak w piekle, ale śnieg trochę zelżał. Mel ogląda się za siebie.

- W porządku, Wont, jadą za nami. Większość pocisków trafia poza pałac, powyżej górnego posterunku.

Kiwam głową. Całą uwagę skupiam na kierownicy i kontrolowaniu własnych myśli. Utrzymując niski bieg i napęd na cztery koła, pnę się w górę po drugiej stronie mostu, na wprost pałacu. W tej chwili jedyne, co mogę zrobić, to trzymać kurs, jednocześnie wytracając szybkość. Słyszę równomierny grzechot łańcuchów na kołach wozu Millera. Mel prostuje się w swoim fotelu i patrzy do tyłu ponad Mundym.

- O rany! Przyładowali koło mostu i roznieśli stracha na wróble w drobny mak.

Garbię się jeszcze bardziej nad kierownicą i patrzę tuż ponad maską. Miller opuścił obie przednie szyby, bo śnieg odkłada się na nich, a wycieraczki nie wyrabiają. W związku z tym śnieg prószy mi prosto w oczy i muszę cały czas mrużyć powieki. Mało co widzę przez te ciemności i śnieg. Do tego wszystkiego, przymocowany wysoko Mundy przeciąża wóz do tyłu: tylko koła skaczą w prawo i w lewo na byle szczelinie. Wątpię, czy Miller zdoła nas popchnąć, gdybyśmy utknęli na tej górce.

Wtem, nieoczekiwanie, ogień słabnie. Wlokę się mozolnie, nie więcej niż dziesięć mil na godzinę. Mel staje na siedzeniu i wychyla się ponad Mundym.

- Jezus Maria! Jadą! Transporter broni z osiemdziesiątką ósemką i transporter osobowy, pełen ludzi. Mijają most! O Jezu! Jeszcze jeden! Cała droga mrowi się od szkopów, niektórzy biegną na górę, do pałacu. Spierdalajmy stąd!

Mel kuli się za Mundym i dalej patrzy do tyłu. Ja się nie oglądam. Muszę uważać, żeby wóz nie ugrzązł albo nie wpadł w poślizg. Chcę objechać szczyt wzgórza i zniknąć z pola

widzenia. Chyba i tak nas raczej nie widzą przez ten śnieg, ale mogą usłyszeć - no i są ślady kół. Jeżeli za nami ruszą, to koniec.

Cały czas trzymam kurs na drogę, posługując się cienkim stalowym kątownikiem do cięcia drutu przylutowanym do zderzaka. Mówiło się u nas, że Niemcy rozpinają w poprzek dróg struny fortepianowe do obcinania amerykańskich głów, więc nasi mechanicy zainstalowali przecinaki na wszystkich jeepach, jak maszty na okrętach. Miller o mało się z tego powodu nie pobił z naszym starszym podoficerem. Nie wiem, czy Niemcy istotnie coś takiego robili i czy nasz przecinak w razie czego spełniłby swoje zadanie, ale póki co, pomaga mi trzymać kurs. Jediną widoczną wskazówką jest nieznaczny biały rozstęp wśród lasu: tamtędy wije się droga. Już nie jest tak stromo, jedziemy teraz górską szczeliną. Po prawej stronie widać urwisko, więc trzymam się lewej najbardziej jak się da bez wjeżdżania w rów.

Powtarzam sobie, że jeżeli to jest wielkie natarcie, to nie zjadą przecież z głównej drogi. Musimy tylko czym prędzej zniknąć im z oczu.

W tej samej chwili eksploduje przed nami moździerz, i to tak blisko, że grudki ziemi głośnym gradem bombardują jeepa. Za chwilę drugi pocisk trafia trochę powyżej nas i na prawo, ryjąc zbocze szrapnelami. Jadę dalej nie zmieniając tempa. Kiedy uderza następny pocisk, tuż za nami, między naszym wozem a Millera, instynktownie chcę zatrzymać jeepa, ale natychmiast uświadamiam sobie, że wzięli nas w nożyce i jedyna nasza szansa to posuwać się stale do przodu. Mel wstaje i patrzy do tyłu.

- Chyba nic im się nie stało. Widzę Millera za kierownicą. Matki nie widzę, ale Miller nie daje żadnych znaków. Jedź dalej.

Spuszcza się z powrotem pod maskę, kłęka na podłodze jeepa. Próbuję ustawić jeden bieg i trzymać się go. Jedziemy z prędkością około piętnastu mil na godzinę: w tych ciemnościach i śnieżycy szybciej nie potrafię nie zbaczając z drogi.

Kolejny moździerz wali trochę w górę i na lewo: blisko. Odłamki śpiwnym rykoszetem odbijają się od jeepa. Jeden z nich rozgniata przednią szybę o maskę. Słychać dzwonięcie o metal i tępy łomot.

- Dostałeś, Mel?

- Ja nie, Mundy.

- O, cholera!

Mel znów wystawia głowę.

- Są jeszcze dobrze z tyłu. Jeszcze ze sto jardów i nie dosięgną nas.

Dwa razy walą jeszcze blisko nas, ale już minęliśmy to miejsce, w którym mogli nas trafić bezpośrednio - między nami a nimi tkwi już teraz grzbiet wzgórza. Teraz albo ruszą w

pogoń za nami, albo mamy ich z głowy. Przed nami długi, pochyły stok. Próbuje utrzymać wóz na dwójce. Droga jest nadal tylko skromnym nacięciem w zboczu góry, a po prawej stronie długo by się spadało, widzę to wyraźnie. Powinienem zwolnić, ale gna mnie panika. Zaczynamy przyspieszać, a kiedy naciskam na hamulec - ześlizgujemy się. Śnieg gromadzi się przed kołami i pierdolony jeep zasuwa w dół jak tobogan. Na pierwszym zakręcie udaje mi się jeszcze jakoś go utrzymać, ale na pokonanie drugiego jesteśmy już za bardzo rozpędzeni.

- Mel! Nie dam rady! Skacz!

Jedziemy za szybko na wyskakiwanie. Pompuję hamulce i nawet osiągam pewien skutek, chociaż dalej się ślizgamy. Nagle kompletnie tracę kontrolę. Zjeżdżamy na ukos po stoku i walimy bokiem jeepa o drzewo. Okręcamy się, odbijamy od bandy, jeszcze jeden piruet i zawisamy na samej krawędzi przepaści, maską do przodu. Pod nami co najmniej czterdziestoprocentowy spadek. Z przechylnego do przodu przedniego siedzenia wygląda jak pionowe urwisko. Koła, wszystkie cztery, wiszą nad ziemią i kręcą się swobodnie. Gaszę silnik. Gordon próbuje usiąść na swoim fotelu, a wtedy wóz wychyla się jeszcze głębiej do przodu i w dół.

- Przestań, Mel, nie ruszaj się, bo polecimy.

Odwracam głowę: Mundy nie wypadł. Drugi jeep już nadjeżdża za nami. Miller ostrożnie wciska hamulce i zatrzymuje go. Wilkins wyskakuje, pędzi do nas.

- Nic się wam nie stało, chłopaki?

- Nic, Matka, poza tym, że lada chwila polecimy w dół. Przeważcie nas do tyłu!

Miller zaciąga u siebie hamulec ręczny i nie gasząc silnika wysiada i idzie do nas. Obchodzi naszego jeepa, zagląda pod spód.

- O kurczę, chłopaki, siedzicie na regularnej huśtawce! Nie ruszajcie się! Przyniosę hol i zobaczymy, czy uda się was ściągnąć.

Siedzimy jak mumie, kiedy Miller z Wilkinsem zaczepiają jeden koniec liny o nasz tylny zderzak, a drugi o swój przedni. Wszyscy co chwila zerkamy na szczyt wzgórza, skąd może w każdej chwili spaść horda Hunów. Ciężar Mundy'ego z tyłu powstrzymuje nas od wahnięcia się przez krawędź. Zamocowawszy linę, Miller pędzi do swojego jeepa i próbuje cofać pod górę, ale tylko się ślizga, pomimo napędu na cztery koła i łańcuchów. Wyskakuje z wozu i biegnie z powrotem do nas.

- Mógłbym zjechać trochę niżej i zaczepić hol o twój tylny zderzak. Wtedy nachylenie wzgórza sprzyjałoby nam, gdyby nie to cholerne ustawienie kątów - ryzykowalibyśmy, że przeokołujemy przez krawędź. Spróbujemy inaczej: ja cofnę się i napręzę linę, a wy dwaj wyczołgajcie się z wozu po Mundy. Powinienem utrzymać.

Nie czekając na naszą odpowiedź, pędzi do swojego jeepa, wrzuca wsteczny bieg i napręży luźny hol. Ja i Mel przeczolgujemy się przez Mundy'ego i zeskakujemy z tyłu wozu. Wtedy Miller odczepia linę od swojego jeepa i zjeżdża w dół, mijając naszego. Nasz wóz stoi teraz pewniej, bez obciążenia na przednich fotelach. Matka przyczepia linę do tylnego zderzaka wozu Millera i Miller zaczyna ciągnąć. Nasz wóz się obraca, ale jednocześnie zjeżdża jeszcze bardziej w stronę przepaści. Teraz już nie ma szans, żebyśmy go wyciągnęli.

- Won't, ty i Matka wydobycie stamtąd Mundy'ego, ja przytrzymam wóz.

Matka i ja przecinamy jedwabne pasy, którymi materac z Mundy'ego przytwierdzony jest do jeepa. Mel pomaga nam zdjąć matę na drogę. Zabieramy z wozu białą farbę, kombinezony ochronne i radiostację: pakujemy je do jeepa Millera. Na śpiwory nie starczyło miejsca. Miller szarpie jeszcze raz, ale to tylko pogarsza sytuację: nasz wóz wisi już poza krawędzią.

- Won't, przetrnij hol bagnetem, ale odsuń się, żeby cię nie strzeliło, jak pęknie.

Rąbię linę bagnetem. Kilka ostatnich włókien rozplata się gwałtownie i puszcza. Jeep okręca się powoli, po czym turlając się i ślizgając na przemian, spada w dół. Uderza w kilka kolejnych drzew, ale odbija się od nich i niknie nam z oczu, pędząc coraz szybciej z głośnym chrzęstem. Nie eksploduje. Zalega cisza. Jeep armii Stanów Zjednoczonych spoczął na dnie wąwozu w Lesie Ardeńskim. Miller zaciąga hamulec, wychodzi do nas i patrzy w dół stoku.

- Najlepsi odchodzą.

Wspólnymi siłami dźwigamy Mundy'ego i wsuwamy go, nogami do przodu, pod podstawę pięćdziesiątki. Jego głowa sterczy na co najmniej dwie stopy poza lufę; Mundy praktycznie stoi. Wsiadamy do wozu. Z radiostacją, telefonami, racjami żywnościowymi i innym gównem zrobiło się tu nieprzytomnie ciasno. Siadam z przodu koło Millera i biorę radiostację między nogi. Mel i Matka siedzą za nami, w połowie osłonięci matercem z Mundy'ego. Miller rusza. Z łańcuchami to jednak całkiem inna jazda.

Kiedy dojeżdżamy na miejsce, gdzie stacjonował nasz pułk, nie ma tam nikogo. Śnieg pokrył wszystkie ślady, nawet place spod namiotów. Tylko miejsce po namiocie kuchni jest nadal tak ciepłe, że przez śnieg przebija błoto i trawa. Musieli odjechać najmniej dwadzieścia godzin temu. Objeżdżamy cały teren pułkowy, wyglądając obiecanego jeepa albo w ogóle jakiegokolwiek znaku, ale nie znajdujemy nic. Miller zatrzymuje wóz i zwraca się do mnie.

- No, sierzancie Knott, i co my teraz, kurwa, mamy robić?

- Jak Boga kocham, sam nie wiem, Bud. Mel, masz jakiś pomysł?

- Rozejrzeć się za śladami. Nie mogli przecież przekwaterować całego pułku, nie czyniąc przy tym żadnych szkód w lesie.

Matka filuje z tyłu jeepa, sponad Mundy'ego.

- Tu wszędzie mogą być Niemcy. Miller wrzuca bieg.

- Ruszajmy się, nie lepszego nie wymyślimy. Najwięcej śladów prowadzi do tamtej drogi, czyli że jest to droga wyjazdu i nią pojedziemy. Jedź na zachód, młodzieńcze! Przynajmniej moim zdaniem to jest zachód.

Postanawiam, że jeżeli natkniemy się na Niemców, od pododdziału wzwyż, to się poddajemy. Wypatrujemy śladów, ale to właściwie głupiego robota. Droga skręca pod drzewa, a tam bez świateł jest czarno jak w studni. Do tego śnieg wali coraz gęściej. Turlamy się przez mrok, ciasno stłoczeni, każdy sam jak palec, prawie bez słów. Oddaliśmy się całkowicie w ręce Millera.

Nagle las się kończy i wyjeżdżamy na otwarte w zasadzie pole uprawne. O tym, że jesteśmy na jakiejś drodze, świadczą tylko paliki parkanów po obu stronach. Śnieg zawiewa gwałtownymi porywami ze wszystkich stron naraz, zimno, że płakać się chce. Miller zwalnia, hamuje i znów zwraca się do mnie:

- Teraz już nie mam pojęcia, w jakim kierunku jadę. Może zajedziemy prosto do Berlina?

Żaden z nas nie ma kompasu. W Shelby z pięćset razy odbywaliśmy ćwiczenia na azymut, i tak dalej, ale od tamtej pory nigdy nie używaliśmy kompasów. Zdaje się, że mój został gdzieś w plecaku, w wozie kuchni. W tym wozie jest mój cały połowy majątek - właściwie całe moje życie.

Mróz jak cholera. Stóp nie czuję, spodnie z przodu poprzymarzały mi do ud. Całkiem nas zasypało, tylko ten kawałek pod Mundym, gdzie siedzą Matka i Mel, jest wolny od śniegu. Ojciec Mundy wygląda jak posąg; śnieg oblepił mu twarz i zebrał się w oczodołach.

Nie wiem, co robić. Jeżeli się zatrzymamy - zamarzniemy. Ogniska rozpalić też nie można, bo zwabilibyśmy wszystkich Niemców z okolicy. Poza tym drzewo i tak jest mokre, a ja nie mam zamiaru marnować benzyny na podpałkę. Z drugiej strony, jazda donikąd to też nie najlepszy pomysł. Ale co innego możemy począć?

Wdrapuję się na maskę i staję prosto, trzymając się pionowo zamocowanego przecinaka do drutu. W ten sposób więcej widzę. Miller rusza dalej. Maską rozgrzała się od silnika. Sygnalizuję ręką kurs na drogę, ale i tak dwa razy osuwamy się do rowu. Wykopujemy wóz przy pomocy sprzętu saperskiego, który podróżuje na tyłach jeepa.

Ujechaliśmy może z pięć mil - aż tu nagle! Stoję na tej masce, ale i tak gównie widzę. Wszystko jest białe na białym tle, osadzone w czerni. Utraciłem wszelką zdolność rozróżniania, co jest bliżej, a co dalej, co góra, a co dół. Prawa strona ni stąd, ni zowąd w ogóle przestaje istnieć. Nasz jeep przechyła się na bok, po czym wolno wywija kozła, cały czas na gazie!

Nie wiedząc o tym, przejeżdżaliśmy przez mostek pozbawiony balustrady. Zasy są takie wysokie, że mostek stał się niewidoczny. Na szczęście wszystko działa się powoli i nikt nie jest ranny; nawet Mel i Matka wyczołgują się cali spod Mundy'ego. Miller wskakuje z powrotem do jeepa i gasi silnik.

Jeep ustawił się do góry kołami, Ojca i pięćdziesiątkę wbiło przez lód w niedużą rzeczkę.

Ślizgając się i gramoląc w śniegu, odwracamy jeepa wspólnym wysiłkiem na koła. Mundy chyba nie doznał szwanku. Ocieram z jego twarzy śnieg i błoto. Mokre policzki w mgnieniu oka pokrywają się warstewką lodu.

Wszyscy dyszymy ciężko. Odwrócenie jeepa, który utknął w śniegu, nawet we czterech, to ciężkie zadanie. Spocilem się, ale dłonie i stopy mam mokre i zimne. Miller obchodzi wóz dookoła i wszystko sprawdza. Zagląda pod spód, a kiedy się stamtąd wynurza, ręce mu pachną benzyną. Patrzy na mnie i wskazuje na tył wozu. Klękam. W zbiorniku paliwa widać szczelinę, przez którą ciurkiem wypływa benzyna, po trajektorii i z prędkością sikającego konia. Miller kręci głową.

- Musiałem się na coś nadziać spadając z tego mostu. Przebicie na szerokość dłoni.

Wślizguje się pod wóz i zatyka szczelinę rękawicami, co trochę pomaga. Plamę wyciekłej benzyny zasypujemy śniegiem, po czym Bud próbuje uruchomić wóz, ale bezskutecznie. Sprawdza pod maską i próbuje jeszcze raz. Nic. We czterech usiłujemy wypchnąć jeepa do góry, na drogę, ale zbocze jest zbyt strome. Zlani potem i zasapani, dajemy w końcu za wygraną. Śnieg, który teraz pada, jest jakby gęstszy, cięższy.

Wyciągamy Ojca Mundy'ego spod pięćdziesiątki. We dwóch z Matką niesiemy go na wzgórek, na skraj lasu, skąd widać nasz most. Miller i Gordon zdejmują z wozu pięćdziesiątkę i taszcą w to samo miejsce. Widzę, że jedyne, co nam pozostało, to okopać się, doczekać świtu i wtedy rozejrzeć się w sytuacji. Jedzenia mamy na kilka dni.

Po zdjęciu z wozu pięćdziesiątki składamy na płask jej podstawę i przecinak drutu. Wóz ukrywamy pod mostkiem; najstaranniej jak się da. Mostek jest płaskim kamiennym łukiem, jeep ledwo się pod nim mieści. Pchamy go pod prąd, żeby nic nie wystawało. Przy okazji przemakamy do nitki w lodowatej wodzie. Oba kanistry z benzyną zabraliśmy. Jeden jest pełny, drugi opróżniliśmy w trzech czwartych na pałacowe latarnie.

Na górze pod drzewami padający śnieg już tak bardzo nie dokucza. Kopiemy na zmianę. Najpierw odgarniamy śnieg i liście, potem, ustawiając saperki pod kątem, ryjemy pierwsze kilka cali zmarzłej ziemi. Dalej kopanie jest już łatwe: ziemia jest czarna, gliniasta, poprzetykana włókienkami łatwo dających się przeciąć korzeni. Robimy dwa pogłębione okopy podwójne ze stopniami do siedzenia na obu końcach. Pałatki rozpinamy górą na kształt

płaskich szalasów. Śpiwory zostały w tym jeepie, który zleciał na dno wąwozu: będzie nam zimno.

Benzyną z kanistrów nasączamy drobne patyki i susz: dzięki temu możemy porozpalać w hełmach małe ogniska. „W jednym okopie siedzę ja z Matką, w drugim Gordon z Millerem. Ojciec Mundy leży między nami, trochę z tyłu. Wilkins i ja ściągamy buty i skarpety, skarpety wyżymamy i próbujemy osuszyć nad płomieniem. Z butami nic się nie da zrobić. Jedną pałatkę rozłożyliśmy pod sobą. Daszek z drugiej rozpostarty jest tak, że zostawia sześciocalową szczelinę z widokiem na mostek. Tą samą szczeliną uchodzi dym: powoli się rozgrzewamy. Żuję . kawałek sera i próbuję zapomnieć, gdzie jesteśmy. Wilkins jest, zdaje się, w niezłej formie, lepszej niż ja. Na górnej pałatce szybko osiada śnieg, więc od drogi jesteśmy praktycznie niewidoczni. Zdradza nas najwyżej dym, szary na białym tle.

Okolo siódmej trzydzieści, kiedy jeszcze nie jest jasno, ale już widać, że wkrótce będzie, wciągam na nogi wilgotne skarpety i zmarzłe buty. Wymykam się z okopu. Miller usłyszał mnie i gramoli się na wierzch z drugiej dziury. Obaj myślimy o tym samym i zastanawiamy się, jak to zrobić. Precyzyjnie, po wojskowemu.

Schodzimy do jeepa. Miller wymontowuje podstawę pięćdziesiątki i we dwóch taszczymy ją na pagórek. Potem, pracując na zmianę, kopimy dół koło okopu Millera i ustawiamy w nim podstawę, umacniając kamieniami z rzeczki. Przynosimy skrzynkę z amunicją, zakładamy pięćdziesiątkę na obrotową podstawę i wpychamy koniec pasa z amunicją do komory. Jeżeli sprawy mają się tak kiepsko, jak sądzimy, w ciągu najbliższej godziny trzeba się będzie poddać - ale będziemy chociaż mieli czyste sumienie. Jeżeli ktokolwiek jest w stanie podczas strzelania utrzymać tę pukawkę w jednym miejscu i jeszcze przy tym do czegoś trafić, to tylko Miller. Na koniec zbieramy jeszcze po garści patyków, zanurzamy je w kanistrze i lecimy z powrotem każdy do swojego okopu. Zabawa w żołnierzy skończona. Przez cały czas zamieniliśmy chyba nie więcej niż trzydzieści słów, a i to głównie takich, które nie uzyskałyby aprobaty Ojca Mundy'ego. Korzystając z wycieczki do wozu, wyciągam jeszcze 506 - kę spod przedniego siedzenia. Spuszczam ją do okopu, do Matki.

Niebo zaczyna się rozjaśniać i wygląda na to, że wschód jest w kierunku dokładnie przeciwnym, niż myślałem. Sądząc po kierunku światła, rzeczywiście zajechalibyśmy prosto do Berlina, gdyby nas nie zatrzymał mostek bez balustrady.

Rozgrzewam radiostację i przelatuję po różnych częstotliwościach. Wszystko, co łapię, przypomina język niemiecki; w tle odgłosy czołgów. Tylko na dwóch pasmach, a dookoła szumy - niezbyt to optymistyczne. Szkoda, że nie ma tu Shutzera, może on by coś wymyślił. Taka wojna „z woleja” to jego specjalność.

Co piętnaście minut zmieniamy się z Wilkinsem przy obserwowaniu drogi. Podczas swojej tury próbuję ustalić w myślach, jaki to dzień - dzień tygodnia i data. Wszystko mi się pomieszało. Zresztą, co za różnica. Staram się wobec tego skupić myśli na pytaniu, co dalej. Wiadomo, że zostać tutaj nie możemy, a o uruchomieniu jeepa też nie ma mowy. Co zrobimy z Mundy? Można by go pochować w okopie, tak jak to robiłem ze swoimi rysunkami, ale bardzo bym nie chciał.

Na zegarku Mundy'ego dochodzi ósma, kiedy nagle dolatuje mnie jakiś odgłos. Odgłosu jadących czołgów nie da się z niczym pomylić: podzwanianie i grzechot metalu, ryk diesla jak na wielkiej zmechanizowanej budowie. Zdaje się, że nadciągają naszą drogą, z tym że - jeśli wierzyć słońcu - prą na wschód. Może się wycofują? Może ściga ich tłum chłopaków w amerykańskich mundurach - kawaleria, która zagna czerwonoskórych z powrotem do rezerwatu? Byłoby co oglądać!

Na razie widać Pantery Mark V, oblepione z zewnątrz niemieckimi piechurami w czarnych mundurach. Automatycznie zaczynam liczyć: osiemnaście czołgów, dziewięć transporterów broni. Nasza pięćdziesiątka wygląda przy nich jak tutka do strzelania grochem. Modłę się, żeby nie zauważyli jeepa, naszych śladów ani pięćdziesiątki. Bogu dzięki, że jadą szybko. Błagam cię, Miller, nie rób tego! Kiedy już przejechali i ucichł metaliczny klekot, od którego pulsuje w uszach, patrzę w stronę Millera i Gordona w drugim okopie. Bud siedzi za pięćdziesiątką. Mel obok niego, od mojej strony. Łapie moje spojrzenie.

- Widziałeś te mundury, te emblematy? To było autentyczne zafajdane SS!

Twarz Wilkinsa jest kredowobiała, pozbawiona jakiegokolwiek wyrazu; moja musi wyglądać tak samo. Ci Niemcy! Tacy twardzi, tacy wytrenowani, tacy niepokonani.

- Co powinniśmy teraz zrobić, Wont, jak uważasz? Co robimy?

- Wiem tylko jedno, Matka: będziemy się trzymać jak najdalej od tego towarzystwa. To nie są ci, których szukamy.

- Oni naprawdę malują z boku na czołgach czaszki i skrzyżowane piszczele, widziałeś?

- Widziałem, Matka, widziałem. Możliwe, że to tylko na postrach, ale działa - Ja się zląkłem! Ma ktoś pomysł, co dalej?

Cisza jest tak pewna i głęboka jak ten śnieg pod nami. Możemy się najwyżej zagrzebać jeszcze głębiej w ziemi. Spuszczam się na dno okopu i wrzucam do hełmu garść nasączonych benzyną patyków, żeby podtrzymać ogień. Pora pomyśleć. Jeżeli typ o wyobraźni twórczo - artystycznej ma jakiekolwiek zastosowanie w warunkach wojennych, to chyba właśnie teraz.

W pół godziny później idę z powrotem do jeepa. Jest już całkiem jasno. Wschód nadal w złym kierunku. Odnajduję białą farbę. Wyciągam kombinezony maskujące. Ciekawe, co

chłopaki sobie pomyślą: może to ich przekona, że dostałem kuku na muniu. Będzie bunt. Ja się przyłączę. Innego wyjścia nie widzę. Daję znak Matce, żeby szedł za mną, i włączymy do okopu Millera i Gordona. Referuję im swój pomysł najlepiej - jak potrafię: Jest w nim coś ze strategii szachowej: otwarcie „na trupa”. Kończę i czekam, co powiedzą.

- A radiostacja?

- Zakopiemy.

- A pięćdziesiątka?

- Zakopiemy.

- Karabiny też zakopiemy?

- Nie widzę innego wyjścia.

Z najbardziej kłopotliwym pytaniem wyskakuje, jak zwykle, Gordon:

- Założmy, że się uda i przedostaniemy się do swoich - co mamy mówić?

- Dostaliśmy się do niewoli. Odebrali nam broń. Uciekliśmy. Będą musieli nas odesłać i potrzymać do wyjaśnienia - kilka dni luksusu. Musimy się przede wszystkim trzymać swojej wersji. W tym zamieszaniu nikt nikogo o nic nie będzie pytał, mogę się założyć.

Wilkins patrzy, jakby mnie widział pierwszy raz w życiu.

- Ale numer!

- Tak jak mówiłem: albo robimy to wszyscy, albo nie robimy w ogóle. Innego wyjścia nie ma. Kto ma jakieś obiekcje, jakiegokolwiek, niech się nie tłumaczy, tylko otwarcie zgłosi sprzeciw.

Zapada długa cisza. Rzecz wymaga przemyślenia. Pomysł jest taki ASTPR - owski, że zalatuje od niego teatrem jeszcze bardziej niż od niemieckiego planu pojmania Niemców w domku myśliwskim. Pierwszy odzywa się Miller.

- Jestem za.

Gordon patrzy na niego, na mnie.

- Ja też. To jest taki zwariowany pomysł, że gdybym nie spróbował, żałowałbym tego do końca życia. Z drugiej strony, nie mam żadnej pewności, że moje życie nie zakończy się właśnie dzisiaj.

Odwracam się do Wilkinsa. Postawiliśmy go w paskudnej sytuacji.

- Nie czuj się do niczego zmuszony, Matka. Zdecyduj sam za siebie.

- Ja się od razu zdecydowałem. Czekałem tylko, co reszta powie, żeby nie narzucać swojego zdania. To będzie najbardziej finezyjna eskapada w historii pododdziału.

Wilkins uśmiecha się; jest blady jak trup, ale nigdy jeszcze nie widziałem bardziej szczerego uśmiechu. Właśnie jego potrzebowałem, żeby się ostatecznie zmusić do zrobienia

tego, co mamy zrobić.

Najpierw malujemy białą farbą kółka na hełmach. Ubieramy się w kombinezony. Potem maluję sylwetkę krzyża na kartonie po racjach żywnościowych. Wycinam krzyż bagnetem. Teraz przychodzi kolej na najgorsze: odwracamy Mundy'ego na brzuch. Wskutek ucisku, zebrana w płucach krew chlusta ustami. Nasączam krwią tampon z apteczki Wilkinsa, ostatni tampon, jaki nam pozostał, i znaczę nim czerwone krzyże na rękawach kombinezonów i na hełmach. Krew jest gęsta, lepka, ciemna, ale na białej farbie wychodzi czerwona. Dwa razy w czasie tej operacji o mało nie puszcza pawia, ale mówię sobie, że Ojciec na pewno nie miałby nam tego za złe. Może i gwałcimy świątynię Ducha Świętego, ale w zbożnym celu - dla ratowania innych świątyni. Od tych białych krążków i krwi zrobiło się prawie jak na mszy.

Duże białe kręgi malujemy na pałatkach. Wewnątrz tych kręgów znaczę tamponem czerwone krzyże szerokości dwóch cali, długości jednej stopy. Następnie składamy pałatki rogiem do rogu i utykamy między blachą a wyściółką hełmów. Powstają niby peleryny. Każdy z nas wygląda teraz jak skrzyżowanie panny młodej i dublera z filmu *Trzej muszkieterowie*.

Przed południem zakopujemy żelastwo. W Okopie, w którym siedziałem ja z Wilkinsem, układamy radiostację, pięćdziesiątkę, automaty, skrzynki z amunicją do pięćdziesiątki, naboje i granaty. Okrywamy wszystko umocnioną po brzegach pałatką, na którą narzucamy butami warstwę ziemi, aż tworzy się kopczyk, jak mogiła. Udeptujemy go i przysypujemy śniegiem. Koniec pieśni. Dyszymy ciężko. Mundy leży koło nas na ziemi. Rozglądam się po okolicy.

- Gdyby któryś z nas miał ochotę na prywatną wojnę, jak ta się skończy, niech sobie dobrze zapamięta, gdzie ma przyjść po broń. Nie będę zaznaczał tej mogiły.

Dźwigamy Ojca i zarzucamy go sobie na barki. Owinęliśmy go ostatnią pałatką, pałatką Shutzera. Na niej również wymalowałem biały krąg i czerwony krzyż, dla samolotów. Niesiemy Mundy'ego po dwóch z każdej strony: nie jest to wielki ciężar, ale swoje waży. Maszerujemy samym środkiem drogi.

Doszliśmy do wniosku, że czołgom popieprzyło się tak samo jak nam, więc idziemy w kierunku, skąd nadjechały, a który - sądząc po blaskach wschodzącego słońca za naszymi plecami - uważamy za kierunek zachodni. Nie ma to zresztą większego znaczenia.

Marsz staje się automatyczny. Co dziesięć minut zmieniamy strony: kładziemy Mundy'ego na ziemi i obchodzimy go o sto osiemdziesiąt stopni. Nie odzywamy się prawie wcale. Każdy postój trwa tylko tyle, żeby rozprostować zastale mięśnie i odlać się, kto chce. Żaden z nas nie odstępuje Mundy'ego dalej niż na krok: to nasz paszport na wyjście z piekła.

Idziemy tak godzinami. Mijamy poprzewracane jeepy, zniszczone czołgi, ciała zabitych. Nie oglądamy się na nic. I nagle wmaszerowujemy wprost na wysunięty posterunek

amerykańskiej kompanii saperów. Właśnie skończyli przygotowywać most do wysadzenia. Mówimy im o czołgach, które jechały w niewłaściwym kierunku. Sierżant sprawujący wartę prowadzi nas do porucznika. Dalej twardo taszczymy Mundy'ego.

- Z której jesteście jednostki?

Podaję mu numer pułku i mówię, że jesteśmy grupą obserwacyjną zwiadu i że napadli nas Niemcy. Porucznik nie może oczu oderwać od naszych zwariowanych kostiumów.

- A coście wy się tak poprzebierali? Może jesteście z sanitarnego?

Opowiadam mu, piąte przez dziesiąte, jak do nich dotarliśmy.

- Ryzykujecie jak diabli. Jakiś zakuty łeb gotów was jeszcze za to potraktować Konwencją Genewską.

Śmieje się.

- Coś podobnego! Ta pierdolona wojna całkiem schodzi na psy!

- Tak jest, sir.

- No dobra, do roboty. Powiedźcie moim ludziom z drugiego posterunku, niech was przeprowadzą przez miny. Na drodze są miny przeciwczołgowe. Od stąpięcia taka niby nie powinna wybuchnąć, ale po co ryzykować.

- Tak jest, sir.

Chłopaki z drugiego posterunku częstują nas papierosami i żarciem z racji śniadaniowych. Jemy i ruszamy dalej. Właściwie chodzi już tylko o to, żeby nie dać się zabić. Żołnierze mówią, że na pewno są otoczeni przez Niemców, czyli że jeszcze nie jesteśmy w domu. Jeszcze długo nie.

Dochodzi piąta; ściemnia się, kiedy znów słyszymy: „Stój! Kto idzie?” Po czym ten sam głos wywrzaskuje hasło.

- Nie znamy odzewu. Idziemy z innego sektora.

- Stać, nie ruszać się.

- Jesteśmy Amerykanami!

- Terefer!

Jakiś sierżant zbliża się do nas, pochylony, na ugiętych kolanach, z bronią w pogotowiu. Na nasz widok opuszcza lufę.

- Dobra. Wierzę wam. Rany boskie, skąd wyście wytrzasnęli te kretyńskie garnitury? To krew?

Idąc obok, sprzedajemy mu bajkę o ucieczce z niewoli. Trafiliśmy na dywizję, o której jeszcze nigdy nie słyszałem. Przyszli znad Saary, są z armii Pattona. Sierżant radzi nam, żebyśmy pozmazywali krzyże, zanim ruszymy dalej. Pałatki zostawiamy u niego.

Ich żołnierz prowadzi nas do kwatery batalionu, a tam wskakujemy w ciężarówkę, która ma nas odtransportować do macierzystej jednostki. Trochę kręć nos, kiedy upieramy się przy zabraniu Ojca.

Podwożą nas pod samo dowództwo dywizji, gdzie meldujemy, że zostaliśmy wzięci do niewoli, ale zbiegliśmy. Potem we dwóch z Wilkinsem przenosimy Mundy'ego do kostnicy. Namiot jest po brzegi zapakowany ciałami. Urzędujący w nim sierżant mówi, że wszystko to są obce trupy, nie z naszej dywizji.

- Niektóre leżały na ziemi, jeszcze zanim spadł śnieg. Ciekawe, czy ktoś już pozbiierał ciała z okolic naszego pałacu, i te, które sami tam zostawiliśmy, i te, które na nas czekały. Patrzymy, jak sierżant odpina Mundy'emu blaszki identyfikacyjne. Jedną wtyka mu na siłę między zęby, a drugą umieszcza w ciemnozielonej siatce ze sznurka. Pyta o numer jednostki Mundy'ego. Podaję. Wtedy on wyciąga blaszkę z odstającymi po bokach drucikami i drukuje na niej imię i nazwisko Mundy'ego. Odwija ciało i przymocowuje blaszkę drutem do nadgarstka Ojca. Gapi się chwilę na złocistą jedwabną kapę, w której przynieśliśmy Mundy'ego, po czym okrywa go całego, z twarzą, ogólnowojskowym kocem. Mundy jest taki długi, że jego bosa stopy wystają poza koc. Wychodzimy, zanim łapiduch zdąży nas o cokolwiek zapytać.

W dwa dni później transportują nas jeepami o dziesięć mil dalej, do głównej kwatery pułku. Mam się natychmiast zameldować u Ware'a. Jeszcze raz opowiadam bajkę o ucieczce z niewoli. Ware kupuje ją. Chcę jak najszybciej wyjść. Czuję, jakbym topniał od środka, łapią mnie dreszcze. A przecież Ware może mnie tu trzymać, ile mu się spodoba. Robię wszystko, żeby się przed nim nie rozplakać.

- Czy reszta pododdziału też zdołała zbiec?

- Tak jest, sir.

- A jeep? A radiostacja?

- Musieliśmy je porzucić, sir.

- I karabin maszynowy, i automaty?

- Automaty zabrali nam Niemcy, sir.

- Jezus Maria!

- Ale wydostaliśmy Mundy'ego, sir.

Nie wiem, po co mu to mówię. Przecież jego to nic nie obchodzi. A jednak chcę, żeby wiedział.

- Uciekając wzięliście Mundy'ego?

- Tak jest, sir. Wróciliśmy po niego. Przebraliśmy się za oddział sanitarny.

- O w mordę! Tylko nie mówcie tego Love'owi!

- Tak jest, sir.

- Najlepiej sam złożę za was raport. Ani słowa o wynoszeniu Mundy'ego, pamiętajcie.

Jezusie miłosierny, jak długo wyście go taszczyli?

- Nie wiem, sir.

- Jasny gwint!

- Są jakieś wiadomości o pierwszej drużynie, sir?

- Nic. Chciałbym wam jeszcze powiedzieć, że robiłem co mogłem, żeby zostawić wam radiostację i jeepa, kiedyśmy się wycofywali, ale wszystkie wozy były potrzebne do transportu sprzętu pułkowego. Nic się nie dało zrobić.

Spytałbym jeszcze chętnie o Shutzera, ale słowa więzną mi w gardle. Wiem, że jak otworzę usta, to albo się rozplacę, albo zacznę wrzeszczeć, albo dopuszczę się obrazy oficera. Salutuję tylko, odwracam się i odchodzę jak na komendę.

Idę do namiotu kuchni i chowam się za wielkimi cebrami z gorącą wodą do zmywania menażek. Siedzę wciśnięty pomiędzy nie a ścianę namiotu. Nie mam pojęcia, gdzie są teraz Wilkins, Miller i Gordon. Daj Boże, żeby znaleźli jakieś pałatki i śpiwory; jestem za bardzo zmęczony i zrezygnowany, żeby to sprawdzić. Zwijam się w kłębek na pałatce, jest mi ciepło. Już niczego nie chcę, tylko spać.

Budzę się. Nade mną stoi Ware i kopie mnie po nogach. Ciężko mi się wstaje, jestem półprzytomny, jak pijany.

- Nie podnoście się, Knott. Chciałem wam tylko powiedzieć, że wszystko załatwione.

Dźwigam się na nogi, otrzepuję kolana.

- Rozmawiałem z majorem Love'em. Sprawa załatwiona. Major mówi, że skoro nie byliście w obozie jenieckim, to obejdzie się bez procedury wyjaśniającej.

Robi pauzę.

- Pluton zwiadu uzupełnimy ze składu rozbitej grupy przeciwczołgowej. Kogo proponujecie na podoficerów?

Nie mogę myśleć. Nic sensownego nie przychodzi mi do głowy.

- Nie wiem, sir.

- Myślałem, żeby Gordona mianować dowódcą drugiej drużyny, a Millera waszym zastępcą. Trzeba będzie gdzieś wetknąć jednego zafajdanego kaprała: może damy go do Gordona.

- Tak jest, sir.

- Wystąpiłem o Brązową Gwiazdę dla Wilkinsa. Love podpisał wniosek, chociaż bez

entuzjazmu. Spowodowałem też przeniesienie Wilkinsa do plutonu ochrony.

- Dziękuję, sir. Spróbuję teraz:

- Sir, a co z Shutzerem?

- Nie żyje. Umarł, zanim dojechaliśmy na miejsce. W drodze niewiele dało się zrobić.

Szkop też wykitował, z przesłuchania nic nie wyszło.

Nie odzywam się. Chcę tylko, żeby Ware już sobie poszedł. Chcę się z powrotem położyć sam na ziemi.

- Byłbym zapomniał, sierżancie: musicie sporządzić raport o stratach w sprawie jeepa, radiostacji i telefonów. O automatach i pięćdziesiątce nie było mowy. Skoro trafiliście do niewoli, nie powinno być z tym kłopotów.

Sięga do kieszeni na piersi i wręcza mi formularze. Robi mi się chłodno - nie zimno, tylko chłodno - odpływam.

- Straciliśmy jeszcze dwudziestokrotną lornetę polową, sir.

- Nie przejmujcie się. Teraz nie macie się do czego spieszyć, można odpocząć. Niedługo się stąd ruszymy, pogonimy pierdolonych szkopów pod sam Berlin.

Uśmiecha się, salutujemy równocześnie. Z moim wzrokiem stało się coś dziwnego: każda rzecz jest precyzyjnie zogniskowana, a wszystko razem mętne.

Widzę margines wokół insygniów na hełmie Ware'a, tam, gdzie było złote, zanim awansował. Widzę żółte grudki w kącikach jego oczu.

Patrzę niżej i widzę ciemną zieleń zimowej trawy wdeptanej w podłogę namiotu kuchni.

Widzę, jak paruje woda, słyszę, jak syczy w nie domytych niklowanych pięćdziesięciogalonowych kotłach do mycia menażek.

Czuję zapach tłuszczu w gorącej wodzie.

Słyszę, jak kapie śnieg topniejący na dachu ciepłego namiotu.

SPIS TREŚCI

1. ODPRAWA.....	
2. NAJDŁUŻSZA NOC.....	
3. KIT LE FUJ.....	
4. TFU, LICHE ŁAJNO.....	
5. NIE MÓWCIE MATCE.....	
6. RAPORT O STRATACH.....	

WILLIAM WHARTON

NIEZAWINIONE ŚMIERCI

Znany pisarz, William Wharton, stracił córkę, zięcia i dwie wnuczki w wypadku, który jego zdaniem nigdy nie powinien był się wydarzyć. Z Adriaane Pielou rozmawia o swoim smutku i o książce *Niezawinione śmierci*, którą napisał, aby zapobiec dalszym tragicznym śmierciom.

Wydarzyło się to sześć lat temu, 3 sierpnia 1988 roku. Pewien farmer wypalał ściernisko na pobliskich polach, kiedy wiatr zmienił kierunek i gęsty dym zasnuł autostradę międzystanową nr 5 w Oregonie, w Stanach Zjednoczonych.

Z powodu robót drogowych na autostradzie panował wyjątkowy tłok. Kiedy dym wdarł się pomiędzy pędzące pojazdy, kierowcy nie widzieli nawet maski własnego samochodu. Jedno z aut, furgonetka VW, jechała wciśnięta między dwie olbrzymie, osiemnastokołowe ciężarówki. Ciężarówka z tyłu staranowała furgonetkę. Wybuchnął zbiornik paliwa i cała rodzina uwięziona w aucie - matka, ojciec i dwie małe dziewczynki, zapięte w swoich dziecięcych fotelikach - spalili się żywcem.

„To najstraszniejszy wypadek, jaki kiedykolwiek widziałem. Ciała pasażerów furgonetki były tak zwęglone, że nie można ich było rozpoznać - powiedział dziennikarzom wstrząśnięty policjant.

Spalonymi żywcem członkami rodziny Williama Whartona byli: jego trzydziestopięcioletnia córka, Kate, zięć, Bert Woodman, oraz dwie wnuczki Dayiel i Mia, pierwsza miała dwa lata, druga zaledwie osiem miesięcy. Książka Whartona, opowiadająca o ich śmierci i walce pisarza o ukaranie winnych, ukazała się 31 października 1994 roku.

Na werandzie swojego letniego domu w Ocean Grove, w stanie New Jersey, Wharton wspomina tę tragedię. Ten krzepki, energiczny mężczyzna (w przyszłym roku kończy siedemdziesiąt lat) oraz, od wydania znakomitego *Ptaśka* w 1978 roku, ceniony pisarz, ociera łzy, kiedy zaczyna opowiadać. Kate to najstarsze z czwórki dzieci, które ma ze swoją żoną, Rosemary. Podczas naszej rozmowy Wharton - niezwykle przywiązany do swojej rodziny - wielokrotnie wspomina wszystkich czworo. Mówienie o Kate nie sprawia mu trudności, póki nie zaczyna opowiadać o okolicznościach jej śmierci. Wówczas dopiero widać, jakie to dla niego bolesne.

„Wciąż mnie to boli i wciąż jestem wściekły, bo to były takie niepotrzebne śmierci - mówi po prostu. - Chcę, żeby ta książka pomogła ukrócić wypalanie ściernisk w Oregonie, tak żeby już nikt więcej nie musiał z tego powodu umierać”.

W karambolu, w którym zginęła córka Whartona i jej rodzina, ogółem śmierć poniosło siedem osób, a trzydzieści siedem zostało rannych. Ten makabryczny wypadek - a także wcześniejsze podobne - spowodowały przyrost liczby członków organizacji ekologicznych walczących o zakaz wypalania ściernisk w Oregonie, jednak w opinii władz ważniejsze są ogromne zyski, jakie z uprawy traw czerpią zarówno farmerzy, jak i budżet stanowy.

„Jak oni mogą z tym żyć?” - pyta Wharton, a w jego niebieskich oczach szklą się nie skrywane łzy. W *Niezawinionych śmierciach* są rozdziały, których istotnie nie da się czytać inaczej jak przez łzy.

Narratorem pierwszej części książki jest Kate. Opisuje swoje szczęśliwe dzieciństwo, dorastanie na barce na Sekwanie w Paryżu, na której Wharton i jego żona Rosemary - mając dość życia w Stanach Zjednoczonych - zamieszkali trzydzieści lat temu. Opisuje święta Bożego Narodzenia w starym młynie wodnym w Burgundii, który jest w posiadaniu Whartonów, potem wyjazd do Stanów Zjednoczonych, studia na uniwersytecie w Kalifornii i swój ślub. Małżeństwo kończy się rozwodem, po którym ona i jej mały synek, Wills, przenoszą się do Niemiec. Kate dostaje pracę w szkole międzynarodowej w pobliżu Monachium i zakochuje się w poznanym tam nauczycielu, wielkim, pogodnym Bercie Woodmanie, którego poślubia. Wkrótce na świat przychodzi ich pierwsza córka Dayiel. W następnym roku rodzi się druga - Mia. W piątkę wyjeżdżają do rodzinnego stanu Berta, Oregonu. Kate i Bert zapisują się na uniwersytet w Eugene. Póki nie kupią własnego domu, mieszkają z matką Berta.

Pewnego słonecznego popołudnia, w sierpniu 1988 roku, wracają w wyprawie w poszukiwaniu mieszkania. Syn Kate, Wills, w ostatniej chwili zdecydował, że zostanie w domu, tak więc z Bertem i Kate jedzie tylko dwuletnia Dayiel i ośmiomiesięczna Mia. Na ostatnich stronach pierwszej części książki opisana jest ich podróż autostradą międzystanową nr 5. W pewnym momencie Kate spostrzega dym kłębiący się nad drogą. „Najpierw powietrze robi się żółte, potem bursztynowe, a w końcu ciemnobure. Oglądam się do tyłu, żeby zobaczyć, co z dziećmi, ale widzę tylko tę olbrzymią, osiemnastokołową ciężarówkę, przylepioną do naszego zderzaka; właśnie zapaliła światła. Odwracam się - przez przednią szybę teraz już nic nie widać. Jest ciemno jak w tunelu. Bert dusi kilka razy na hamulec, chcąc dać znak ciężarówce za nami, żeby zwolniła. W tym momencie uderzamy, niezbyt mocno, w samochód jadący przed nami, po czym Bertowi udaje się zatrzymać furgonetkę. Ułamek sekundy później słyszę straszliwy chrzęst, niewiarygodny hałas, po którym następuje potężny wstrząs od uderzenia w tył furgonetki. Obracam się do dzieci i słyszę ich krzyk.

Nic już nie możemy zrobić.”

W dwóch kolejnych częściach książki funkcję narratora przejmuje sam Wharton. Razem

z żoną i ich najmłodszym synem Robertem spędzają lato w Ocean Grove i o tragedii dowiadują się dopiero wieczorem następnego dnia; identyfikacja zwłok zajęła prawie całą dobę. Ogłuszeni tą wiadomością dzwonią do pozostałych swoich dzieci, bliskich przyjaciół, krewnych i do ciotki, która w tych dniach organizuje wielki zjazd rodzinny. W dniu pogrzebu w Oregonie, wczesnym rankiem, Whartonowi przydarza się coś niezwykłego.

Budzi się z uczuciem niewytłumaczalnego spokoju, a kiedy wstaje z łóżka, jakaś niewidoczna siła powala go na ziemię; w tym samym momencie uświadamia sobie, co go tak uspokoiło. Tej nocy Kate, Bert i dzieci odwiedzili go we śnie. Siedząc na podłodze, opowiada o wszystkim Rosemary.

Jest na plaży w Ocean Grove. Obok Whartona przechodzi Kate z Dayiel; chwilę później na piasku przy nim siada Bert - na rękę trzyma Mię, która bacznie mu się przygląda - i bardzo przekonująco opowiada o ich własnej śmierci: „Will, bycie nieżywym to coś zupełnie, ale to zupełnie innego niż sobie wyobrażasz. Wciąż nie jestem pewny, co się właściwie z nami dzieje, za to wiem, że nie powinienem z tobą rozmawiać [...] Chcę jednak, żebyś wiedział, że czujemy się dobrze i że wciąż jesteśmy razem”.

Bert ma pewną prośbę: chce, żeby sfotografował ich zwęglone ciała. To bardzo ważne, mówi, być może to powstrzyma wypalenie ściernisk, co było przyczyną ich śmierci.

Wharton nachyla się do mnie: „Ludzie pewnie w to nie uwierzą albo powiedzą, że to tylko sen. Ale opisałem to tak, jak było naprawdę”.

To właśnie owo „nawiedzenie” dało mu siłę do walki o ustalenie odpowiedzialnych za śmierć najbliższych. Opis prawniczej batalii o doprowadzenie do rozprawy przed ławą przysięgłych - tak aby mógł stanąć przed sądem i zmusić mieszkańców Oregonu do wysłuchania szczegółowego świadectwa o tym, jak wypalanie ściernisk zabiło jego rodzinę, zajmuje drugą połowę książki.

Najpierw, jednakże, Wharton udał się do kostnicy i, razem z bratem Berta, Steve'em, przekonał właściciela zakładu pogrzebowego, żeby pozwolił im sfotografować zwłoki. To było wstrząsające doświadczenie. Z całej czwórki Kate najtrudniej rozpoznać. „Kiedy patrzę na jej twarz, zamknięte usta, puste oczodoły w poczerwiałej kości, gdzie niegdyś były intensywnie zielone oczy, czuję, że dłużej tego nie wytrzymam”.

Po tej ciężkiej próbie właściciel zakładu pogrzebowego częstuje obu whisky. „Ta czwórka - mówi - to nie są pierwsze ofiary wypalania pól, które trafiły do tego budynku. To hańba”.

Wyrok w tej sprawie miał nigdy nie zapaść.

„Wszyscy sędziowie traktowali mnie tak, jakby chcieli powiedzieć: Zamknij się i spadaj” - mówi Wharton. Ostatecznie musiał zaakceptować ugodę, skutkiem czego w świetle prawa

nikt nie został uznany winnym tej tragedii.

To właśnie owa niemożność doprowadzenia do procesu skłoniła go do wybrania innej drogi nagłośnienia całej sprawy.

„Pisanie tej książki to była droga przez mękę - wyznaje Wharton, patrząc na cichą uliczkę, na którą rozciąga się widok z werandy. - Mój londyński wydawca, Bill Buford, uważa, że opisanie tego wszystkiego to rodzaj terapii. Powiedziałem mu, że to nie miało nic wspólnego z terapią. To był tylko przykry obowiązek”.

Śmierć najbliższych osób stała się zaczątkiem duchowej przemiany. Ta nowa duchowość sprawia, że w swych ostatecznych konsekwencjach jest to książka niesłychanie budująca. Wharton przywiązuje teraz wielką wagę do snów.

„Wydaje mi się, że lekceważąc sny, większość z nas cenzuruje niejako znaczną część swojego życia. To samo dzieje się wówczas, kiedy na siłę próbujemy je interpretować, odzierając je z tego, co rzeczywiste. Przez osiem godzin na dobę żyjemy życiem, które jest tylko luźno powiązane z tym, czym zajmujemy się na jawie”.

„To wszystko zmieniło mnie tak bardzo, że śmierć mojej córki wydaje mi się teraz niemal usprawiedliwiona. Przeżycia związane z tą tragedią upewniły mnie, że istnieje jakieś ważniejsze życie, jakiś ważniejszy wymiar egzystencji niż ten, który znamy. Wierzę teraz w istnienie duszy równie mocno jak w to, że muszę jeść, aby żyć. Wiem, jestem tego całkowicie pewny, że życie nie kończy się wraz ze śmiercią ciała. Myślę, że życie ma sens i że tym sensem jest samo życie, dawanie i doznawanie tyle szczęścia, ile to tylko możliwe”.

„Czy Bóg istnieje? Powiedziałbym, że Bóg to całość rzeczywistości duchowej, której wszyscy jesteśmy małą cząstką”.

„Niemniej jednak - kończy Wharton z cierpką ironią - wcale nie jestem pewny, czy Boga to wszystko obchodzi”.

Wydaje się nietaktem powiedzieć, że na podstawie tej książki można by nakręcić wspaniały film, ale Wharton sam o tym wspomina. Przyznaje, że pisał tę książkę z myślą o filmie. Miał już nawet, jak się wyraża, pewne oznaki „brania” ze strony rekinów z Hollywood.

„Chciałbym, żeby powstał taki film. Film zmusi ludzi do myślenia: to teraz najbardziej popularne medium. Będzie w tym wystarczająco dużo seksu, namiętności i przemocy - a właśnie to się teraz sprzedaje. Dobry reżyser mógłby zrobić z tego gorzki, przejmujący film”.

Kilka powieści Whartona już przeniesiono na ekran: *Ptaśka* - powieść o chłopcu i jego kanarkach, *Tatę* - opowieść o śmierci ojca pisarza, oraz *W księżycową jasną noc* - książkę poświęconą doświadczeniu wojny. A zatem, również w przypadku tej książki jest to prawdopodobne. Gdyby tak się stało, być może spełniłoby się marzenie Whartona i zakazano

by wypalania ściernisk.

„Chociaż nie lubię tej całej współczesnej, zaangażowanej literatury, nigdy nie pisałem wyłącznie po to żeby «bawić», zawsze chciałem także «uczyć» - mówi Wharton i śmieje się. - Musiałem tylko uważać, żeby nie popaść w moralizatorstwo”.

Wharton jest pisarzem, ale i malarzem - swój czas dzieli pomiędzy te dwie dziedziny sztuki. Wychował się w Filadelfii, w rodzinie robotniczej, z pochodzenia jest Irlandczykiem. Pracę zawodową rozpoczął od posady nauczyciela rysunku. Kiedy w połowie lat sześćdziesiątych wraz z rodziną przeniósł się do Francji, rzucił uczenie dla malowania. Z tego się utrzymywał aż do czasu, kiedy w latach osiemdziesiątych jego konto zaczęły zasilać honoraria za książki.

Zarówno dla niego, jak i dla Rosemary - która zawsze pracowała jako nauczycielka w przedszkolu - najważniejsze były dzieci. Nie przypadkiem cała czwórka również została nauczycielami. Kate miała zamiar uczyć w Oregonie. Ich druga córka, Camille, jest nauczycielką w Hanoi. Starszy syn, Mat, uczy w Ankarze, a najmłodszy, Robert, zacznie pracować jako nauczyciel, kiedy tylko zrobi dyplom.

O tej pasji i oddaniu Whartonów najlepiej świadczy fakt, że dziesiątki dawnych uczniów wciąż utrzymują z nimi kontakt, po latach odwiedzając ich już z własnymi dziećmi.

Zbliża się pora obiadu. Przechodzimy z werandy do jadalni.

Rosemary napełnia filiżanki ziołową herbatą i kroi najprawdziwszy francuski *quiche*. Rozmawiamy o Urugwaju, gdzie ostatnio Whartonowie spędzają każdą zimę. Śmieją się, że na nic nie wydają tyle co na telefon, ponieważ gdziekolwiek są, Rosemary co niedzielę „obdzwania” wszystkie dzieci.

Żegnamy się i Wharton odprowadzą mnie na przystanek autobusu, który zawiezie mnie z powrotem na Manhattan. Opowiada o swojej drugiej córce, Camille, i swoim wnuku, Willu, najstarszym dziecku Kate, tym, który cudem uniknął śmierci i teraz mieszka ze swoim ojcem w Kalifornii. Pyta, czy sama mam dziecko. Kiedy mówię mu, ile ma lat, kiwa głową i szeptem: „Dwa lata i osiem miesięcy. To tyle co Dayiel i Mia”.



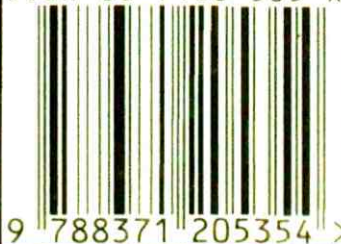
W KSIĘŻYCOWĄ JASNĄ NOC
William Wharton

W księżycową jasną noc to wspaniała opowieść, w której William Wharton w poetycki i głęboko poruszający sposób przedstawia bezsens i okrucieństwo wojny. Akcja powieści toczy się na tyłach frontu w Ardenach w grudniu 1944 roku. Sześciu młodych Amerykanów natyka się na grupę żołnierzy niemieckich, tak samo zagubionych w chaosie wojny jak oni sami. Wszyscy stają wobec niezwykłego dylematu: mają już dość zabijania, ale nie chcą też umierać. Do spotkania dochodzi w księżycową jasną noc...

„To jeden tydzień w życiu sześciu mężczyzn, których czas na ziemi był zbyt krótki, aby mogli poznać coś oprócz strachu”.

„The New York Times”

ISBN 83-7120-535-X



9 788371 205354 >

Cena 23 zł